

X. BISKUP BOUGAUD

ŚWIĘTY WINCENTY ^zà PAULO

ŻYWOT I PRACE

II

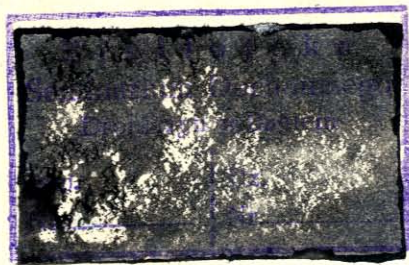


KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ ——— WARSZAWA

Św. WINCENTY à PAULO

ŻYWOT i PRACE

Nr. inv. 10. Dc. A-10



Św. WINCENTY à PAULO

ŻYWOT i PRACE

przez E. BOUGAUD, biskupa Laval.

—•—
Tłumaczył z 4-go wydania

B. Roszkowski.

== TOM II. ==

z portretem.

Mr. inv. 10. De. A-10-



DRUK PIOTRA LASKAUERA
Warszawa Nowy-Świat r. 41

WARSZAWA

Skład główny w Księgarni Gebethneřa i Wolffa.
Kraków G. Gebethner i S-ka.

1912.



95580 / 2

K.143/18/106504

Spis rzeczy

Tomu drugiego.

KSIEGA III-a.

Stworzenie wielkich armij Miłosierdzia 1633—1642

- Rozdz. I. Święty Wincenty á Paulo wiedzie damy wielkiego świata do posługi ubogim. 1633—1639.
Rozdz. II Siostry Miłosierdzia 1633—1642.
Rozdz. III. Święty Wincenty á Paulo powołuje mężczyzn ze świata do posługi ubogim — Siostry Miłosierdzia. 1633—1642 (dalszy ciąg).
Rozdz. IV. Księża Missyonarze. 1625—1642.

KSIEGA IV - ta.

Święty Wincenty á Paulo wobec nędzy. 1642 - 1652.

- Rozdz. I. Przerażający wzrost nędzy podczas wojen Lotaryńskiej i Niemieckiej. 1635—1642.
Rozdz. II. Pierwsze wysiłki św. Wincentego á Psulo w walce z nędzą. 1642 - 1648.
Rozdz. III. Fronda.—Wzmożenie się nędzy.—Usiłowania św. Wincentego á Paulo, aby doprowadzić do pokoju. 1648 - 1652.
Rozdz. IV. Św. Wincenty á Paulo pracuje nad naprawą klęsk sprawionych przez wojnę i przez Fronde. — Wielkość i piękno ruchu religijnego tej epoki. 1652 - 1660.

KSIEGA V - ta.

Święty Wincenty á Paulo ostatecznie wykończa dwa główne dzieła swoje Księży Missyonarzy i Siostry Miłosierdzia 1652—1660.

- Rozdz I. Księża Missyonarze przekraczają granice Francyi i rozpo-

tu...

wszechniają się po całym świecie.--Prace i cierpienia Misyona-
rzy w Barbaryi 1652.

Rozdz. II. Księża Missyonarze przekraczają granice Francyi i roz-
chodzą się po całym świecie (ciąg dalszy).—Św. Wincenty á Pau-
lo posyła Misyonarzy do Irlandyi, Szkocyi, Polski, Włoch i na
Madagaskar.



Św. WINCENTY á PAULO
Założyciel Księży Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia.
Według obrazu zachowanego w szpitalu przy Klasztorze Św. Jana (Cote-d'Or).

Księga III.

Stworzenie wielkich armij Miłosierdzia 1633—1642.

ROZDZIAŁ I.

Święty Wincenty à Paulo widzie dąmy wielkiego świata do posługi ubogim. 1633—1639.

Jednocześnie z tak energiczną i wytrwałą pracą nad zreformowaniem kleru francuskiego, św. Wincenty na szerszych podstawach rozwijał dzieło chrześcijańskiego współudziału bogatszych warstw społeczeństwa w obsłudze i wspomaganiu ubogich. Głęboka wiara, pociągająca go ku ubogim, wzbudzała w nim pragnienie, by wszyscy wraz z nim mogli tam podążyć. Zwracał więc tam wszystkie dusze bogobojne. Nie znajdował pewniejszego lekarstwa na grzechy nasze i na nasze niemoce nad wytrwałe, osobiste służenie ubogim, a okoliczności, wśród których żył, jeszcze silniej pobudzały gorliwość jego. Ubodzy przepełniali Paryż, oraz wszystkie wielkie miasta, a nawet i najmniejsze wioski, i to w takich rozmiarach, o jakich nasze współczesne społeczeństwo niema wyobrażenia. Zakony rozproszone lub uszczuplone przez rewolucję protestancką, szpitale zdeorganizowane, przytulki pozamykane, całe tłumy dzieci, starców i chorych, którym wszystkiego brakowało, wyrzucone na ulicę,—oto obraz nędzy ówczesnej. A liczba ich zwiększyła się jeszcze wskutek wojny Trzydziestoletniej, gdy głód i morowe powietrze w ostatnią niedzielę pograżyły najpiękniejsze prowincje, jak: Lotaryngię, Burgundję, Szampanię,

Orlean, okolice Paryża i bogatą przedtem Francję uczyniły widownią nieznaną dotąd nędzy. A przytem trzeba dalej jeszcze sięgnąć okiem; Święci zjawiają się niekiedy bardziej jeszcze dla przyszłości, niż dla terażniejszości, zbliżała się zaś właśnie epoka gwałtownego wkroczenia demokracji, z bronią w rękę domagającej się uczestniczenia w publicznych dobrach i prawach społecznych. Dla zaspokojenia jej, dla możności zwrócenia na drogę rozsądku, trzeba będzie dać jej wszystko, co może być najmilszem, najbardziej dobroczynnem, najwspaniałomyślniejszem ze strony klas zamożnych. Bóg zawczasu to przewidział, i wobec wielkiej nędzy XVII w., a straszniejszych jeszcze przewrotów XVIII i XIX wieków, zesłał największego wytwórcę i organizatora miłosierdzia, św. Wincentego, dla przygotowania pomocy, potrzebnych skolatanym społeczeństwom.

Nie trzeba jednak wyobrażać sobie, że przy organizacyi tych wszystkich dzieł, które wnet ujrzymy jak powstają pod technieniem Świętego, miał on plan z góry poczęty, przez długi czas głęboko obmyślany. Nie, on go nie miał wcale. Wszystko wypływało z serca gorącego, wrażliwego, czulego, które nie mogło obojętnie patrzeć na żadną nędzę, nie zadając sobie pytania: jak jej dopomódz? Wypływało to z umysłu mądrego, pełnego zdrowego rozsądku i zasobów, które wnet zniewały go do szukania najpewniejszych środków pomocy.

Widząc więc na ulicach Paryża tylu ubogich starców, dzieci, chorych i czując, że sam nie zdoła im skutecznie dopomódz, pomyślał o zainteresowaniu niemi dam ze świata. O kobietach pomyślał przedewszystkiem, bo w dziedzinie miłosierdzia one królują. Wszystko, co jest na ziemi dobrem, słodkim, czulem, poświęcającem się, bezinteresownem, wszystko to posiadać winna w najwyższym stopniu kobieta; nawet najbardziej światowa, największa egoistka, wzrusza się jednak wobec nędzy a cóż powiedzieć o tych, które przy wrodzonej delikatności i subtelności, posiadają jeszcze dusze, płomieniejące uczuciem miłości Boga i gotowością do wszelkich poświęceń w imię Boże.

Piękne już przykłady tego miał św. Wincenty w Châtillon, Mâcon, Joigny. Wszędzie kobiety szły na wezwanie jego i dokonywały cudów miłosierdzia. Dziś zostając na większej widowni, wobec straszliwej nędzy, uciekł się znów do tego samego źródła i z takim samym powodzeniem.

Opatrzność, przygotowawszy wiernego sługę swojego do zaopatrzenia potrzeb tylu nieszczęśliwych, zwraca teraz do niego zastęp niewiast wspaniałomyślnych i gotowych do poświęcania się, które miały wytworzyć zgromadzenie Pań Miłosierdzia, o czem dalej mówić będziemy.

Wymienimy z nich niektóre przynajmniej, aby dać wyobrażenie o tym wspaniałym ruchu, jaki się rozbudził wśród niewiast chrześcijańskich XVII wieku.

Pierwsze miejsce i ze stanowiska politycznego, i z piękności duszy zajmuje siostrzenica Richelieu'go, księżna d'Aiguillon. Mając lat szesnaście została mężatką, a w dziewiętnastym roku życia—wdową. Boleści swoje poszła koić wśród przyjaciółek swoich z Karmelu, panny de Fontaine i pani de la Bréauté, a pokornie i gorąco prosiła o habit św. Teresy. Lecz Richelieu, stojący u szczytu władzy i potęgi, marząc o królewskim małżeństwie dla niej, wyrwał ją z klasztoru, i uzyskał breve, którem Papież, ze względu na dobro ogólne, które mogła uskutecznić żyjąc w świecie, zabronił młodej wdowie wstąpienia do zakonu. Za wpływem wuja mianowana damą dworu Maryi Medicis, ukazała się w stroju skromnym, w sukni etaminowej, bez brylantów i kosztowności, lecz zdobna pięknnością i skromnością, które zachwyciły wszystkich. Najświetniejsi panowie ubiegali się o jej rękę, wśród których był nawet jeden z książąt krwi. Richelieu gorąco tego pragnął, lecz żelazna jego wola, nigdy nie znająca przeszkód, ugiąć się musiała wobec niezłomnego postanowienia siostrzenicy nie zawierania powtórnych związków małżeńskich i całkowitego poświęcenia się dobrym uczynom. Miała lat dwadzieścia, piękna nadzwyczajnie, olbrzymio bogata, jako siostrzenica pierwszego ministra, wielkiego kardynała Richelieu, zajmowała jedno z najwyższych stanowisko, a jednak pomimo to, nie bacząc na opór kardynała, zapragnęła ponownie wstąpić do zakonu i nawet udała się już do Karmelu. Richelieu wszakże otrzymał od Papieża nowe breve, zabraniające jej już nie na lat kilka, lecz na zawsze wstępu do Karmelitanek. Drugi więc raz opuściła Karmel z płaczem i z taką boleścią, że odchodząc, zemdląła. Otrząsnąwszy się z bólu, a wspomagana przez dwóch wielkich kierowników sumienia, św. Wincentego i o. Olierę, więcej niż kiedykolwiek, poświęciła się dobrym uczynom. Była aniołem opiekuńczym wuja, zarządzając domem jego, powstrzymując go w uniesieniach

gniewu, kierując dobrymi jego uczynkami, łagodząc często jego arbitralność. Była przy śmierci jego, zamknęła mu powieki, uprosiwszy dla niego po tak strasznej śmierci, śmierć budującą. Następnie była prawą ręką św. Wincentego, a ogromna jej fortuna zawsze była dla niego otwartą. Przez nią też mógł on zawsze znaleźć podpórę dzieł swoich pierwotnie u Richelieu'go, potem u królowej Anny Austriaczki. Mieszkając w małym Luxemburgu, w parafii św. Sulpicjusza, otrzymała od o. Olier kluczyk do kościoła, gdzie spędzała część nocy przed Najświętszym Sakramentem, co o. Olier sam ukryty, widział kilkakrotnie.

Po księżnie d'Aiguillon wymienić należy prezydentową Goussault, nie zajmującą tak wysokiego jak tamta stanowiska, lecz duszy równie wzniosłej, której pomiędzy innymi przypada zaszczyt poddania św. Wincentemu myśli utworzenia regularnego zgromadzenia Dam Miłosierdzia, gdzie też była pierwszą prezydentką. Zaślubiona prezydentowi izby obrachunkowej, wcześniej owdowiała. Matka pięciorga dzieci, „bogata i jaśniejąca pięknnością”,¹⁾ z wychowaniem swych małych dzieci, łączyła najczulszą miłość dla ubogich. Była to niewiasta pełna trzeźwego sądu, wysokiego rozumu, do której św. Wincenty raz wraz udawał się o poradę. Do niej w razie nadarzających się trudności odsyłał p. Le Gras ze słowami: „dowiedzieć się, co myśli prezydentowa”. Prowadziła ona życie siostr Miłosierdzia, gdy te rozpoczynały zaledwie swoje prace, a przy przedwczesnej śmierci (1639) jedynie tego żałowała, że nie była zupełnie zaliczoną do szczupłego wówczas jeszcze ich grona. Jej zawdzięczamy dwa wyborne dzieła: organizację zgromadzeń miłosierdzia i nową organizację szpitala Hotel-Dieu, o którym później mówić będziemy.

Dołączyć tu musimy drugą prezydentową, przyjaciółkę tamtej, osobę podniosłego umysłu i nieustraszonej odwagi, Karolinę de Ligny prezydentową de Herse. Kuzynka o. Olier, kształcona przez św. Franciszka Salezego, który „mówił ją jak duszę swoją”, i chrzczył jedno z jej dzieci, była to osoba niezrównanej zarliwości w sprawach dobroczynnych, a w dziełach rozpoczętych nie znała cofania się. Dała ona św. Wincentemu dom

swój na Frêneville, dla założenia tam instytucji Miłosierdzia, którą utrzymywała swoim kosztem. Lecz co najwięcej ją pociągało, bezwątpienia za wpływem św. Wincentego, to pomoc w przedsięwzięciu uświętobliwienia kleru. Przed żadną ofiarą nie cofała się, gdy chodziło o urządzenie ćwiczeń dla ordynandów w Chartres i w Paryżu, co jak wiadomo, było wstępem do fundacji seminariów.

A nie należy pominąć w tym pierwszym gronie wielkiej przyjaciółki księżny d'Aiguillon, margrabiny du Vigean, wysokiego urodzenia, i znacznej fortuny, która najpierw od o. de Bérulle, a potem od św. Wincentego nauczyła się sztuki świętobliwego użytkowywania majątku swego. Miała ona dwie córki: jedna pozostała na świecie i zawdzięczając przyjaźni księżny d'Aiguillon została księżną de Richelieu, i odznaczała się pomiędzy najdystyngowańszymi osobami miłośnikami swego czasu; druga, młodsza, Marta du Vigean, której młodość bez zarzutu, później licznymi burzami była zakłócona, zaledwie dziesiętnastoletnia, podobala się młodemu księciu d'Enghien, bohaterowi z pod Rocroy, który zapalał gwałtowną ku niej miłością. Współcześni autorowie powiadają, że nigdy nie widziano podobnie gwałtownego uczucia; nie mógł się z nią rozstać. Na wojnę odjeżdżał, zalewając się łzami, a raz nawet, w czasie tej kampanii, w której odniósł zwycięstwo pod Nordlingen, przy pożegnaniu z ukochaną omdlał. Panna Marta wzruszoną była uczuciami tego wielkiego człowieka i chociaż nie okazywała mu obojętności, to jednak główną cechą stosunków jej z młodym księciem była czystość anielska. Prawie przemocą ożeniono księcia z inną osobą, niekochaną, z którą usiłował on przez króla i papieża zerwać to małżeństwo, ciesząc się nadzieją otrzymania upoważnienia do poślubienia panny de Vigean. W czasie tych słodkich marzeń, które porywały młodociane serduszek dwudziestoletniej dziewczyny i otwierały przed nią widoki iście królewskiego małżeństwa, pewnego dnia św. Wincenty odwiedził chorą jej matkę. Po skończonej wizycie młoda panna musiała przeprowadzać wychodzącego Świętego. Schodząc ze schodów, św. Wincenty raptownie zwraca się ku niej ze słowami: „Pani nie jesteś dla świata stworzoną”. Młoda osoba pomyślała sobie w duszy: „Gdyby ten człowiek był prorokiem, nie mówiłby tego”. Potem wiedząc jak wiele mógł on u Boga, zadrżała na myśl, że Święty mógł uprosić dla niej powołanie

¹⁾ Vie de M^{me} Le Gras str. 120.

zakonne i głosem wzruszonym błagała go, by tego nie czynił. Święty uśmiechnął się i nie odpowiedział. Lecz ziarno było już rzucone i zakiełkowało a po niejakiem czasie świat z podziwem dowiedział się, że panna Marta du Vigean ukryła swą piękność i młodość, że pogrzebała nadzieje i marzenia swoje w wielkim Karmelu, pod imieniem siostry Marty od Jezusa.¹⁾

A oto teraz zgola inna osoba, panna Pollalion, Marya de Luimague, która w pierwszej młodości, w zapale niezwyklej pobożności, bardzo pragnęła zostać kapucynką przy ulicy Saint-Honoré, lecz rodzice, pod pozorem jej zdrowia, zmusili ją do wyrzeczenia się tego zamiaru i zaślubienia Franciszka Pollalion, rezydenta francuskiego w Raguzie, który wszakże po kilku latach małżeństwa umarł w Rzymie. Dwudziestoseścioletnia wdowa, obdarzona bujną inteligencją, nieomieszkała opuścić dworu, na którym jaśniała urokiem cnoty, a nawet, jak zapewniano, czyniła cuda i oddała się dobrym uczynom pod kierunkiem św. Wincentego. Ten poznawszy jej rozum i światło, posłał ją, jak powiada historyk: „z p. Le Gras i kilku innemi damami na zwiedzenie wiosek i utrzymanie konfraterni miłosierdzia, ustanowionych na prowincyi”. Te dwie dusze zdawały się stworzone do tego, aby się rozumiały i dopełniały wzajemnie. Pollalion żarliwa, przedsiębiorcza, niecofająca się przed żadną przeszkodą, zdolna zarówno spoliczkować publicznie kobietę, która chciała zdeprawować młodą dziewczynę, jak też przebrać się za służącą, aby łagodnością pozyskać inne mniej przewrotne kobiety, lub też występować jako wieśniaczka dla nauczania ciemnych mieszkańców wsi; mogła skorzystać tylko ze stosunku z panią Le Gras, mądrą, roztropną, zrównoważoną. Ta zaś ostatnia mogła od p. Pollalion nauczyć się większej dokładności i energii oraz pewności siebie i stanowczości, które w mniejszym posiadała stopniu.²⁾ Niezależnie od usług, które oddawała jako dama Miłosierdzia, towarzysząca p. Le Gras po wsiach, miała ona szczególnie pociąg do zaopiekowania się młodemi dziewczętami, których piękność lub ubóstwo, albo opuszczenie przez rodziców, wystawiały na niebezpieczeństwo upadku. Sprzedała swój powóz,

¹⁾ Cousin, Madame de Longueville II rozdz. II. Patrz też w Dodatku, notatkę do II rozdz.

²⁾ Vie de M-lle le Gras. str. 71.

swoje kosztowności i ograniczyła się do najskromniejszego życia. Wspomagana przez córkę i zięcia Klaudyusza Chastelain'a, sekretarza najpierw Rady stanu, a potem królowej Anny Austriaczki, założyła wielki dom przy ulicy Arbalète w pobliżu Val-de-Grâce. Zebrała tam sto ośmdziesiąt dziewcząt, wykształciła mistrzynię do ich kierowania, sama zaś żebrała, celem zdobycia środków na ich wyżywienie. Do tak wielkiego poświęcenia przygotowywała się pod kierownictwem św. Wincentego à Paulo.

Obok tych pobożnych niewiast i w tym samym rzędzie wspomnieć należy prezydentową Lamoignon. Kierowana początkowo przez św. Franciszka Salezego, a potem przez św. Wincentego, oddała się tyłu dziełom miłosierdzia, że lud nazwał ją *matką ubogich*. Gdy widziano św. Wincentego à Paulo, udającego się do prezydentowej, to mawiano: „Oto ojciec ubogich idzie do matki ubogich”.¹⁾ Zawiadomiony o jej śmiertelnej chorobie, św. Wincenty poszedł odwiedzić ją po raz ostatni na łożu śmiertelnem, a jego w tej chwili modlitwy, łkaniem przeplatane, były niezrównaną dla niej pochwałą. Na szczęście została po niej córka, która wyrównała, a nawet przewyższyła matkę w miłosierdziu.

Wspomnijmy także panią Fouquet, matkę ministra; świętobliwą duszę, pełną wielkoduszności i wiary. Gdy dowiedziała się o nielascie dworu dla swego syna, poprzestała na wyrzeczeniu tych słów: „Dziękuję Ci, mój Boże! Zawsze błagałam o zbawienie syna swego, i oto otwiera się droga dla niego”.

Do tej grupy dołączyć też trzeba panią de Miramion, która nieco później przyłączyła się do niej, lecz od pierwszej chwili zajęła wybitne miejsce. Po sześciu miesiącach najszczęśliwszego, najczulszego i najbogobojniejszego małżeństwa, owdowiała, mając lat szesnaście (1645). Od czterech i pół miesięcy w poważnym stanie, po śmierci męża, była chwila, iż omal nie umarła sama ze smutku i boleści. Uratowana przez wiarę i moc ducha, dla dobra dziecięcia, które nosiła w swoim łonie, pod przewodnictwem św. Wincentego rozpoczęła życie, poświęcone szerokiemu miłosierdziu. Odziana jak służebnica, prosiła panią Le Gras, by mogła asystować jej przy odwiedzaniu ubogich na przedmieściach i instytucjach miłosierdzia po wsiach. Przedziwna jej piękność, jaśniejąca i pod ubogą szatą

¹⁾ Summa str. 152.

służebnej, była przyczyną, że najświetniejsi konkurenci ubiegali się o jej rękę. Najnatarczywszym był śmiały i sławny Bussy-Rabutin'a, pałający wielką miłością ku niej. Natarczywość jego opamiętała ona swoim, zachowaniem się pełnem godności i dostojeństwa, lecz aby podobne ataki nie mogły się powtórzyć, zaklinała św. Wincentego à Paulo o pozwolenie ukrycia się w klasztorze Wizytek. Pomimo całego niebezpieczeństwa, Święty nie chciał się zgodzić, pragnąc zachować taką podporę dla wielkiego ruchu dobroczynnego, który zarysowywał się coraz wyraźniej.

Istotnie też p. de Miranion nie omieszkła stanąć na czele dzieł miłosierdzia. Zebrała do domu swego około Saint-Nicolas-des-Champs, małe sieroty, które żywiła i nauczała sama. W r. 1651, gdy nastał głód, rozdawała u drzwi swoich przeszło dwa tysiące porcyj zupy. W r. 1652, gdy nędza powiększyła się, a dochody jej nie mogły wystarczyć, sprzedała swój naszyjnik pereł za 24.000 franków, a wkrótce potem wszystkie swoje srebra stolowe. Lecz jeszcze bardziej dowiodła, że była prawdziwą córką św. Wincentego à Paulo, przez swoją gorliwość względem kleru. W Hôtel-Dieu swoim kosztem urządziła specjalne sale dla starych lub chorych kapłanów i wytworzyła to, co nazwane zostało *la bourse clericale* (kasa duchowna), przeznaczona na zapomogi dla tych, którzy czuli powołanie do stanu duchownego. P. de Miramon sama była ich skarbniczką; testamentem rozlegowała na ten cel piętnaście tysięcy liwrow.

Wspomnieć tu jeszcze trzeba panią Le Gras, o której w następnym rozdziale szerzej mówić będziemy. W dwudziestym czwartym roku życia, oddała się ona na posługi ubogim z taką nieustraszoną odwagą, że nie obawiała się styczności z zapowietrzonymi. Św. Wincenty nie mogąc ukryć swego zachwyty dla jej bohaterstwa, pisał do niej: „Wyznaje pani, że z początku tak to rozczuliło serce moje, iż gdyby nie noc, to wnet bym się udał, by zobaczyć panią. Lecz dobroć Boga nad osobami, które się oddają na usługi ubogich w konfraterni miłosierdzia, z pośród których żadna dotąd nie została dotknięta zarazą, wzbudziła we mnie zupełną ufność, że i panią zaraza oszczędzi. Czy pani uwierzy, że nie tylko odwiedziłem podprzeora od Św. Łazarza, który umarł z zarazy, lecz odczuwałem nawet oddech jego na sobie? A jednak ani ja, ani ci, co ze mną byli

przy skonaniu, nie zaraziliśmy się. Nie lękaj się więc Pani; Pan Nasz chce, abyśmy służyli Mu w czemś, co się tyczy chwały Jego i mniemam, że dla tego zachowa panią”.

Zastęp cały innych jeszcze dam przyjmował udział w tym dobroczynnym ruchu. Była tam dobra panna Dufay, o której w wielu swych listach wspomina św. Wincenty à Paulo, w wyrazach największego szacunku i wielkiego zaufania; p. du Fresne, wdowa po jednym z dawnych przyjaciół Świętego, o której mówił, że na niej jak na skale polegać można, tak cnota jej jest mocną; dobra panna Viole, co do której nie wiedział jak wypowiedzieć, ile go cieszyła i budowała; pani de Traversay, de Bullion i de Nicolai; pani Joly, panny Cornuel i cały zastęp innych, których niepodobieństwo tu wyliczać, a wszystkie więcej jeszcze odznaczające się cnotą, niż wysokiem stanowiskiem a niekiedy i majątkiem. Zajęte osobiście dobrymi uczynkami, zostały przez św. Wincentego à Paulo połączone i wzmocnione przez to zjednoczenie pod takim wodzem; szły też na czele tego ruchu miłosierdzia, największego o jakim historia zachowała wspomnienie.

Zgromadzenie dam Miłosierdzia, jak poczęto nazywać je w Paryżu, nie było prostem tylko zbieraniem się dam pobożnych, przychodzących na Mszę świętą i aby posłuchać nauki. Było to dzieło zupełnie zorganizowane, mające prezydentkę, skarbniczkę, sekretarkę, wybierane większością głosów na trzy lata. Zdawano sprawozdania z rozdanych zasiłków, przyczem każda z dam powiadamiała o ubogich, przez nią odnalezionych. Postanowienia zapadały większością głosów. Św. Wincenty nie chciał być ani prezydentem ani dyrektorem tych zebrań; stawał tylko przed temi paniami w charakterze obrońcy i rzecznika ubogich, przyczem nie rozporządzał się sam, ale zostawił paniom zupełną swobodę postanowień. Naradzano się na przykład nad tem, czy do rozdzielania wsparć należy włączyć i protestantów. Była to myśl marszałka Fabert'a; Św. Wincenty poparł ją. Innym razem pokornie wyciągając rękę, błagał o pomoc dla Lotaryngii, dla Rethel, dla Saint-Quentin. Gdy miał prosić o wsparcie dla ubogiej rodziny, to sam zasięgał dokładnych wiadomości, nie chcąc, by zawierano

1) Feillet. La Misère au temps de la Fronde Paris str. 238. 1865.

tylko słowu jego. W tece jego znajdowano notatki o nędzach, jak na przykład taka: „Dowiedzieć się czy to prawda, dla powiadomienia o tem dam Miłosierdzia, że temu biednemu szlachcicowi nic nie zostaje na życie; czy ma on dzieci i ile.”¹⁾ Gdy miał coś do zakomunikowania, zabierał głos z wielką prostotą, z gotowością do zastosowania się do decyzji innych. Niektóre damy czyniły mu z tego powodu wyrzuty; jedna z nich np. powiedziała mu raz: „Czemu nie zastosować się do zdania Ojca, które jest najlepszym?” „Nie podobało się to Bogu, odpowiedział, żeby lichy myśli moje, miały przeważać ponad zdanie innych; rad jestem, że Bóg sprawy swoje prowadzi bezemnie, który jestem nędznikiem”.

Czy można odmówić czego w ten sposób proszącemu? To też panie Miłosierdzia nie tylko same bardzo wiele dawały, lecz jeszcze i kwestowały dla niego; stawały się kasyerkami jego. Wyjawszy jednego wypadku, o którym wnet powiemy, gdzie trzeba było, by pociągnął ich za sobą wymową serca swego, zwykle były skarbnicami, z których mógł czerpać pełnemi rękoma. Razu jednego panie Miłosierdzia chcąc mu uczynić miłą niespodziankę, przez ręce pani Lamoignon ofiarowały zebrane pomiędzy sobą 80,000 franków na restaurację św. Łazarza: „O, nie, powiedział dobry nasz Święty, pieniądze te bardzo dobrze przydadzą się naszym ubogim”. Innym razem pani de Bullion ofiarowała 80.000 franków na szpital jeneralny. (Hôpital-General). Te pieniądze z gorącym podziękowaniem przyjął św. Wincenty à Paulo. Pobożna Anna-Marya Martinuzzi przysłała mu dla biednych jego, prosząc o sekret przy tem, strój wartości 50,000 talarów, co równa się 200.000 dzisiejszych franków. Święty sprzedał to Ludwikowi XIV, bo tylko król mógł zapłacić tyle. Nie wszystkie dary były tak wielkiej wartości, lecz codziennie napływały tem większe, im głębsza okazywała się nędza. Gdy oplakany stan kraju przeminał, po zawarciu pokoju Pyrenejskiego, obliczono, jak zobaczymy niżej w szczegółach, że panie Miłosierdzia na wspomóżenie prowincyi wysłały co najmniej dziewięć milionów zapomogi.

Lecz panie Miłosierdzia nie poprzestawały na samych tylko datkach i zbieraniu pieniędzy, aby być niewyczerpanemi kasyerkami św. Wincentego à Paulo, śpieszyły one nadto z oso-

bistą posługą ubogim w Hôtel-Dieu. I oto dbał przedewszystkiem św. Wincenty. „Posłać pieniądze nie małą jest rzeczą, mawiał, lecz wtedy dopiero zaczynamy służyć ubogim, gdy nawiedzimy ich osobiście”. A nie tylko zachęcał do tych osobistych odwiedzin ubogich, lecz nauczał, jak mianowicie należy do nich przychodzić, jak z nimi mówić, jak im służyć. I pod tym względem wchodził w najdrobniejsze szczegóły. „Idąc do ubogich, mówił, należy zostawić w domu swoje klejnoty, koronki, a ubrać się skromnie, bo kontrast pomiędzy zbytkiem z jednej a ubóstwem z drugiej strony, boleśniej się jeszcze odczuwać daje ubogim”. Zalecał też, aby unikano zarówno poufałości, jak i wyniosłości; aby traktowano ubogich z prostotą i szlachetnością, jak osoby wyższego stanu, żeby wchodzono do nich z oznaką głębokiego szacunku. „Łaknąłem i nakarmiliście mnie; chory byłem i nawiedziliście mnie”; często tłumaczył te słowa. „Jaki to wielki zaszczyt odwiedzić Jezusa Chrystusa, przyodziać Jezusa Chrystusa! Nie ubogich tylko samych macie oglądać. Widok tych może was odstraszyć; trzeba abyście widzieli samego jedynie Jezusa Chrystusa; On was pociągnie ku sobie, On was zachwyci”. Święty nasz lubił szczegółowo wskazywać rady co do głębokiego szacunku, z którym należy się zbliżać do ubogich: panowie z głową odkrytą, panie schylone jak przed kimś wyższym. To wystarczy przy spotkaniu publicznem; lecz gdy zostaną same z ubogimi, chciałby, żeby klękały u nóg ich i całowały. Doradzał zresztą to tylko, co sam czynił. Spotykając się z ubogim „pierwszy odkrywał głowę, a rozmawiając z nimi, i dając jałmużnę, kapelusz swój trzymał w ręku. Często ścisnął ich i całował ich nogi przed oddaniem ofiary swojej. Słowem, traktował, zgodnie z orzeczeniem swoim: jako panów i mistrzów swoich”. Ustawicznie powtarzał: „Ubdzy i chorzy — są to panowie nasi, ponieważ w nich jest Pan Nasz, a oni w Panu Naszym.”¹⁾ Mieście wielkie staranie o panach naszych i mistrzach, tych dobrych wieśniakach”.²⁾ Zawsze miał dwoje ubogich przy obiedzie swoim; byli to jego goście honorowi. Sadzał ich po prawej i po lewej swojej, kazał podawać im potrawy przed sobą i przed osobami swego Zgromadzenia; sam im usługiwał, z ukłonem peł-

¹⁾ Tże. 242—248.

¹⁾ Lettres de S. Vincent de Paul I 304 Nr. 286.

²⁾ Tże. str. 349, Nr. 310.

nym uszanowania a że najczęściej byli to starcy, więc często spotykał i przeprowadzał ich, pomagając przy wejściu na schody, prowadzące do refektarza".¹⁾

Kto sam tak obchodzi się z ubogimi, ten i mówić o nich umie. Przemówienia te porywały słuchaczy. Pewnego razu prezydentowa de Lamoignon zwracając się do księżnej Mantuańskiej, zauważyła: „czyż nie możemy powiedzieć z uczniami z Emmaus, że serca nasze pały miłością Boga, gdy przemawiał do nas o. Wincenty? Co do mnie, chociaż tak mało wrażliwą jestem na rzeczy dotyczące się Boga, to jednak czuję w sercu woń balsamiczną tego, co mówił nam ten człowiek”. „Nie można się temu dziwić, odrzekła Marya Gonzaga, bo jest on aniołem Pańskim, który w ustach swoich nosi węgiel rozżarzony miłości Bożej, palącej w sercu jego”. „To bardzo słuszne, dodała trzecia z obecnych, i nam nie pozostaje, jak wziąć udział w żarliwości tej samej miłości”.

Św. Wincenty chciał, by panie Miłosierdzia nie tylko nawiedzały ubogich, lecz zalecał im własnoręczną pracę, zwłaszcza szycie odzieży dla ubogich. Schodziły się one w tym celu w Paryżu, a następnie każda z nich zaprowadzała na prowincyi w zamku swoim ten zwyczaj pobożny, który wzruszał głęboko i budował otoczenie. Królowa polska Marya Gonzaga wierną pozostała tej tradycyi. Święty Wincenty à Paulo pisał do niej: „Dobre dziewczęta nasze wzruszeniem przepelnione były, gdym im mówił, że Wasza Kr. Mość sama zwija nici, potrzebne do szycia bielizny dla ubogich. Bezprzykładnem to jest w Kościele Bożym. Dobrze wiemy, że historia wskazuje nam księżniczkę zwijającą nici, któremi miała się posługiwać przy robocie do okrycia swego ciała, lecz nie przypominam sobie żadnej, któraby pobożność swoją tak, jak Wasza Kr. Mość, posuwała aż do wykonywania własnoręcznej roboty na usługi ubogich. Sądzę Pani, że Bóg sam pokazuje to aniołom i duszom błogosławionym, jako przedmiot podziwu i że Kościół święty na to patrzy w tym samym duchu. Niech będzie chwała i cześć Bogu za łaski, zsyłane Waszej Kr. Mości i niech Bóg raczy zachować Panią przez długie lata ku zbudowaniu Kościoła Bożego”.

¹⁾ Maynard. IV. str. 324.

Z początku zgromadzenia pań odbywały się u św. Łazarza, lecz św. Wincenty wiedząc, że ziarna wtedy owoc przynoszą, gdy są rozsiane, chciał, aby zgromadzenia te odbywały się kolejno w różnych dzielnicach Paryża; to u księżny d'Aiguillon w Małym Luksemburgu, to u Pani de Lamoignon w dziedzińcu Pałacowym, albo u pani prezydentowej de Herse, przy ulicy Pavée, lub u pani de Miramion przy ul. Bernardyńskiej.

Panie te przyjmowały udział we wszystkich dziełach miłosierdzia, podtrzymując je, kierując niemi, niekiedy reformując je i zachęcając do nich, a że nie mogły wszystkie naraz zajmować się tak wieloma sprawami, więc podobnie jak w zgromadzeniach politycznych tworzone komisye, do zbadania tej lub owej kwestyi. Skutkiem tego wielkie zgromadzenie pań Miłosierdzia, nie zrywając jedności, stopniowo dzieliło się na poszczególne grupy, odpowiednio do zajęcia się każdym oddzielenie z wielkich dzieł miłosierdzia.

Stowarzyszenia pań Miłosierdzia, o którym tu mówimy, nie jest to samo co kontraternia Miłosierdzia; różnią się one pomiędzy sobą i co do daty ustanowienia, i co do organizacyi, i co do celu. Stowarzyszenie czyli zgromadzenie pań Miłosierdzia, ustanowione zostało początkowo dla pomocy chorych w Hôtel-Dieu 1634 roku i wkrótce objęło wiele innych dzieł; liczyło ono do trzechset członków z najwyższych klas społeczeństwa i współdziałało z św. Wincentym w wielkich, dziełach wypełniających ostatnie dwadzieścia pięć lat jego życia. A początek jego był taki:

Prezydentowa Goussault często odwiedzała Hôtel-Dieu, gdzie miała kuzynkę zakonnicę. Zwiedzając z nią sale, spostrzegła pewne nadużycia, a przynajmniej pewne braki. W ciągu roku przesunęło się około dwudziestu pięciu tysięcy osób, różnego wieku, różnej płci, różnych krajów i różnej religii. Jak wiele dobrego możnaby tam zrobić, gdyby wszystko należycie było zarządzone. Lecz napróżno czcigodna zakonnica Małgorzata Bouquet od Przenajśw. Imienia Jezus przed dwudziestu laty (1613) tchnęła tam była ducha Bożego poprzez te wyziewione pierwiastki miłosierdzia; po niej zło odżyło i nadużycia mnożyć się zaczęły. Nasz Święty uważnie słuchał opowiadań prezydentowej Goussault, a uznając w zupełności, że narzekania były słuszne, i że tam wiele jest do zrobienia, mówił

jednak, że sprawa jest natury wielce złożonej. „Nie podobałoby się Bogu, żebym miał iść z kosą moją na cudzą niwę! Hôtel Dieu zarządzany jest i pod względem duchownym i materialnym przez osoby, które uważam za rozumne. Nie posiadam ani charakteru, ani powagi, aby przeszkodzić nadużyciom, które mogły się tam wkraść, jak zresztą bywają wszędzie. Trzeba mieć nadzieję, że ei, do których należy zarząd tego wielkiego domu, znajdą potrzebne środki.” Złote były słowa św. Wincentego, ale nie zawsze wystarcza to niewiastom. Były tam nadużycia, które usunąć należało, były braki, które trzeba było uzupełnić, a więc nie można było zważać na delikatność, skromność i nieśmiałość naszego Świętego. Widząc, że nic nie wskóra u św. Wincentego, prezydentowa Goussault udaje się do arcybiskupa Paryskiego i otrzymuje od niego w 1634 r. list, w którym ten oznajmia, że pragnąłby bardzo, aby św. Wincenty zastosował się do przedłożeń prezydentowej.

Po otrzymaniu tego listu nasz Święty nie wątpił już o wyrażnej woli Bożej i niebawem „bez dalszych wahań i odwołki, zaprosił kilka dam wyższego stanowiska i znanej pobożności na oznaczony dzień do prezydentowej. Panie de Ville-Savin, de Bailleul, du Mecq, de Saintctot, de Pollalion stawily się na zaproszenie” i tu bezpośrednio zostało zorganizowane dzieło. Drugie zebranie było jeszcze liczniejsze. Widziano tam panią kanclerzową Francyi, Elżbietę d'Aligre, Annę Petau, wdowę po gubernatorze de Traversy, i Maryę Fouquet matkę nadintendanta finansów. Postanowionem zostało, że odtąd panie Miłosierdzia codziennie po cztery, odwiedzać będą ubogich w Hôtel-Dieu. Proszono Świętego o napisanie regulaminu, który on doskonale, z właściwą sobie przenikliwością ułożył. Po przybyciu do Hôtel-Dieu panie powinny udać się przede wszystkim do sióstr i bardzo pokornie prosić je, czy nie chciałyby pozwolić im pomagać w posłudze chorym. Nie można odmówić takiej prezydentowej Goussault, takiej Lamoignon, takiej Maryi Gonzadze: przed takimi paniami kłaniano się z uszanowaniem i propozycję uważano za zaszczyt. W ten sposób panie Miłosierdzia wstąpiły do Hôtel-Dieu, zbliżały się do łóża chorych, przełamały zaśnieżoną rutynę, ożywiały suche nawyki ducha wiary i w ten sposób dokonywały gruntownej reformy. W ciągu pierwszego roku, dzięki takiemu postępowaniu było więcej, niż siedemset sześćdziesiąt nawróceń Turków rannych i wię-

tych do niewoli na morzu, jako też protestantów i kalwinów. Obywatele Paryża, opłacając za swe utrzymanie ubiegali się o przyjęcie do Hôtel-Dieu na wzór ubogich, aby korzystać z opieki pań Miłosierdzia.

Gdy w ten sposób jedna komisya, kierowana przez prezydentową Goussault, troszczyła się o chorych w Hôtel-Dieu, druga, stworzona i kierowana przez prezydentową Lamoignon, zajęła się więźniami. Pierwsza kategoria, którą miano na względzie, to więźniowie zatrzymani za długi, nieszczęśliwi biedacy, którzy wpadli w nędzę, utratą osobistej wolności musieli opłacać niemożliwość zadowolenia swoich wierzycieli. Panie odwiedzały ich, wypytywały się o przyczyny zaciągniętych długów, skłaniały do wyznania błędów, pocieszały i podawały rady, tem łatwiej przyjmowane, że towarzyszyła im najczęściej spłata długów i otwieranie bram więziennych. Znaczna suma corocznie wypłacaną była paniom Miłosierdzia przez dwór, jako zapomoga w tak pięknym dziele. Przychodzono również z pomocą i pociechą do innych więźniów, a św. Wincenty chciał, żeby odwiedziny te rozciągały się i na galerników, dla których właśnie bogaty finansista p. Cornuel, ustanowił piękną fundację. „Oczekuję pisze św. Wincenty córki p. Cornuel który zostawił sześć tysięcy liwrow renty dla skazańców, aby złagodzono ich los i niesiono im pomoc”.¹⁾ Księżna d'Aiguillon dodała jeszcze 1500 liwrow rocznego dochodu tak, że wnet przy udziale pań Miłosierdzia dzieło opieki nad więźniami zakwitło w całej pełni.

Inne jeszcze dzieła pochłaniały dochody i korzystały z poświęcenia się pań Miłosierdzia, a mianowicie: dzieło opieki nad młodemi dziewczętami pani Pollalion, przytułek dla starców, dom Magdałek, lecz przede wszystkim dzieło podrzutków, ten najpiękniejszy wieniec ozdabiający czoło św. Wincentego, który też wymagał najwięcej serca, poświęcenia się i ofiary.

Co piękniejszego nad dziecię? A jednak przed narodzeniem Jezusa Chrystusa były to istoty najbardziej opuszczone, poniewierane i odrzucone. O ile dziecię było słabe, wątłe, rzucano je do wody. Boska słodycz Chrystyanizmu nie zdołała jeszcze w XVII wieku wykorzeńić zupełnie ohydnych obyczajów. „Pewnego wieczoru św. Wincenty à Paulo, wracając z misyi, spotkał pod murami Paryża żebraka, zajętego wykręcaniem członków

¹⁾ Lettres de S. Winc. de P. rst. 283. Nr. 273.

jednego z tych dzieci, które miały służyć za środek do wzbudzenia współczucia przechodniów. W oburzeniu zawołał: „Ach! ty barbarzyńco, zwiodłeś mię, zdaleka brałem cię za człowieka”. i to mówiąc, odbiera od niego nieszczęśliwą ofiarę, bierze ją na ręce i odnosi do Saint-Landry”.¹⁾ Tam był dom nazwany *la Couche*, do którego przynoszono podrzutków; dom ubogi, źle zorganizowany, którego cały zarząd składał się z jednej wdowy i dwóch posługaczek, a znoszono tam, jak poświadczają raporta policyjne, po trzysta do czterechset dzieci rocznie. Nasz Święty, wzruszony tem, co widział i o czem się dowiedział, zebrał zgromadzenie pań Miłosierdzia i wzruszył je opowieścią istotnego stanu rzeczy. Utworzoną została natychmiast komisya dla odwiedzania domu *la Couche*, gdzie dowiedziano się o strasznych rzeczach. W sposób bezwstydnny handlowano dziećmi. Sprzedawano je lub opuszczano zupełnie przy najmniejszym zasłabnięciu; a co najboleśniej dla serc chrześcijańskich, większa część tych dzieci umierała bez Chrztu świętego. Św. Wincenty chciał je wszystkie wykupić, lecz jak to uczynić? Wylosowano dwanaścioro, które oddano na staranniejse wychowanie, a w oczekiwaniu czegoś lepszego, ustanowiono rodzaj miłosiernej inspekcji nad resztą. Czuwano nad tem, by były ochrzczone i żeby im na niczem nie zbywało, a od czasu do czasu robiono obrachunek niemowląt, aby żadne nie było oddane na wstrętą spekulacyę.²⁾

Święty Wincenty coraz bardziej uważał za wstrętne owo losowanie dwanaściora dzieci z ogólnej liczby trzechset czy czterechset, przynoszonych corocznie do domu *la Couche*. Czemu by nie przytulić wszystkich? Za wielka ich liczba! Lecz co to może znaczyć, wszak Serce Boże pomieści o wiele większą. Biegał tedy do swego zgromadzenia pań i tak gorąco nalegał, że w serdecznem uniesieniu, przyjęły na siebie obowiąz-

¹⁾ Manyard III, str. 329.

²⁾ Legenda wskazująca Św. Wincentego à P., przebiegającego po nocach ulice miasta i zbierającego opuszczone dzieci, nie jest opartą na żadnym autentycznym dokumencie. Opowieść o dziennych i nocnych wybiegach, rzekomo dokonywanych przez siostry Miłosierdzia, jest czystym wymysłem. Nowoczesny historyk Capefigue, który pierwszy podał to opowiadanie, nie mógł go poprzeć żadnym dowodem. (Capefigue. *Vie de Saint Vincent de Paul*. str. 67).

ki troszczenia się o wszystkie te dzieci. Stało się tedy więcej, niż można było zrobić. Aby przyjść z pomocą tym paniom św. Wincenty, wzruszony do głębi serca ich poświęceniem, decydował się na krok nadzwyczaj śmiały: zwrócił się do królowej, która przeznaczyła znaczne sumy i do króla, który wydał mu patenty z rentą roczną ośmiu tysięcy franków; zwrócił się też do możnych panów, którzy tę rentę podnieśli do czterdziestu tysięcy franków. Sumy to znaczne, a jednak jeszcze nie wystarczały na skuteczne zaopiekowanie się wielką liczbą dzieci opuszczonych.

W zwykłych czasach możnaby z tak znacznymi środkami zaspokoić najgłówniejsze potrzeby, lecz wkrótce klęski, które nawiedziły Lotaryngię, Szampanię, Burgundię, wojny Fron-dy uszczupliły pierwotną rentę, a panie Miłosierdzia z płaczem oświadczały, że tak nadzwyczajne wydatki były ponad ich siły, i że wobec tego trzeba zaniechać dzieła. Św. Wincenty przerażony myślą upadku instytucji tak potrzebnej, czyni nowe, wprost bohaterskie wysiłki; rozsyła najzarliwsze i najrzęczniejsze panie po wsiach celem szukania tam pomocy a nakoniec, gdy się i te źródła wyczerpują, zwołuje nowe, większe zgromadzenie pań, aby podwoić starania.

Na liczmem zgromadzeniu nasz Święty na porządku dziennym postawił pytanie: Czy rozpoczęte dzieło ma być prowadzone dalej, czy też zaniechane? „Od waszej to, panie, woli zależy, powiedział, nie jesteście związane żadnem zobowiązaniem i od dziś dnia cofnąć się możecie. Lecz przed powzięciem ostatecznego postanowienia, zechciejcie rozważyć czego dokonałyście, a co zamierzacie uczynić. Dobroczynnemi staraniami waszemi uratowałyście życie bardzo wielkiej liczby dzieci, które bez tej pomocy zginęłyby i dla doczesności i dla wieczności. Niewiniątka te, ucząc się mówić, nauczyły się poznawać Boga i służyć Mu. Niektóre z pomiędzy nich zaczynają pracować i nie są już ciężarem nikomu. Tak pomyślnie początki, czyż nie są zapowiedzią jeszcze większego powodzenia?”

I wtedy Święty, nie mogąc powstrzymać uniesienia serca swego, wygłosił tę sławną przemowę. „Znam współczucie i miłosierdzie wasze, panie moje, względem tych małych istot, któreście przyjęły za własne dzieci. Zostałyście ich matkami w drodze łaski, odkąd ich opuściły matki rodzone. Pomyślcie, czy zechcecie teraz i wy je opuścić? Przystaniecie być matkami,

by zostać sędziami; ich życie albo śmierć w waszem pozostaje ręku. Wnet zacznę zbierać głosy; czas już wydać wyrok i wiedzieć, czy chcecie mieć miłosierdzie nad niemi. Będą żyć, jeżeli i nadal nie odmówicie im swoich miłosiernych starań; w przeciwnym razie, jeżeli je opuścicie, zginą marnie. Doświadczenie, jakiego nabyłyście, nie pozwala wam mieć jakiegokolwiek pod tym względem wątpliwości”.

„Zgromadzenie łzami odpowiedziało na tak postawione pytanie, a zorientowawszy się, jednogłośnie postanowiło: że dobre to dzieło będzie nadal prowadzone”.¹⁾

Istotnie, prowadzone zostało dalej. Wspomagane czynną pomocą św. Wincentego, poparte nowymi patentami królewskimi, przebrnęło wiek XVIII, po królewsku przetrwało wiek XIX i dziś jeszcze stanowi wieniec chwały, otaczający głowę św. Wincentego i nowego blasku dodaje aureoli jaśniejącej nad Kościołem i Religią, wobec której uchyla czoło każdy człowiek, posiadający tkliwe serce.

Tymczasem owa druga instytucja konfraterni. Miłosierdzia, której początek i rozwój opowiedzieliśmy w rozdziale V pierwszej księgi tego dzieła, rozpowszechniała się coraz więcej. Dotarła do Paryża, gdzie przynosiła te same, co na prowincyi, owoce. W r. 1629 utworzona została konfraternia taka przy parafii Saint-Sauveur, potem u św. Mikołaja du Chardonnet i stopniowo prawie przy wszystkich parafiach miasta. Lecz z biegiem czasu pewne ostudzenie objawiło się wśród zgromadzeń, nadużycia wciskać się poczęły, ustawy nie zawsze były zachowywane. Aby złemu zaradzić i utrzymać wszędzie jednolitość i ożywić zapał, św. Wincenty od czasu do czasu posyłał niektóre pobożne i gorliwsze damy na zwiedzanie konfraterni i pobudzanie ich do świętej żarliwości. Jedną z pierwszych wysłanniczek takich, najczęściej obarczanych podobną misją, była p. Le Gras. Od r. 1629 widzimy ją, jak po otrzymaniu błogosławieństwa od św. Wincentego z tobolek udaje się do Szampanii, następnie do Montmirail i do sąsiednich wiosek. Miała zawsze ze sobą zapas bielizny, małą apteczkę i trochę pieniędzy. Zachodziła do kościoła, wstępowała do proboszcza, by mu złożyć uszanowanie, otrzymać

upoważnienie i błogosławieństwo, a także zasięgnąć potrzebnych wskazówek. Potem zbierała zgromadzenie dam, jeżeli już tam istniała konfraternia, jeżeli zaś dotąd nie było, starała się ją założyć; zgromadzała młode dziewczyny, mówiła im o miłości dla ubogich, zachęcając do oddania się na ich usługi. Następnego 1630 roku zwiedziła Saint-Cloud, Villepreux, Villiers-Belle, Liancourt i Bulle, docierając aż do Beauvais, gdzie znalazła ośmnaście zgromadzeń, ustanowionych przez biskupa. Zbierała je kolejno, i zachwycona tym ruchem dobroczynnym, nie mogąc opanować radości swojej, z takim zapałem przemawiała, że mężczyźni zbierali się pode drzwiami, by ją posłuchać. Gdy odchodziła, tłum ludu przeprowadzał ją daleko poza miasto, osypując ją błogosławieństwami. Po powrocie z tej podróży i chwilowym wypoczynku w Paryżu, zwiedziła Senlis, Verneuil, gdzie zatrzymała się u piekarza Lacaille; następnie Pont-Saint-Maxence, gdzie zamieszkała w murach de-la Fleur-de-Lys; była w Gournay, w la-Neufville-le-Roy i po raz drugi w Bulle. A wszędzie zbierała sprawozdania o rezultatach kwesty po domach, o użytku, jaki robiono z posiadanych funduszy, przeznaczonych na zakup ziemi, trzód owiec, i t. p. co do stosunków miejscowych, celem wytworzenia potrzebnych na cele dobroczynne dochodów. Następnie badała prowadzenie rachunkowości i ksiąg, do których wpisywano nazwiska członków zgromadzenia. Ku końcowi tegoż 1631 roku widzimy ją znowu dążącą do Szampanii, lecz niespodziewanie zatrzymaną przez biskupa z Châlon, chociaż świątobliwego, lecz znajdującego, że są to rzeczy nowe, nieznanne w Kościele, bez których dobrze obchodzono się dotąd. Biskup rozkazał jej powrócić do Paryża. Św. Wincenty z tego powodu pisze do niej: „Jeżeli biskup z Châlon każe ci wracać, a będziesz blisko niego, to dobrze zrobisz, starając się być u niego i z całą prostotą powiedzieć mu o tem, co czynisz. Poprosisz go, by raczył zbadać czynności twoje, oświadczając zupełną gotowość porzucenia wówczas swojej pracy, jeżeli on uzna to za właściwe. Takie postępowanie będzie prawdziwie w duchu Bożem”. Ponieważ biskup obstawał przy swoim, św. Wincenty napisał do pani Le Gras, iżby niezwłocznie wracała do Paryża, aby zaś ją pocieszyć, dodaje: „Jak szczęśliwą jesteś, że z tobą dzieje się tak, jak z Synem Bożym, gdy zmuszona jesteś opuścić okolicę, gdzie dzięki Bogu nic złego nie uczyniłaś. Naśladuj św. Ludwika, który

¹⁾ Maynard, t. III str. 336.

z takim spokojem wracał z wyprawy do Ziemi Świętej, chociaż zamierzonych przez się planów nie osiągnął, a może nigdy nie zdarzy ci się lepsza okazyja do oddania większej chwały Bogu, jak właśnie w tem zrzeczeniu się najlepszych twoich zamiarów". 1)

Podobne podróże odbywały też panna Pollalion, panna du Fresno, panna Viole. Prezydentowa Goussault chciała pojechać na zwiedzenie Orleanii i Anjou; św. Wincenty, mając wielkie zaufanie do jej sądu o rzeczach, zobowiązał ją do przysyłania mu szczegółowych sprawozdań z tej podróży i zawdzięczając temu cennemu dokumentowi, widzimy jaką słodyczą, nabożnością i miłosierdziem nacechowane były takie podróże po przez Francję XVII wieku. Prezydentowa wyjechała z Paryża z kilkoma młodemi damami z jednym służącym i jednym ze swoich dzierżawców. Wsiadłszy do powozu, odmówiły modlitwę o podróż szczęśliwą i odprawiły medytację. Długość podróży skracano sobie przez wspólne czytania pobożne, bogobojne rozmowy i śpiewy tak piękne, że dzierżawca jadący konno u drzwiczek powozu nie mógł wyjść z zachwyty. Po południu odmawiano różaniec na dwa chóry i śpiewano litanie do Najśw. Maryi Panny. Przejżdżając przez wieś pobożnie pozdrawiano jej Anioła Stróża. Gdy trzeba było zatrzymać się gdzie, to pierwszym miejscem, które zwiedzano, był kościół, potem szpital (Hôtel-Dieu) i przytułek. Bóg i ubodzy znajdowali się zawsze i wszędzie. 2)

1) Vie de M-e Le Gras. 81.

2) Cenny ten dokument, znajduje się, chociaż bez podpisu, w bibliotece opactwa świętej Genowefy, wśród wielkiego zbioru listów, przeważnie adresowanych do ojca Faure, reformatora opactwa i ogłoszony był w 1854 r. w *Revue de l'Anjou*, przypisywany p. Le Gras, a powtórzony jako wychodzący od niej przez opata Maynard'a w jego *Histoire de Saint Vincent de Paul*. Zdaje się jednak trudnem udowodnić to przypuszczenie. W dokumencie tym nie znać ani stylu, ani właściwości p. Le Gras. Ta nie podróżowała ze służącym i dzierżawcą, asystującym konno, i nie mówiła nigdy o „swoich ludziach”, już dlatego samego, że ich nie miała. Nakoniec, gdy pismo p. Le Gras jest zwykle nieforemne i niepoprawne, to tu przeciwnie, widzimy rękę wprawną, mocną, że tak powiem mistrzowską. Wszystko zdaje się dowodzić, że list ten musiał być pisany przez prezydentową Goussault. Nie odważylibyśmy się jednak występować z tem zdaniem, gdyby nie przypadek

W Etréchy pierwszy popas. Pani Goussault spotyka kilkoro małych dzieci, zaczyna z nimi rozmowę i przychodzi jej myśl, że to są dzieci Boże. „Odczułam, powiada, tak wielką radość, gdy zachęciłam je do odmówienia Ojcze nasz, że zapomniałam o małych smutkach moich, które miałam przy rannym wyjeździe”.

„W Etampes, na pierwszym noclegu, posłała służącego, by kupił cokolwiek dla rozdania chorym w szpitalu; a tymczasem rozmawiała z młodą przełożoną”. „Byłam ubrana jak służąca, w wąską okrywkę bez ozdób. Przełożona zapytała mnie: Kim jesteś? czyś zamężna? Tyle słyszałam o pewnej pannie Acariel i zdaje mi się, żeś druga taka”. Wieczorem w za jeździe cały czas po wieczery spędziła na rozmowie z gospodynią zajazdu, która miała wielkie zmartwienie z powodu syna.

„Nazajutrz w Argenville, gdzie nie było szpitala do zwiedzenia, udała się do kościoła, gdzie znalazła dużo ubogich i dzieci, oczekujących na nią. Nauczyła je żegnać się, czego większa część nie umiała, a co w niej wielką wzbudziło litość.

„W Arthenay wykladała katechizm w kościele.

„W Orleanie zwiedziła szpital (Hôtel-Dieu), bogaty jak jej mówiono, lecz chorym nie było z tem lepiej, ponieważ dla małej liczby zakonnic, całe starania około chorych spadało na służące. Chciała przedłużyć swój pobyt w Orleanie, zamieszkała u hugonotów, gdzie tak się zraziła, iż tego samego dnia opuściła ich.

„W Blois znalazła dużo pobożności, lecz szpital nie zwiedzany wcale i w dużym nieporządku. Ojcowie Jezuiti zachęcali jednak damy do nawiedzania chorych, lecz jak mówiła jedna z jej kuzynek, Pan Bóg oczekiwał jej przybycia, dla pokazania im, że w Paryżu damy z wyższego towarzystwa uprawiały tę dobroczynną praktykę, i że należy iść za ich przykładem.

„W ten sposób odbywała się i kończyła ta podróż; Bóg

szczęśliwy, odnalezienia pewnego ustępu jej pisma, znaczniejszego, niż te, które posiada Biblioteka narodowa, a który znalezionym został w autografie nadesłanym z Chin do Paryża z powodu publikacji listów św. Wincentego à P. Baczne porównawcze badanie dwóch tych dokumentów mogło wykazać, że list drukowany w *Revue l'Anjou* niewątpliwie pisany był przez Panią Goussault. (*Histoire de M-e Le Gras*).

i miłosierdzie byli wszystkim i nie było czasu na oglądanie osobliwości i rozrywki.

„Po jej przybyciu do Angers, dwóch panów stanęło przed nią i przeszkodzili jej w tym dniu zwiedzić szpital. Musiała przyjąć wspaniałą wieczerzę i zgodzić się na świetne przyjęcie. „Traktowano ją po królewsku”. Nazajutrz wizyta panów z sądownictwa i władz miejskich. Z trudnością zdołała uwolnić się od tych krępujących ją owacyj, by pośpieszyć do szpitala, który zresztą znalazła w dość dobrym porządku. W czasie pobytu swego w Angers zwiedza więzienie, pomnając na słowa pana Naszego zapisane w Ewangelii: „Byłem więźniem”. Rozdaje jałmużny, obrazki, różańce; wyzwala z więzienia biednych przemytników soli, którzy wzbudzili w niej wielką litość. ¹⁾ „Niesmak wzbudza ta okoliczność, dodaje, że w mieście wszystko niby wiedzą, i w istocie mówi się więcej, niż jest rzeczywistość”.

„Wykładała katechizm wobec zebranych panien z Angers, aby nauczyć ich metody wykładu a jedna z nich powiedziała: „Jak to widać, że pani bardzo lubi ubogich, i że przebywanie wśród nich jest radością serca pani. Przemawiając do nich, stajesz się pani jeszcze piękniejszą.” Nawet jeden ksiądz powiedział jej, że uważałby się za bardzo szczęśliwego, gdyby mógł dni swoje przy niej zakończyć, niczego więcej nie żądając nad słuchanie jej pięknych przemówień”.

Opisując to w liście do św. Wincentego, pokorna i skromna a przerażona tem, z pośpiechem dodaje: „Wiem, że do Ciebie, Ojcze, to piszę, ufając, iż będziesz dziękował Bogu i miłował Go za miłosierdzie Jego... Mój Ojcze, módl się za mną do Boga, by On poniżył pychę moją w sposób, jaki Mu się podoba; gotową jestem wszystko utracić i wszystko porzucić, przekładając pokorę nad wszelkie pociechy i dobra”.

Od tego czasu panny miejskie przychodziły modlić się z nią i uczyć się od niej. Pewna dobra niewiasta powiedziała jej: „Gdybyś pani tu rok jeden pozostała, to nawróciłabyś całe

¹⁾ We Francyi sól stanowiła regalię, monopol rządowy i najmniejsze jej użycie obłożone było wysokim podatkiem, a przemytnictwo surowo karano. (Przypisek tłumacza).

²⁾ Domyślać się trzeba, że mowa tu o plotkach miejskich (Przyp. tłumacza).

miasto”. Najbardziej podobało się wszystkim w pani Goussault i ujmowało serca wszystkich jej zupełna prostota i przystosowanie się do innych, połączone z cnotą. Nie przybierała zgoła pozy reformatorki.

Grywała chętnie godzinę w „trictac'a”, gotowa zastosować się skwapliwie do wszystkiego, co nie jest grzechem. To też z czasu pobytu swego w Angers zachowała jeden wyrzut, który robiła sobie, że nie zgodziła się na odmalowanie swego portretu. „Zwyczajem tu jest, pisała, że najpospolitsza mieszcanka tutejsza ma swój portret, który po śmierci zawiesza się w kościele u jej mogiły. Otóż ja odmówiłam zrobienia mojego portretu i czuję pewien wyrzut sumienia z tego powodu, bo wydaje mi się, że był to objaw fałszywej pokory, że nie chciałam okazać się tak prózną, i że większą by było zasługą zastosować się do zwyczaju innych”. ¹⁾

Oto obraz wielkich dam, dobrze używających czasu. Krążyły wkoło Paryża w promieniu trzydziestu czy czterdziestu mil francuskich, aż poza Loarę, w głąb Szampanii w okolice Burgundyi, pobudzając wszędzie do miłosierdzia; słowem swoim, a jeszcze więcej przykładem, zapalając w duszach ogień miłości dla ubogich. ²⁾

Wspaniały ten ruch niespodziewanie świetnie uwieńczony został. Królowa, dowiedziawszy się, jak wiele dobrego czynią w Paryżu i poza nim zgromadzenia dam Miłosierdzia, chciała, by podobne zgromadzenie urządzone zostało z księżniczek i dam dworu pod jej przewodnictwem i prosiła św. Wincentego o napisanie ustawy. Nie podobna odczytywać jej bez podziwu.

„Dworskie zgromadzenie dam Miłosierdzia składać się ma ze świętej osoby królowej i z małej, ściśle ograniczonej liczby dam, które spodoba się królowej wybrać w tym celu.

„Rzeczone damy asystować będą na zgromadzeniach Miłosierdzia, opiekujących się w szpitalach, w domach podrzutków, w więzieniach skazańców, u młodych dziewcząt pani Polalion i Etang, i ubogich służebnic Miłosierdzia po parafiach u Magdalenek i wogóle we wszystkich instytucjach dobroczynnych, ustanowionych przez niewiasty w tym wieku.

¹⁾ Maynard t. III, str. 260.

²⁾ Patrz przypisek na str. 360. Histoire de M-e Le Gras, fondatrice des Filles de Charite 120. Paris Ponssielgue. 1883.

„Wysyłane będą kolejno wydziałami po trzy, aby mieć staranie o rzeczonych zgromadzeniach i zdawać będą sprawę o potrzebach tych instytucyj przed Zgromadzeniem dworskiem dla powzięcia postanowień większością głosów. Postanowienia te zostaną podane pod decyzję Jej Kr. Mości. Wydziały pełnić będą swój obowiązek przez rok cały, a w końcu jego zmieniają się przez losowanie; Królowa zaś zachowa przy sobie stałą dyrekcyę stowarzyszenia.

„Damy należące do stowarzyszenia kształcić się będą w zdobyciu doskonałości chrześcijańskiej, odpowiedniej ich stanowi-sku, odbywając codziennie co najmniej półgodzinne rozmyślenia, słuchając Mszy św. i odczytując rozdział dzieła: *l'Introduction à la vie devote* lub też *de l'Amour de Dieu*,¹⁾ czyniąc ogólny rachunek sumienia, spowiadając się i komunikując przynajmniej co ośm dni.

„Zgromadzać się będą w każdy pierwszy Piątek miesiąca, w miejscu wskazanem przez Królowę. Na zgromadzeniu tem przez półgodziny rozmawiać będą o rzeczach, któremi natchnie ich Pan Nasz w czasie rozmyślenia dnia tego, w przedmiocie, który będzie podany, a tyżący cnót chrześcijańskich, właściwych ich stanowi-sku. Następnie w porządku kolejnym zdadzą sprawę o potrzebach i trudnościach, znalezionych przez każdą, w przeznaczonych do zwiedzenia, stowarzyszeniach, a Jej Kr. Mość, wysłuchawszy i po zbadaniu rzeczonych dam o tym przedmiocie i zbiorowej ich o tem opinii, rozkaże to, co zdawać się jej będzie najlepszem przed Bogiem.

„Za niezmienną zasadę mieć będą, nie dotykać wcale na tem zgromadzeniu spraw prywatnych, ani ogólnych, a przede-wszystkiem spraw Stanu, ani też posługiwać się tą okazją do poruszania spraw swoich własnych, szanować królowę, a służbę swoją wysoko cenić, wzajemnie się miłować jak siostry, związane ze sobą miłością Pana Naszego, wzajemnie się nawiedzać i pocieszać w chorobach i zmartwieniach, przyjmować komunię świętą na intencyę chorych z pośród siebie i za dusze zmarłych; uczęzą też cichość i milczenie Pana Naszego we wszystkich sprawach, tyżących się rzeczzonego stowarzyszenia, gdyż książę tego świata cieszy się, gdy rzeczy święte bez szacunku traktuje się na świecie”.

¹⁾ Dzieła Św. Franciszka Salezego. (Przyp. tłumacza).

Oto obraz, przedstawiający nam najwyższe sfery społeczeństwa z samą królową na czele, schylające się do stóp ubóstwa; największe damy Paryża i prowincyi, oddające wpływy swoje, swoje serca i fortuny, osobiste starania swoje na posługi chorych w szpitalach, podrzutków, więźniów i skazańców, pocieszające smutki i boleści, opatrujące rany, nakoniec przyjmujące na siebie z nadzwyczajnem poświęceniem tę służbę miłosierdzia i dobroczynności, powierzona przez Opatrzność niewiastom chrześcijańskim. „Już od ośmiuset blisko lat, mówił św. Wincenty, kobiety nie mają publicznego urzędu w Kościele. A oto Bóg zwraca się do was, panie, abyście zapewniły ten brak”. A dalej znów:

„Zasilanie i nauczanie ubogich w szpitalach, żywienie i wychowywanie podrzutków, troskliwość o duchowe i cielesne potrzeby zbrodniarzy skazanych na galery, rozpościeranie opieki na pograniczu i na prowincjach, zrujnowanych przez klęski wojny, wspomaganie misyj na Wschodzie, na Południu i na Północy: to są sprawy waszego, panie, Stowarzyszenia. Jakto! Damy mają się tem wszystkim zajmować? Tak, właśnie Bóg wam dał tę łaskę, że od lat dwudziestu przedsiębiorzecie i utrzymujecie to wszystko”. A p Le Gras, jak echo św. Wincentego, powiada: „Oczywistem jest, że w naszym stuleciu podobało się Opatrzności Boskiej posługiwać słabą płcią niewieścią, aby okazać, że tylko Bóg sam może przyjsć z pomocą narodom przygnębionym i zesłać potężne pomoce dla ich zbawienia. Oświecone tem światłem panie stowarzyszone, poznały i potrzeby ubogich, i to, że Bóg raczył dać im łaskę przychodzenia z pomocą w sposób tak dobroczynny i tak wspa-niały, iż Paryż stał się podziwem i przykładem dla całego królestwa”.

Lecz idźmy dalej, a ujrzemy jeszcze większe cuda!

ROZDZIAŁ II.

Siostry Miłosierdzia. 1633—1642.

Mało jest kongregacyj religijnych, któreby w naszych czasach większy zaszczyt przynosiły Kościołowi katolickiemu i większy dla niego budziły podziw, jak instytucja Sióstr Miłosierdzia. A jednak nie znajdziemy żadnej innej instytucji, którejby świetna przyszłość była mniej przewidzianą z góry, nawet przez samego jej założyciela. „O! Boże, mawiał św. Wincenty à Paulo, jak można mówić, że to ja wytworzyłem Siostry Miłosierdzia! Ja nie myślałem nawet o tem; ani ja ani pani Le Gras”. Z początku zabrało się kilka dziewcząt wiejskich, niskiego stanu, niepiśmiennych, bez wychowania, wziętych do pomocy i posługi damom Miłosierdzia; lecz św. Wincenty à Paulo wykształcił je, a z jakim staraniem je kształcił, wnet to zobaczymy. I on to wytworzył te niezwykle niewiasty, przygotowane przez Boga na czasy wielkiego przełomu naszej epoki, które w cudownej harmonii łączą w sobie anielską czystość dziewic z tkliwością i poświęceniem się matek.

Konf raternie Miłosierdzia, ustanowione po wsiach i mniejszych miastach, składały się z kobiet średniego stanu, które same, osobiście posługiwały chorym z wielkiem poświęceniem. W Paryżu było inaczej; tam wielkie damy nie mogły tak wyłącznie oddawać się posłudze ubogim. Doświadczenie przekonało wkrótce, że piękne to dzieło miało swoje niedostatki. Wiele ze stowarzyszonych było zanadto światowymi paniami, aby mogły regularnie odwiedzać chorych i oddawać się najniż-

szym przy nich posługom. Posyłały w zastępstwie domowników swoich; ale co warta była wyreka taka? Inne damy krępowane były przez mężów, a gdy przyszła zaraza, zniewolono je bezwzględnie do zostawania w domu. Nakoniec, jeżeli pomiędzy stowarzyszonymi były prawdziwe bohaterki, to wiele innych przystępowały do stowarzyszenia li tylko z mody, z powodu stosunków towarzyskich, i na ich gorliwość liczyć wcale nie było można. Św. Wincenty à Paulo zrozumiał, że w ten sposób sprawa nie mogła iść dobrze, że kuleć będzie to na jedną, to na drugą stronę, jeżeli nie wynajdzie się sposobu przydania damom Miłosierdzia dobrych dziewcząt skromnego stanu, któreby tem samem nie przyćmiewały czynności dam, a zdolne były pomagać im, w razie potrzeby nawet je zastąpić. I miasta i wieś pełne są takich dobrych dziewcząt, skromnych a wspaniałomyślnych, nie myślących o zamążpójściu, a nie mogących marzyć o życiu zakonnem, gotowych zaś do pielęgnowania chorych, czuwania przy ciałach umarłych, chętnie oddających swoje drobne oszczędności na nowopowstające dobre sprawy. Te drobne datki więcej czasami stanowią, niż ofiary wielkich dam. Wiele takich pięknych dusz spotykał św. Wincenty podczas swych misyj wiejskich. Chodziło więc o to jedynie, by pewną ich liczbę zjednoczyć i dać je do pomocy damom Miłosierdzia.

W krótkim czasie zebrano pewien ich zastęp i rozesłano po parafiach paryskich: dwie do św. Sulpicyusza, jedną do św. Mikołaja du Chardonnet, jedną do św. Wawrzyńca i do Saint Sauveur. Jedne mieszkały u dam Miłosierdzia, drugie w klasztorach, a wszystkie zajęte były przez cały tydzień wyszukiwaniem ubogich, chorych, dawaniem znać o nich damom i opiekowaniem się nimi. W niedzielę zbierały się u św. Łazarza, gdzie im mówiono o obowiązkach. Z początku nazywano je, jak zwykle służące nazywają, po imieniu. To też czytamy w listach św. Wincentego à Paulo (T. I. Nr. 34—Nr. 227), takie ustępy: „Co do Małgorzaty, dobrze będzie zatroszczyć się o nią. A Germana czy wiele korzysta, czy jest nadzieja, że będzie co z tej dobrej dziewczyny? Sądzę, że dobrze zrobicie, przeznaczając Jakobinę do Hôtel-Dieu, a może lepiej Joannę?” Nie wymieniało nigdy nazwiska, lecz niekiedy wspomniana jest parafia: „Małgorzata od św. Pawła; Nicola od św. Sulpicyusza; Marya od św. Wawrzyńca; Henryka od św. Mikołaja”. Często św. Wincenty à Paulo opuszczał nawet i imię chrzestne. „Nie-

ma potrzeby posyłać tej od Saint-Marceau. Damy uskarżają się na tę od Saint-Merry”.

Powoli jednak widzimy, jak w listach św. Wincentego à Paulo, ukazuje się obok imienia chrzestnego nazwa „siostry”: „Trzeba będzie jutro odszukać naszą siostrę Barbarę. A czy nie możecie przysłać tu naszą siostrę Ludwikę? P. d'Horny oświadczył mi, że nie bardzo są zadowoleni z naszej siostry Joanny u skazańców”.

Wiele z tych dobrych dziewcząt zaledwie było jako tako okrzyszanych. Św. Wincenty wspomina w liście: „Wczoraj przedstawiono mi jedną, która zdała mi się bardzo prostą. Tej, co przybyła z Ardenów nie pytałem ani o czytanie, ani o szycie. Wątpię, czy zadowolni was ona co do tego”. Były między niemi i gwałtowne, nie wyćwiczone jeszcze w duchu spokoju i słodczy Chrystusowej. Św. Wincenty pisał: „Odeszlście Joannę i powiedzcie jej, że to za pobicie towarzyski, a powiedzcie innym, że to już nie pierwszy raz. Reszta jej się przebacza, lecz za wielkie by było zgorszenie! Nie podobna, aby mówiono o siostrach Miłosierdzia, że ujadają się, jak pies z kotem”.¹⁾ Lecz chociaż były tak nieokrzyszane, chociaż trzeba było je kształcić, szlifować, jak szlifuje się szmaragd z kwarcu wyłamany, a dający następnie świetne ognie, gdy przejdzie przez ręce szlifierza i jubilera, to bywały też i prawdziwe bohaterki. Jedną z pierwszych przybyłych zdawało się, że była wybraną przez Boga, by służyła za wzór dla całego zgromadzenia. Nazywała się Małgorzata Nazeau. Była to mała biedna pastuszka, która dotąd pasła owieczki swoje. Gdzie się nauczyła tak dobrze czytać i pisać, nie wiadomo; marzyła tylko o tem, by nauczyć tego małe towarzyski swoje, a że sama nie bardzo jeszcze umiała, więc kupiła alfabet i przeglądała go, pasąc swą trzódkę; gdy zaś spostrzegła przechodzącego po drodze kogoś, który z wyglądu zdawał się umiejącym czytać, biegła za nim, prosząc by powiedział, jak się ta litera nazywa, jak się ten wyraz wymawia. Co zdobyła sama, wnet dzieliła się z innemi i od tego czasu całe jej życie poświęcone było całkowicie wychowaniu małych dzieci. Wkrótce nawet już rodzinna wioska zdawała się za małym polem dla jej gorliwości; w towarzystwie dwóch czy trzech

uczenie swoich, które przejęła tym samym zarem gorliwości, przechodziła z wioski do wioski, szukając ciemnych, nieumiejętnych; doznawała przy tem pogardy i naigrawania ze strony wieśniaków, nie rozumiejących takich zabiegów. Często brakowało jej wszystkiego, znajdowała jednak środki do robienia małych oszczędności, aby pomagać młodym klerykom, którzy przygotowywali się do święceń kapłańskich. Był to znów inny objaw pobożności, jeszcze wznioślejszy, który zaszczeniała wkoło siebie. W jednej z takich swoich podróży, spotkała św. Wincentego à Paulo; a w tem zetknięciu z naszym świętym wszystkie jej cnoty rozwinęły się i zakwitły. Uprzejmość jej była tak wielka, że w parafiach Saint-Benoit, Saint-Sauveur, Saint-Nicolas de Champs, wszyscy ją kochali; miłość ku ubogim była tak silną, że żaden trud ją nie męczył a poświęcenie i zapomnienie o sobie tak bezwzględne, że śmierć w niem znalazła. Spotkawszy ubogą kobietę, dotkniętą zarazą, zabrała ją do małej stancyjki swojej, i zaraziwszy się sama, umarła, dając przykład tym wszystkim, które po niej następują, czem być powinna **Siostra Miłosierdzia**.

Lecz może łatwiej jest umrzeć z poświęcenia, do czego zdolne były prawie wszystkie towarzyski Małgorzaty Nazeau, niż zostawać w ciągłym skupieniu, zachowując zawsze słodczy, dobroć i uprzejmość. Łatwiej jednym zamachem wyrwać się z życia, niż stopniowo jedna po drugiej, pozbywać się wad swoich. Damy Miłosierdzia uzały się, że pomiędzy temi dziewczętami wiele było takich, którym brakowało wychowania. Z drugiej zaś strony wiele i najlepsze z pomiędzy nich świeżo przybywając ze wsi, nie miały pojęcia ani o rozmyślaniu, ani o innych praktykach pobożności; dalej, rozdzielone po różnych parafiach paryskich, bez żadnej między sobą łączności, gdy która w czem uchybiła, nie znajdowała należytej powagi, któraby ją mogła upomnieć lub przenieść do innego domu. Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo; św. Wincenty dobrze rozumiał potrzebę pewnego rodzaju nowicyatu, gdzieby przed wysłaniem na posługę ubogich, kandydatki mogły się wykształcić. Do tego trzeba było wynaleźć dom i mistrzynię.

Dom wkrótce się znalazł; co do mistrzyni, tę oddawna miał już św. Wincenty wybraną. Była nią pani Le Gras, o której nieco już wspominaliśmy, lecz którą bliżej poznać musimy.

¹⁾ Lettres Nr. 161.

Pani Le Gras nie należała do właściwej szlachty; nie miała prawa do tytułu pani (Madame), po zamążpójściu, a nawet po owdowieniu mogła się według ówczesnego zwyczaju nazywać tylko panną (Mademoiselle), podobnie jak p-a de Fay, p-a Violle, p-a Pollatlon. Najwyższe stanowiska urzędowe nie zmieniały tytułu w społeczeństwie, gdzie bezwzględnie panowała hierarchia urodzenia.

P-a Le Gros pochodziła z jednej z tych możnych rodzin mieszczańskich, które przez służbę i poświęcenie się dla kraju, zbliżały się do szlachty i bywały przez nią przyjmowane. Ojciec jej Marillac, należał do starożytnej i znacznej rodziny w Oweronii, która wydała w tym właśnie czasie Ludwika de Marillac, marszałka Francji i Michała Marillac, stróża pieczęci, którzy dostąpili najwyższych szczytów dostojenstwa i upadli w tragiczny sposób. Matka z domu Le Camus, siostrzenica ks. Le Camus, biskupa z Belley, przyjaciela św. Franciszka Salezego, była jego penitentką, pozostająca przez czas dłuższy pod jego kierunkiem. Straciwszy matkę w pierwszych latach życia, a wkrótce potem i ojca, oddana została pod opiekę ciotki swojej Ludwiki de Marillac, zakonnicy w klasztorze królewskim do Poissy, gdzie przełożoną była jedna z Gondi'ch. Tam od dzieciństwa objawiała się w niej najżywsza pobożność. Dwa szczególnie rysy musimy zaznaczyć w tym tajemniczym i opatrnościowym przystosowaniu jej duszy do posłannictwa, jakie miała przed sobą. Przeznaczona do kształcenia tych nadzwyczajnych kobiet, które Bóg przygotował na chwilę wielkiego przełomu nowszych czasów, a które miały jednoczyć w sobie czystość dziewiczą z zapałem żarliwym matek, musiała poznać wszystko, co jest najbardziej boskiem w obu tych stanach. W ośmnastym roku życia, porwana miłością dziewictwa, czcigodnego ubóstwa i pokory, opuszcza klasztor królewski de Poissy, jako za bogaty dla niej, omija nawet Karmelitanki, chociaż tak gorliwe, których jej stryj Michał de Marillac był jakby doczesnym ojcem, i od razu idzie do ubogich Kapucynek, świeżo przybyłych do Paryża, chodzących boso z cierniową na głowie koroną, podziwianych przez całe miasto dla ubóstwa swego i surowości życia. Tam będzie jej dobrze, tam ugasi pożądanie żarliwości i poświęcenia się, które ją pożera. Lecz pełny roztropności superior ojciec de Champigny, o którym jeden z biskupów powiedział:

„w naszym wieku nie mamy świętobliwości bardziej widocznej i cudami stwierdzonej”; usunął ją, z powodu słabego zdrowia, chociaż bardzo żałował, że pozbawia swój zakon osoby tak wielkich cnót, dając przytem do zrozumienia, że Bóg ma względem niej jakieś wielkie zamiary, nieznane jeszcze.

Z początku zdawałoby się, że giną ślady tych wielkich zamiarów Bożych. Rodzina, widząc, że od życia zakonnego odsuwa ją wątpliwość fizyczna, dokłada wszelkich starań, by skłonić ją do zamążpójścia. Jakoż 5 lutego 1613, mając lat dwadzieścia jeden, poślubia p. Le Gras, sekretarza królowej Maryi de Medicis, młodzieńca dobrej rodziny i wielkiej pobożności. Ten po niedługim czasie umiera. Żona opłakuje go rzewnymi łzami i zostaje matką małego dziecięcia. Tu już ujawnia się owo połączenie dwóch krańców planu Bożego; ta, która miała tak piękne uniesienia dziewiczości religijnej, zostaje niezrównaną w czułości matką. Zdawać się może, że Bóg chciał, by te dwa uczucia jedno po drugim ujawniły się w niej w stopniu najwyższym, aby wszczepić je mogła następnie w serca swoich córek duchownych.

Od roku 1626 widzimy ją pod kierunkiem św. Wincentego à Paulo, który wydaje się jakoby był zajęty jedynie powstrzymywaniem nadmiaru jej wielkiej czułości macierzyńskiej, niepokojów i obaw z nią związanych. „Co do syna pani, — postaram się go widzieć; lecz błagam panią, bądź spokojną, bo możesz ufać, że zostaje on pod szczególną opieką Pana Naszego i Jego Matki Najświętszej, wobec tylu ofiar i modłów, które czynisz za niego i że jest przyjacielem ludzi Bożych, więc nic mu się złego wydarzyć nie może. Lecz co powiedzieć mamy o tej wielkiej czułości? Bez wątpienia, zdaje mi się, że musisz pani pracować wobec Boga nad tem, aby cię od niej uwolnił, bo ona zakłóca tylko ducha twego i pozbawia cię tego spokoju, jakiego pożąda dla serca twego Pan Nasz.”¹⁾

A jeszcze: „Nigdy nie widziałem matki, tak wyłącznej matki, jaką pani jesteś. W każdej innej sprawie jesteś tylko quasi (jakby) kobietą. Na miłość Boga, zostaw syna swego opiece i troskliwości jego Ojca, który miłuje go wię-

¹⁾ Lettres I. Nr. 13.

cej, niż pani miłować go możesz, a przynajmniej nie bądź tem tak bardzo przejętą.”¹⁾

A w innym znów liście: „O! jak to dobrze jest być Bożem dziećciem, bo Bóg bardziej i czulej miłuje tych, którzy mają szczęście nosić to miano, niż pani miłować możesz swoje dziecko, chociaż posiadasz jak o matka więcej czułości dla syna swego, niż jaka bądź inna matka”.²⁾ „Wczoraj widziałem syna pani, i kocham go więcej, niż wypowiedzieć to mogę; lecz nie lubię tego, że oddajesz się myślom za nadto czułym względem niego, bo to niezgodne jest z rozsądkiem, a więc nie może podobać się Bogu, który chce, by matki swem dobrem dzieliły się z dziećmi swemi, lecz nie żąda, by same pozbywały się wszystkiego. Otóż, proszę wiedzieć, że będziemy mówili o tem przy najbliższem widzeniu się, które nastąpi po święcie.”³⁾ Pani Le Gras pragnęła, by ten ukochany jej syn został księdzem. Marzeniem jej było uczynić z niego to, czem ona chciała być w młodości swojej, — duszą Bogu poświęconą. Miał on zaledwie lat trzynaście, gdy nakłaniała go już do tego. Św. Wincenty słucha ją i uspakaja. „Zostaw go pani w pokoju, przedziwnie pisze do niej, i zdaj go zupełnie na wolę Pana Naszego. Do Niego tylko należy pokierować temi tkliwemi duszami chłopięcemi. Jego to sprawa, ponieważ syn twój więcej do Niego, niż do pani należy. Gdy będę miał szczęście widzieć panią, lub więcej, niż dziś znajduję czasu na pisanie do niej, to powiem, jaką myśl miałem w tym przedmiocie i wypowiedziałem ją pani de Chantili, co ją pocieszyło i dzięki łasce Bożej uwiolniło od udręczeń podobnych do tych, jakie pani mieć możesz.” Pani Le Gras zawsze jednak obstawała przy swoim. Lecz niestety! najgorętsze marzenia nie równie się spełniają. Im bardziej wzrastał młodzieniec, tem mniej widać w nim było powołania; chłopiec był pobożnym, lecz nie chciał być księdzem. Wiedząc to św. Winc. à Paulo, uprzedza matkę. „W odpowiedzi na list pani, powiem, że syn jej powiedział pani de la Salle, że zostanie duchownym jedynie dlatego, że pani tego pragniesz; że nawet

¹⁾ Lettres I. Nr. 71.

²⁾ Lettres Nr. 280.

³⁾ Nr. 144.

⁴⁾ Lettres Nr. 10.

z tego powodu chciałby śmierci, i że przyjąłby niższe święcenia tylko dla przypodobania się pani. Otóż, czyż to jest powołanie? Wierzę, że wolałby umrzeć, niż narażać panią na śmierć. Bądź co bądź, czy to wypływa z natury, czy od szatana pochodzi, jego wola nie jest dostatecznie swobodną do powzięcia stanowczego postanowienia w przedmiocie tak wielkiej wagi. Umrzeć! Pani nie powinnaś tego pragnąć. Przed niedawnym czasem pewien dobry chłopiec z tutejszego miasta w tym właśnie duchu przyjął subdyakonat, i nie mógł postąpić dalej: czyżbyś pani chciała wystawić syna swego na takie niebezpieczeństwo? Zdaj pani na Boga troskę pokierowania nim. On bardziej jest ojcem jego, niż pani matką i miłuje go więcej, niż ty miłować zdołasz. Niech On nim pokieruje. Potrafi On powołać go do siebie, gdy zechce, lub też da mu inne powołanie, odpowiednie do zbawienia jego duszy. Przypominam sobie księdza, który miał życie złamane; przyjął on bez powołania kapłaństwo. Bóg wie, co się z nim teraz dzieje! Żegnam panią, bądź całą w Panu Naszym i zgadzającą się z Jego wolą. Proszę panią odprawić medytację o żonie Zebedeusza i jej synach, gdy należała o ich umieszczenie, na co Pan Nasz powiedział: „Nie wiecie, o co prosicie”¹⁾ Na te słowa Świętego kierownika swego sumienia świętobliwa wdowa schyliła głowę, i porzuciwszy to, co było ideałem jej życia, zostawiła synowi wybór powołania. Studyował on prawo, został adwokatem parlamentu, w roku 1650 poślubił pannę Le Clerc i stał się bardzo zacnym człowiekiem i doskonałym chrześcijaninem.

Taki sam zapal żarliwości, jaki widzimy w p. Le Gras w jej stosunkach z synem, objawiał się u niej we wszystkim. Nosila w swej piersi ten szczególny ogień, który się rozniecał gwałtownie na wszelki objaw dobra i zgorzałaby w nim doszczętnie, gdyby mądrość kierownika go nie miarkowała. Wciąż przywołuje on ją do spokoju, do zdawania się na Opatrzność. „Na miłość Boga pani pokochaj niedostatek swój i bądź spokojną; tem największą cześć i chwałę oddasz Panu Naszemu, który jest samym pokojem.”²⁾ Albo te prześliczne słowa: „O! zaiste, Pan Nasz dobrze uczynił, że nie wziął pa-

¹⁾ Lettres Nr. 238.

²⁾ Lettres Nr. 159.

ni za matkę swoją, ponieważ nie umiesz uczcić spokoju w trudnych wypadkach. Proszę panią, szanuj i czej spokoj duszy Pana Naszego przez zupełne zgadzanie się we wszystkim z Jego świętą wolą." A w innym znów liście: „Błagam panią uczcij to wewnętrzne zaparcie się siebie i zdanie się na wolę Bożą, jakie widzimy u Świętych Pańskich i u samego Świętego Świętych, następstwem czego jest ściślejszy związek z Bogiem. Życzę pani dobrej nocy i pozostaję dla niej w miłości Pana Naszego etc.

P. S. Nie mogę zamilczeć, że obiecuję sobie porządnie wygderać panią jutro za to, że poddajesz się tym próżnym obawom. O, przygotuj się pani do porządnej burzy".¹⁾

Ta żarliwa dusza połączoną była w p. Le Gras z ciałem bardzo wątłem, które zdawało się jakby cieniem tylko. Św. Wincenty à Paulo pisał do jednego chorego księdza: „Z tobą jest, jak z p. Le Gras, na którą od lat dziesięciu patrzę, jak na umarłą; ciało jej jest tak wątłe, a twarz tak blada, że zdaje się, iż z grobu powstała; a Bogu wiadomo, jaką siłę ducha posiada. Przed niedawnym czasem odbyła sto mil drogi a gdyby nie częste choroby nawiedzające ją i nie poczucie obowiązku posłuszeństwa, to chodziłaby bezustanku z jednego miejsca do drugiego dla odwiedzenia swoich córek duchownych i pracowania nad niemi, chociaż tyle tylko w niej życia, ile go z nadprzyrodzonej łaski otrzymuje".²⁾

Zwykle taka żarliwość duszy połączona bywa z pośpiechem i nierozwagą. Inaczej było z p. Le Gras. Umysł miała żywy, lecz i rozsądek wielki. Odznaczała się przede wszystkim wielką mocą umysłu; dusza mężka, prawie nie ze słabości niewieściej, a tylko serce bardzo czułe. Postanowienia szybkie i tak zawsze doskonale, że nie trzeba już było nic zmieniać. O Bogu i duszy mówiła w sposób porywający tak, że ludzie schodzili się i ukrywając się za wpółotwartymi drzwiami, słuchali, co mówiła do dziewcząt swoich. Jak to się często zdarza umysł jej, pełen cieni i niepewności, gdy o nią samą chodziło, posiadał nieskończoną moc światła do oglądania wnętrza dusz innych. Odkrywała dusze innych

¹⁾ Id. Nr. 381.

²⁾ Lettres Nr. 375.

przed niemi samemi i każdy odchodził od niej z uczuciem głębokiego uspokojenia.

Jedyną jej wadą, jako mistrzyni i przełożonej, była powierzchowność nieco surowa i wejrzenie zbyt poważne, co czyniło ją mniej przystępną z początku. Lecz św. Wincenty czuwał nad nią i pod tym względem. „Niech się pani troszczy o zdrowie swoje, a zachowuje radość serca Pana Naszego." ¹⁾ „O jak serce moje pragnie, aby tak się stało i to co najprędzej! Wiedząc to, czyń pani wszystko ze swojej strony, co potrzebnem jest do tego. Jednak bądź pani bardzo wesołą, i radośnie czyń co jest do zrobienia". ²⁾ Innego zaś dnia, gdy była cierpiąca i mówiła o śmierci swojej — pisze: „O Jezu! nie czas jeszcze pani. Zanadto potrzebną na świecie uczynił cię Bóg. Na miłość Boga czyń pani wszystko, co można, by być zdrową; więcej się szanuj. Gdybym mógł, dziś jeszcze chciałbym widzieć panią, a przynajmniej jutro, jeżeli Bóg pozwoli. Bądź pani bardzo wesołą w imię Boże." ³⁾ I zawsze to samo, zawsze owe słowa Pawła świętego: Radujcie się w Panu, słowa wszystkich Świętych Pańskich, słowa dusz mężnych, w których wszystko, co świat daje smutnego i gorzkiego na dno opada, a wszystkie radości Chrystusowe do góry się podnoszą.

Św. Wincenty à Paulo rozumiał, jaki skarb poślany mu był przez Boga i po mistrzowsku go też urabiał. Pisywał do niej prawie codziennie. Spowiadał ją co tydzień. Kierował jej rekolekcyami i dyktował przedmioty rozmyślań. Nie opuszczał Paryża bez widzenia się z nią, albo przynajmniej bez wytłumaczenia się z powodu niemożności osobistych odwiedzin. Zasięgał jej zdania we wszystkim i to w sposób pokorny, pełny poważania, nie dając odczuwać, że jest zwierzchnikiem, a tem bardziej nie spoufalając się wcale: — wieczny wzór do naśladowania stosunku kierownika sumienia z penitentką.

Z takimi pierwiastkami i z taką mistrzynią nowicyatu można było spodziewać się cudów. Św. Wincenty chciał wnet rozpocząć. Obejrzał kilka domów do wynajęcia, wy-

¹⁾ Id. Nr. 175.

²⁾ Lettres Nr. 197.

³⁾ Id. Nr. 278.

brał jeden z nich, mały wśród ubogiej ludności Paryża. Dom ten stał się kolebką sióstr Miłosierdzia i dotąd jeszcze istnieje. Jest to numer 43, przy ulicy du Cardinal-Lemoine (dawniej ulica Fossés-Saint-Victor). Dom z fasadą o dwóch niewielkich oknach. Drzwi niskie, kurytarz ciemny stanowiły wstęp do niego. P. Le Gras wstąpiła tam 29 listopada 1633 roku z czterema czy pięcioma dziewczętami, starannie wybranymi przez św. Wincentego. Pomimo ciemności, okrywających ten daleki początek, tak, że byłoby trudnem wymienić dokładnie te cztery czy pięć pierwszych nowicyuszek, można jednak sądzić o ich cnotach z zapалу p. Le Gras. Przed upływem czterech miesięcy błagała już św. Wincentego o danie jej pozwolenia na złożenie ślubów wieczystych dla dokonania tak świętego dzieła. Święty nasz pozwolił i uroczystość ta odbyła się 25 marca 1637. Dzień ten pozostał pamiętnym dla Zgromadzenia dotąd i w dniu tym siostry corocznie odnawiają śluby swoje.

Dom był więc zapewniony a liczba młodych dziewcząt, pragnących wejść do rodzącego się zgromadzenia, poczęła się powiększać. Św. Wincenty sądził, że nastał czas, by regularnie zająć się ich religijnem wychowaniem. W tym celu co tydzień przychodził do tego domu w towarzystwie o. Portail, a w jego nieobecności, w towarzystwie innego kapłana, dla odbywania konferencyj o cnotach najbardziej potrzebnych siostrom Miłosierdzia. Przed rozpoczęciem każdego posiedzenia wszyscy klękali i odmawiali *Veni Sancte Spiritus*. Potem św. Wincenty wskazywał przedmiot, o którym miała być mowa, o czem siostry zawczasu były zawiadamiane małemi karteczkami i powinny były odbyć na ten temat rozmyślanie. Św. Wincenty rozpoczynał od pytania ich: „Siostro, która jesteś w pierwszym rzędzie, powiedz: jaki jest powód do praktykowania tej i tej cnoty?” Gdy siostra powiedziała, zwracał się do innej. „Teraz ty, siostro, która później przysłaś, masz może inne jakie względy? A ty, siostro moja, która jesteś tam w końcu przy oknie? A ty, siostro moja i t. d., i t. d.” Św. Wincenty, wypytawszy w ten sposób dziesięć czy piętnaście obecnych i z uwagą wysłuchawszy ich zdania, pochwalał je najczęściej. „O dobrze, córko moja, to wielka prawda! Jak piękne powody znalazłaś. Bogu niech będzie chwała! O mój Boże, jak to pięknie dziatki moje!” Często kończył

pytania swoje, zwracając się do p. Le Gras: „A ty, pani, mogłabyś też powiedzieć nam coś o tem?” Potem Święty podnosił to, co było powiedzianem; notował, co było ważniejszem, rozwijał i pogłębiał jeszcze, zawsze kończąc jakimś wnioskiem i postanowieniem praktycznem.

Konferencye te były pełne prostoty i życia zarazem a wzruszającą bardzo była ta ojcowska, z zaparcia się siebie i z serca płynąca, rozmowa z córkami swemi. Żadnych błyskotek stylu, żadnych słów wyszukanych, lecz coś niezmiernie pociągającego serce, budzącego żarliwość sprawy, którą się ukochało, a przytem uniesienia, nauka uświadamiająca, niezmiernie skarby doświadczenia i znajomości serca ludzkiego, a to wszystko połączone z płomienną miłością Boga i anielską pokorą. Konferencye te pokoju, żywcem uchwycone przez panią Le Gras lub przez jedną z jej dziewcząt, zostały w cichości spisane bez żadnych zmian i poprawek późniejszych i słusznie twierdzić można, że wszystko zachowane zostało w pierwotnej świeżości i prostocie swojej.¹⁾

Trzeba by dać parę przykładów. Lecz jak zrobić wybór z pośród tych dwóch tomów o tysiącu przeszło stronicach, z których każda pełną jest ducha św. Wincentego? Jednym z przedmiotów, do którego Święty lubił często wracać, to ubogi ciemny początek Kongregacyi, tem bardziej jednak zdumiewający. Kto to sprawił? Czy on, Wincenty? O! nie, nie; ani on, ani o. Portail, ani p. Le Gras; nikt nie marzył o tem; — więc to sam Pan Bóg jest sprawcą tego dzieła. „Takie jest wasze zgromadzenie, mające tak śliczne przeznaczenie, tak miłe Panu Naszemu, tak pożyteczne bliżnim, nie mogło być dziełem kogo innego, sam Bóg tylko był autorem; bo czy słyszano dotąd o dziele takim? A na co Bóg uczynił to dzieło?—Na służbę ubogim, na służbę w sposób nowy, dotąd nieznaną. Istotnie dotąd byli zakonnicy w szpitalach dla opieki nad chorymi; były zakonnice, poświęcające się Bogu na służbę przy szpitalach, lecz przed nami nie było zgromadzenia, któreby oddawało się na służbę chorym w ich prywatnych mieszkaniach. Dotąd gdy wśród ubogiej rodziny ktoś wpadł w chorobę, odsyłano go do szpitala i w ten sposób rozdzielano mę-

1) *Conferences de Saint Vincent de Paul aux Filles de la Charité*. 2 tomy 8-o Paris Dumoulin rue de Grands Augustin, 5, 1881.

za z żoną, dzieci z ojcem i matką; dotąd, o mój Boże, nie mieliśmy środków przychodzić im z pomocą i zdawało się niejako, że przedziwna Opatrzność Twoja, która nikogo nie opuszcza, nie rozciągała się na tych biedaków. A jak myślicie, drogie siostry moje, czemu to Bóg zwlekał z pobudzeniem tej pomocy? O! bo wy na to przez Niego przeznaczone byłyście. Dobrze jedna z sióstr naszych zauważyła, że z przed wieków przeznaczone byłyście do tego urzędu, abyście pierwsze do szeregu stanęły. To wielkie wasze szczęście, bo zwykle te są pierwszymi w zakonie, które wstępują doń w pierwszym stuleciu po jego ustanowieniu; to pierwsze stulecie jest zwykle złotym wiekiem zgromadzenia.”¹⁾

Aby ugruntować córki swoje w pokorze, wraca on ustawicznie do ich ubożego pochodzenia. Kto są one? Wiśniaczki z głuszy wiejskiej, skromne dziewczyny z pól. „Widzicie siostry moje, większa część z pośród was to nieokrzesane dziewczeczki, wzrosłe w zaciszu wiejskim, podobnie, jak i ja, który w młodości mojej byłem pastuszkim”.²⁾

A jeszcze: „Większa część z was, to dziewczęta niższego stanu. O! jak wielką łaskę dał nam Bóg, wam i mnie, że z ludu nas wybrał, aby posługiwać się nami! A gdy tak jest, to czyż naszą ma być rzeczą, abyśmy sami przez się podnosili się nad to, czem jesteśmy? A jeżeli świat myli się, okazując nam więcej szacunku, niż na to zasługujemy, to czyż naszą jest rzeczą nadużywać tego? Więcej powiem: gdybyście były szlacheckiego pochodzenia, jak są niektóre pomiędzy wami, to tem nie mniej nie powinniście przez to wyżej siebie cenić. Czyż Syn Boży, jako człowiek, nie z królewskiego był rodu? A jednak czyż nie widzimy, jak się zawsze poniżał i poddawał się nieustannemu umartwieniu? Cóż by to był za widok dziewczycy, przybywającej do Paryża pod pozorem służenia Bogu i nieustannej pracy, któraby po przybyciu swoim szukała wygód, jakich nie miała w domu i podnosiła się ponad to, czem jest istotnie, zapominając o niskim pochodzeniu swoim, gdy nie jadła nic ponad trochę zupy, mleka i owoców, a rzadko kiedy mięso? Czyż nie byłby to stan pożałowania

¹⁾ Conferences aux Filles de Charité I, 211.
²⁾ Id. I, 103.

godny? ¹⁾ Mieście to za pewnik, że z chwilą, gdy zaniechacie prostego sposobu życia, gdy zarzucicie swoją prostą odzież, gdy zmienicie skromny ubiór głowy i wszelkie inne praktyki życia, utrzymujące was w poniżeniu, — to od tej chwili poczniecie upadać, tracąc najpierw łaskę Boga, a następnie poważanie, jakiego dotąd doznawałyście u ludzi, bo wasz sposób bytu życia jest wskazówką, że jesteście pokorne i cnotliwe; i dlatego też największe damy szanują teraz stan wasz i same weń wstępują, dlatego kochają was i poważają, dlatego do wielu okolic was zapraszają”.²⁾

W tej chwili jedna z sióstr wypowiedziała winę swoją i wyznała, że wiele błędów pod tym względem popełniła. „O! niech będzie Bóg błogosławiony, zawołał nasz Święty, błagam Go, by raczył przyjąć ten akt skruchy, na zadosyćuczynienie za winy, do których się poczuwasz.”³⁾ Mnie się zdaje, że próżna chwała nie powinna mieć miejsca pomiędzy wami, gdyż wy w większości jesteście ubogimi wiejskimi dziewczętami, córkami robotników rolnych, jak ja jestem synem ubożego wiśniaka; słowem, jesteśmy mało znaczącymi istotami. Co się zaś tyczy ubioru i sposobu okrywania głowy, który wy nosicie, to nie może to być przedmiotem próżności. Co zaś do rozumu, to i tem przechwalać się nie macie powodu, bo w istocie nie jest on zbyt wielki. Co zaś się tyczy pokarmu, to najubożsi mają taki sam: — trochę mięsa — to wszystko; nie macie żadnego powodu do wynoszenia się, lub uważania za coś lepszego; nawet wasze stosunki i rozmowy niczem są, bo wy nie odwiedzacie prawie nikogo innego, prócz ubogich, których służebnemi jesteście”.

Trzeba tu zauważyć wysoką delikatność Świętego. Nigdy nie mówi on do dziewcząt swoich: „Jesteście ubogimi, wiśniaczkami” — nie dodając wnet: „jak i ja”. Jest to najpierw pokora, a następnie zřęczność.

Chciałoby się przytoczyć tu całą tak ważną a prześliczną konferencję o cnotach dobrych dziewcząt wiejskich. Przytoczymy niektóre przynajmniej ustępy: „Siostry moje, w dzień

¹⁾ Conferences aux Filles de Charité I, 148.

²⁾ Id. 151.

³⁾ Conferences. I, 154.

⁴⁾ Id. 586.

świętej Genowefy, która była ubogą wiejską dziewczyną, zamierzałem mówić wam o jej cnotach, bo to są cnoty prawdziwej wieśniaczki; a pierwsze z was, przybyłe do naszego zgromadzenia, były dziewczętami wiejskimi. Że zaś w ten dzień nie mogłem mieć konferencji, z powodu pewnych przeszkód, więc postanowiłem dziś omówić ten przedmiot. Czy nie to tem chętniej, że przedmiot ten znam dokładnie i z natury i z doświadczenia, będąc sam dzieckiem ubożego rolnika, i do lat piętnastu życia byłem na wsi. A i potem większa część prac naszych wykonywana była wśród wieśniaków. Można powiedzieć, że nikt nie zna lepiej od księży Misyonarzy zwyczajów i obyczajów wiejskich. Powiem więc wam, że nie ma lepszego nad ludzi, posiadających prawdziwego ducha wiejskiego. Nikt nie jest więcej od nich przeniknięty duchem wiary, nikt więcej od nich nie ucieka się usilniej do Boga w potrzebach swoich, nikt nie jest bardziej od nich wdzięczny za doznaną pomyślność. Przedewszystkiem zaś prawdziwe wiejskie dziewczyny są pełne nadzwyczajnej prostoty, nie posługują się w mowie swojej ani finezyą, ani dwuznacznikami; nie są zarozumiałe co do swoich przekonań, nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do swego zdania, a po prostu wierzą temu, co się im mówi. I w tem właśnie wy ich naśladować powinniście.

„Widoczną jest wielka pokora prawdziwych dziewcząt wiejskich. Nie przechwalają się z tego, co posiadają, ani ze stosunków rodzinnych; nie pyszną się rozumem swoim, żyją w zupełnej prostocie. A chociaż niektóre mają większe od innych dostatki, to jednak wszystkie prowadzą życie jednakowo umiarkowane.

„Nie tak bywa zazwyczaj z dziewczętami miejskimi, które zawsze rade rozprawiać o domu swoim, o rodzinie, o wygodach swoich, a często przechwalają się z tego nawet, czego wcale nie posiadają. Otóż wy, w postępowaniu swoim usilować powinniście zawsze o nabycie prawdziwego ducha dobrych wieśniaczek i naśladować je w sposobie życia waszego.

„Powiem wam, że są pomiędzy wami takie, które posiadają tego ducha i te sprawiają mi wiele pociechy za każdym razem, gdy ich widzę. Gdy spotykam je na ulicy z koszem na plecach, to nie umiem wyrazić radości, jaką to mi sprawia,—

tak wielkie są one w oczach moich. O! Bogu niech będzie chwała za to!

„Dobre dziewczęta wiejskie są bardzo wstrzemięźliwe w jedzeniu; często większość zadawalnia się chlebem i zupą, chociaż nie ustają w ciężkiej pracy. Tak i wy czynić powinniście, jeżeli chcecie być prawdziwymi Siostrami Miłosierdzia.

„A nie myślcie, że to wy tylko jedynie macie tak ubogie jedzenie; w bardzo wielu miejscach ubodzy rzadko mają chleb. W Limouzin najczęściej mają tylko chleb z kasztanów. W stornach, z których ja pochodzę, wiecie, czem się żywią dobrzy ludzie przez większą część roku? Żywią się kaszą, w garnku zgotowaną. O! jak potrzebną jest wstrzemięźliwość w jedzeniu Siostram Miłosierdzia!

„Dobre wiejskie dziewczęta, takie, jaką była wielka święta Genowefa, posiadają nieskalaną cnotę czystości; nigdy nie zostają sam na sam z mężczyznami, i nigdy nie patrzą na nich; nie słuchają ich pochlebstw i nie znają, co to pieśszcota. Jeżeli powiedziec dobrej wiejskiej dziewczynie, że jest piękną i miłą, to wstydlivość jej nie zniesie tego, a nawet nie będzie wiedzieć, co się do niej mówi.

„A jeszcze wam powiem, że prawdziwe wiejskie dziewczyny są nadzwyczaj skromne w obejściu; wejrzenie skromne, skromny ubiór, zwykle gruby i prosty; tak samo i Siostry Miłosierdzia, które nie powinny uczęszczać do zamożnych, wielkich domów, chyba tylko wtedy, gdy chodzi o sprawę służby ubogich; a i wówczas nawet trzeba, żeby szły tam z pewną obawą. Niech się nie zabawiają oglądaniem tego, co jest w domu, a ze wszystkimi powinny mówić z wielką skromnością i powściągliwością.

„O jakiej pociechy doznaję, spotykając niektóre z pomiędzy was, posiadające tego ducha, chociaż pochodzą z możniejszych domów, gdy dźwigają kosz na plecach z taką rozczulającą skromnością, jaką się zdobywa pod wpływem pobożności! Tak, są pomiędzy wami takie, które podziwu są godne i które rzeczywiście posiadają wielkie cnoty.

„Czy można gdzie spotkać większe posłuszeństwo, jak wśród dobrych dziewcząt wiejskich? Przychodzi z roboty, a gdy ojciec lub matka każą wrócić do niej, idą niezwłocznie, nie bacząc na zmęczenie i na odzież zbrukaną. Oto w jaki spo-

sób prawdziwa siostra Miłosierdzia postępować powinna. W południe przychodzi z roboty, z posługi chorym, aby przyjąć posiłek; a jeżeli lekarz lub posługująca siostra powiedzą, że trzeba wnet podać lekarstwo choremu, — należy niezwłocznie po posileniu się, nie zważając na żadne zmęczenie iść prędko, nie myśląc o sobie i o swojej dogodności, lecz w duchu posłuszeństwa i z myślą o wygodzie chorych, a nie o swojej własnej. Sądzę, że prawie wszystkie jesteście do tego gotowe.”¹⁾

Inny znów przedmiot, któremu św. Wincenty poświęcił sporo konferencyj, — to posługa ubogich. Podnosił on wielkość tej sprawy. „O! co za piękny tytuł, powiada, Boże, co za piękny tytuł, jaki wspaniały obowiązek! Dzieci moje, coście uczyniły dla Boga, by zasłużyć sobie na chwalebny tytuł służebnic ubóstwa? Przecież to znaczy to samo, co powiedzieć służebnic Jezusa Chrystusa, gdyż On uważa za czynione sobie to, co się czyni jego wyznawcom. Zresztą On sam nic innego nie robił nad posługiwanie ubogim. Nie wiem, czy mówiłem wam, jaki szczytny tytuł przybiera Papież: Sługa sług Bożych; najpiękniejszy i najczcigodniejszy tytuł, którym się posługuje przy rozsyłaniu najważniejszych pism swoich. Podpisuje się Klemens lub Urban, sługa sług Bożych. I wy, moje córki, podpisywać się będziecie: służebnice ubogich chorych, których umiłował Jezus Chrystus.

„O! jak szczęśliwe jesteście, córki moje, że Bóg przeznaczył was do tak wielkiego dzieła. Wielcy świata tego uważają się za szczęśliwych, mogąc poświęcić temu część swego czasu, a wy, szczególnie wy, siostry nasze od św. Sulpicyusza widzicie, z jaką gorliwością i zapalem służą ubogim te dobre księżniczki i te wielkie damy, którym towarzyszycie. Święty Ludwik z budującą pokorą wypełniał posługi ubogim w szpitalu (Hôtel-Dieu) paryskim, co sprawiało mu niezmiernie zadowolenie. Wszyscy Święci szukali sposobu i za dobry uczynek poczytywali posługę ubogim. Gdy więc oddajecie tę samą miłosierną posługę, córki moje, upokórzcie się i często myślcie o tem, że Bóg dał wam tę łaskę ponad zasługi wasze. Jeżeli z tego właśnie powodu świat was czci i miłuje, to o ile

więcej wy same powinnyście podziwiać to, co Bóg dla was uczynił! Widziałem przed chwilą królowę, która bardzo korzystnie się o was odzywała; uważam więc, córki moje, jak bardzo lękać się powinnyście, abyście się nie sprzeniewierzały Bogu i łaskom Jego, jeżeli nie będziecie czynić wszelkich wysiłków dla spełniania danych wam przez Niego wskazań.”

Lecz tego jeszcze nie dosyć, że siostry Miłosierdzia musiały być oddane ubogim w sposób nadprzyrodzony, posuwając się aż do poświęcenia i ofiary. Chciał on jeszcze, żeby były przytem roztropne, czynne, dokładne i punktualne, a posłuszne lekarzom co do czasu, godziny i właściwości podawanych leków, utrzymując rachunki w doskonałym porządku; aby na koniec godne były służyć za wzór tym, które po nich chciałyby się poświęcić na usługę ubogim.

Posłuchajmy tych rad tak praktycznych:

„Powinnyście być z szacunkiem i posłuszeństwem względem pp. lekarzy, strzegąc się bardzo wynajdywania zarzutów na ich rozkazy, które macie wykonywać dokładnie, nie pozwalając sobie nigdy na przyrządzanie lekarstw według swojego widzimisie, lecz dokładnie podając to, co przez nich zadysponowaniem zostało, tak co do ilości, jako też i co do wyboru ziół, ponieważ niekiedy chodzi tu nie mniej jak o życie ludzkie. Poważajcie pp. lekarzy nie tylko dlatego, że są ponad wami, więcej oświeconymi od was, lecz i dlatego jeszcze, że Bóg to nakazuje w Piśmie świętem, gdzie czytamy następujące wyrazy: „Szczanujcie lekarzy z powodu konieczności. Sami nawet królowie, jako też wszyscy wielcy świata szanują ich.” Czemuż byście więc wy, moje córki, nie miały ich szanować i poważać, jak należy, z powodu, że się żyli z wami, że rozmawiają z wami swobodnie? Tylko nieświadomość wasza może stoi na przeszkodzie, abyście zrozumiały, czemu posługują się oni rozmaitymi sposobami przy leczeniu chorób, które zdają się być jednakie.”¹⁾

„Trzeba, abyście ściśle stosowały środki, które zalecają na choroby, i aby, będąc na wsi lub w innym miejscu, gdzie niema lekarza, mogłyście z pożytkiem posługiwać się ich metodą. Uważajcie dobrze, w jakich razach trzeba puszczać krew i na-

¹⁾ *Conferences aux Filles de Charité*. I. 76, i następne.

¹⁾ *Conferences aux Filles de Charité* I, 35.

wet powtarzać to, kiedy z ręki, a kiedy z nogi, w jakiej ilości za każdym razem, kiedy stosować stawianie baniek; uczcie się, jakich lekarstw i w jakich chorobach używać i jak je stosować.¹⁾ Wszystko to, drogie moje córki, bardzo jest wam potrzebne i wiele dobrego uczynić możecie, gdy doskonale nauczycie się tego; a nawet sędzę, że bardzo ważnem by było, żebyście pomiędzy sobą odbywały w tym przedmiocie konferencye w formie katechizmu.”²⁾

Łatwo domyślić się, że w posłudze ubogim św. Wincenty żądał, aby miano wzgląd nie tylko na ciało, lecz i przede wszystkim na duszę.

„Czy myślicie, że Bóg przeznaczył was do tego jedynie, abyście przynosiły parę kawałków chleba i mięsa, zupy lub lekarstwa chorym? O, nie! żąda On od was jeszcze, abyście opatrywały ich potrzeby duchowe; trzeba, żebyście podawały im mannę duchową i udzielały im ducha Bożego.”³⁾

„Lecz powiecie mnie, czyż my ciemne, mało oświecone, mamy uczyć ubogich? Tak, drogie córki moje, musicie to zrobić i nie powinniście obawiać się tej roboty. Ale przede wszystkim nie zapominajcie prosić Boga w pokorze, co mówić macie. On nie omieszka natchnąć was. O! jak to pięknie, jak rzewnie jest widzieć, że obok trudu, jaki przyjmujeście na siebie w posłudze ubogim i chorym, macie jeszcze słowa pobożności, wskazujące, że serca wasze napelnione są miłością Boga i że udzielacie się drogim ubogim waszym! O! drogie moje, czyńcie wszystko, co możecie, aby służyć im w ten sposób, i odtąd miejcie to sobie za obowiązek sumienia, aby, zetknąwszy się z ubogim, nie ominąć pouczenia go.”⁴⁾

„A przede wszystkim w godzinę śmierci chorego powinniście podwoić gorliwość waszą.

„Miejcie wielkie staranie o nauczanie tych biednych ludzi; nauczcie ich dobrze umierać. Jaka to wielka pociecha, drogie moje, pomagać tym dobrym ludziom w drodze do nieba! Tak, niezawodnie, ucząc ich, jak należy dobrze słu-

¹⁾ Conferences I, 193.

²⁾ Id. 194.

³⁾ Id. 204.

⁴⁾ Confer. 193.

żyć Bogu, wy ich do nieba prowadzicie. O! siostry moje, wielkich rzeczy dokonacie, jeżeli wiernie Bogu służyć będziecie.”¹⁾

Nakoniec, aby żaden ludzki środek nie był ominięty w wypełnianiu ważnego ich posłannictwa, św. Wincenty à Paulo chciał, aby siostry posiadały naukę, do jakiej były zdolne; nastawał więc, aby nauczyły się czytać, pisać i rachować.

„Bardzo jest pożądane, żebyście wszystkie to umiały, nie po to, abyście miały być uczonemi, bo nauka sama z siebie często zapala tylko serca i nieodpowiednio podnosi umysł, napelniając go pychą, lecz potrzebnem to wam jest dla lepszego poznania waszych ustaw i ściślejszego ich zachowywania, dla dokładnego utrzymywania rachunków przychodów i rozchodów, dla podawania wiadomości z miejsc oddalonych, gdzie przebywać możecie, dla upewnienia przełożonych waszych o szacunku i zależności waszej, przede wszystkim zaś, da to wam możność nauczania tych biednych małych dziewcząt wiejskich; słowem, potrzebne to wam jest, abyście mogły lepiej służyć Bogu.”²⁾

Kształcąc w ten sposób siostry w odwiedzaniu i staraniach około ubogich, jednocześnie przykładał wiele starania, aby zaszcześcić wśród nich słodycz, jedność wzajemną, serdeczne poważanie, pokorę i skromność, które są mocą i okrasą prawdziwą życia religijnego. Chciał, aby we wzajemnych domowych stosunkach panowała pomiędzy niemi skromność anielska.

„Siostry, mówił im, pamiętać też będą, żeby, przechodząc przez dom, nie robić hałasu w pokojach, nie stukać drzwiami, otwierając i zamykając je, szczególnie w nocy. W czasie gdy wolno im rozmawiać ze sobą, unikać powinny podnoszenia głosu, a starać się zawsze mówić tonem umiarkowanym, jak to przystoi ich powołaniu i obowiązkowi budowania bliźnich.”³⁾

Lecz ta skromność zewnętrzna niezem jeszcze była w oczach jego, wobec serdecznego szacunku, jakie winny były czuć w domu swoim jedna ku drugiej. Szacunek serdeczny,

¹⁾ Ibid. 201.

²⁾ Conferences aux Filles de Char. I, 190.

³⁾ Ibid, 281.

to jest taki, który wypływa z serca i składa się jednocześnie z poważania i czułego przywiązania. „Ależ mówicie mi, ta siostra to biedna dziewczyna. O! o! to dusza zaszczycona tem, że Bóg ją powołał, a gdy się zgodziła, wziął ją za oblubienicę swoją: — czyż może być wyższa nad tę godność? To znów inna była panna z wielkiego świata, a porzuciła stroje swoje, by przyjąć tę odzież wzgardzoną, by oddać się Bogu w stanie poniżenia, upokorzenia i trudu, a dlatego tak uczyniła, że wierzyła, iż Bóg tego żądał od niej. Czy możecie wskazać coś godniejszego szacunku? ¹⁾

„Przyjdzie dziewczyna o sto mil stąd, z Flandryi, z Holandyi, aby poświęcić się Bogu w posłudze najbardziej opuszczonym na świecie; czyż nie jest to śpieszyć na męczeństwo? Tak, bezwątpienia, jeder z Ojców świętych powiedział, że ten jest męczennikiem, który, oddając się Bogu dla posługi bliźniemu, chętnie znosi wszystkie napotymane trudności i nieprzyjemności tego urzędu”. ²⁾

Łatwo się domyślić, że św. Wincenty, domagając się skromności i wzajemnego jednej dla drugiej szacunku sióstr w domu zgromadzenia, więcej jeszcze był zajęty skromnością ich zewnątrz domu.

„Zawsze powinniście zachować przykłądną skromność. Cóż to byłby za widok, gdyby siostra Miłosierdzia szła przez ulicę jak trzpiot, lub rozglądała się na prawo i na lewo? O, córki moje, gdyby tak było, to by świat prędko powiedział, że to dziewczę utraci swoje powołanie; a jeżeli i inne w ten sposób się zachowają, to zgromadzenie nie będzie istnieć. Istotnie, bardzo jestem zbudowany, gdy na ulicy spotykam którą z was; niech Bogu będzie chwała! Zawsze pozostaje mi w pamięci wielka skromność siostry, którą spotkałem wracającą skądciś. Zapytałem, z kim mówiła przed chwilą: „Co! Ojcie, odpowiedziała mi, zupełnie nie zwróciłam na to uwagi”. Oto, tak być powinno, córki moje”. ³⁾

A jeszcze większej skromności domagał się w stosunkach z duchowieństwem. „O, córki moje, unikajcie wszelkiej poufności z duchownymi, a miejcie dla nich wielki szacunek;

¹⁾ Confer. I, 227.

²⁾ Id. 228.

³⁾ Conferences I, 57.

niema nikogo na świecie godniejszego od nich tego uczucia. Oni we Mszy św. przez słowa sakramentalne przemieniają chleb i wino w Ciało i Krew Jezusa Chrystusa; oni przez sakramenta przywracają nam łaskę Bożą i nieprzyjaciół czynią przyjaciółmi Bożymi, oni posiadają moc wyrwania nas z rąk szatańskich i oddania w ręce Boże. O córki moje, nigdy nie może być za wiele szacunku względem tych, którzy posiadają niezmazalne znamię kapłaństwa!

„Dlatego też rozmawiać z nimi powinniście ze szczególniejszą skromnością, nie śmiejąc prawie oczu podnosić w ich obecności. Uszanujcie świętość, jeżeli ją posiadają; a jeżeli znacie kapłana, nie posiadającego tej cnoty, to szanujcie świętość jego charakteru kapłańskiego i świętość urzędu w Kościele Bożym. Gdy macie co do powiedzenia im o potrzebach waszych chorych, mówcie krótko i jasno i niech nigdy to nie będzie w ich mieszkaniu; o tak, nigdy. Wolałbym, żebyście poczekały na nich w kościele. Jeżeli zaś z powodu jakiejś gwałtownej potrzeby, wyraźnie to powiadam, z powodu bardzo gwałtownej potrzeby, której odłożyć nie można, musicie wejść do mieszkania, to nigdy nie idźcie tam same, lecz w asystencji towarzyszek, które opuszczać was nie powinna. Bo i dlaczego siostra sama miała iść do księdza? Coby o tem można było powiedzieć?, Nie, nie powinno to być nigdy, stanowczo nigdy. Jeżeli jest coś nagłego, możesz wziąć siostrę ze sobą, a po wejściu, opowiedz sprawę, z powodu której przysłaś, i cofnij się wnet, bezpośrednio. W każdym razie można raz i drugi odpowiedzieć na zadane pytanie; lecz gdyby chciano dłużej zatrzymać, trzeba by powiedzieć: Przepraszam, mam jeszcze dużo do roboty przed sobą, muszę się śpieszyć. Bo widzicie córki moje, chociaż świętość ich urzędu i święty charakter stanu wynoszą ich ponad resztę innych ludzi, to jednak może się zdarzyć, że gdy będziecie długo z nimi rozmawiały i to o rzeczach nie niezbędnych, to i oni, słuchając was i wy, mówiąc, poniesiecie stratę czasu. Na odchodnem żegnajcie zawsze króciutko i poważnie.” ¹⁾

We wszystkich tych sprawach, Święty nasz, zgodnie ze swoją metodą, zapytywał siostry; młode te dusze tak żarliwe

¹⁾ Conferences, I. 452.

i tak czyste, nagłone przez te zapytania, ożywiały się i znajdowały odpowiedzi, wprowadzające w zachwyt swego mistrza.

Przypatrzmy się, na przykład, konferencji o jedności i rozterce które panować mogą w zgromadzeniu. Jak trafne i głębokie odpowiedzi siostr. Więcej niż trzydzieści z nich zabiera głos i wypowiada najpoważniejsze i najgłębsze a najpraktyczniejsze motywy do zachowania za wszelką cenę jedności serc. Św. Wincenty à Paulo był zachwycony. Uważajmy też konferencję o zamięłowaniu powołania swojego. „Wielką miąłem pociechę na ostatniej konferencji, przy której byłem obecnym. Każda z siostr tak szczerze wypowiadała myśli swoje, że zdawało mi się, iż to iskierki wychodzą z ich ust, jak iskierki wytryskujące z żarowni, jak świece zapalające inne świece.”¹⁾

Aby zachować tę jedność i łączność serc, św. Wincenty za najlepszy środek uważał, żeby zupełna i całkowita szczerość posuniętą została do wzajemnego wypowiadania wad spostrzeżonych.

Raz gdy mówił o tej pobożnej praktyce, p. Le Gras klęka i pokornie prosiła, żeby jedna z siostr obowiązana była ostrzegać ją o wadach. „O, tak, powiedział Święty, niesprawiedliwym było by, żeby, gdy nasze siostry mają to szczęście, że są ostrzegane o wadach swoich, żebyśmy tylko my sami, Pani i ja, pozbawieni byli tego dobra, i byli tak nieszczęśliwi, że nikt nie odda nam tej usługi. Trzeba więc, żeby jedna z siostr, która będzie koadjutorką pani i zastępować ją w razie nieobecności, przyjmowała zażalenia na panią i wysłuchiwała tego, z powodu czego panią należy ostrzedz. Oto sposób, w jaki trzeba się posługiwać i jakim ja się posługuję; lecz oskarżyć ich muszę, że ten, na którym spoczywa obowiązek przestrzegania mnie, za rzadko to czyni i często przepuszcza mi bardzo znaczne błędy.”²⁾

Na następnej konferencji wraca do tego samego przedmiotu i zapytuje, czy jest w tem postęp. „Może nam pani zechce powiedzieć, czy jest jakiś postęp w zgromadzeniu od czasu, gdy postanowiono ostrzegać się o popełnionych błędach?—Ojcie mój, odpowiada pani Le Gras, nie dobrze jeszcze wprawiono się w tę praktykę; może to stąd pochodzić, że nie

¹⁾ Conference, 201.

²⁾ Conference, 319.

prosiła jeszcze wcale tej, którą wasze miłosierdzie przeznaczyło mi na dozorczynię. Powiadam, że nie prosiła jej jeszcze i zdaje się, że ona nie śmiała rozpocząć tej praktyki, z obawy, że duma moja nie łatwo mogłaby to znieść. Bardzo pokornie proszę was, mój Ojcie, o przebaczenie mi i wszystkim siostronom naszym błędów, popełnionych przezemnie i co do których mnie nie ostrzeżono.”¹⁾

Wtedy, aby ugruntować potrzebę tych przestróg, św. Wincenty pyta dalej: „Siostro, która tam stoisz, czy zdaje ci się, że pożytecznem byłoby, gdybyście przestrzegały jedna drugą?”—„Mój Ojcie, jest to jeden z najlepszych środków, jakie mamy do poprawy z wad naszych; jednak gdy jedna z siostr, którą prosiłam, by mnie przestrzegała, spełniła moją prośbę, ja byłam tak pyszną, że okazałam jej moją urazę z tego powodu. Bardzo pokornie proszę o przebaczenie i ciebie, Ojcie, i ciebie, siostro, która uczyniłaś to przez miłosierdzie nade mną.” Ta zaś druga siostra, klękając, powiedziała ze swej strony: „To ja, siostro moja, powinienam prosić cię o przebaczenie, że przestroję moją wypowiedziałam nie w porę, wobec innych.”—„O, jak to dobrze! powiedział czcigodny Ojciec; jedna obwinia siebie, że źle przyjęła przestroję, a druga, że źle ją uczyniła. Wstańcie, córki moje; lecz jest święty zwyczaj ucałowania ziemi po wyznaniu swej winy.”²⁾

Czystość anielska powinna być dopełnieniem obrazu siostry Miłosierdzia. Postawiona przez Kościół u łoża umierającego, powinna być, jak matka przy łożu chorego syna swego; lecz aby w takiej chwili mogła mieć tę czystość, trzeba, aby posiadała ją zawsze.

Widzimy, jakich cnót wymagał Święty od dziewcząt swoich: cnót heroicznych, bo bez nich nie mogłyby one wypełnić obowiązków świętego powołania swego. Zasadą, podstawą i celem tych cnót była miłość Boga. To też wracał on nieustannie do tego:—a z jakim zapalem, z jaką słodyczą, z jaką wymową! Sądzić o tem można z kilku następnych słów jego. Przedmiotem konferencji była miłość Boga. „Niech będzie chwała Bogu! Powiedz mi, siostro moja, dlaczego to siostra Miłosierdzia powinna kochać Boga z całego serca swego? — Dla-

¹⁾ Ibid. 234. s

²⁾ Conferences, 327.

tego, Ojcze, że jest On nieskończenie dobrym. — Dobrze; lecz dlaczego siostra Miłosierdzia powinna kochać Boga więcej, niż inni ludzie? — Bo On wyciągnął nas z zepsutego tłumu świata, i postawił nas na takim stanowisku, na którym mamy tyle środków uświętobliwienia siebie. Co do mnie, wstydę się, że tak mało korzystam z tylu łask i postanawiam na przyszłość bardziej mieć się na baczności. — A jaki znak, dziecię moje, wskazać ci może, że kochasz Boga? — Gdy czuję, mój Ojcze, chęć podobania się Jezusowi. — Ach, córko moja, to istotnie wielki znak; bo gdy się bardzo pragnie podobać Jemu, to nie tylko unika się obrazy Jego, lecz jeszcze staramy się czynić to wszystko, czego On żąda. A po czym poznać można, że siostra Miłosierdzia kocha Boga? — Jeżeli, mój Ojcze, zachowuje święte przykazania Jego. — Masz słuszość, córko moja etc., etc.”¹⁾

W takim duchu toczyła się cała konferencja. Siostry jedna po drugiej przemawiają, a każde słowo, pochodzące z tych serc miłujących, daje Świętemu sposobność do nowego, szerszego rozwinięcia myśli.

Zresztą żadnych nadzwyczajności, żadnych ostateczności nie było u świętego Wincentego, pragnął on, by dziewczęta jego przejęte były miłością Boga, lecz aby także były wolne, niczem nie skrzepowane, zawsze gotowe rzucić wszystko, nawet najmilsze ćwiczenia pobożne, nawet modlitwy i rozmyślanie, nawet komunie świętą, a iść służyć ubogim.

„Bez najmniejszej zwłoki czyńcie to wszystko, co się tyczy posługi ubogim; a jeżeli zamiast porannego rozmyślania wypadnie wam iść z lekarstwem, nie wahajcie się i idźcie w spokoju. O! jaka to wielka pociecha dobrej siostry Miłosierdzia, gdy mówi sobie: zamiast rozmyślania, zamiast czytania, idę do ubożego chorego, potrzebującego mnie zaraz, i wiem, że miłym Bogu będzie ten czyn mój. Z taką myślą siostra radośnie idzie wszędzie, gdzie Bóg ją woła.”²⁾

Jaki to sąd słuszny, zdrowy i umiarkowany. Oto prawdziwa religia, *religio munda et immaculata* (list ś. Jakóba).

Często podczas konferencji Święty nasz zdawał się, jakby zachwyconym w Bogu. Zatrzymywał się dwa i trzy razy po-

¹⁾ Conferences I, 404.

²⁾ Conferences 274.

Mr. inv. 10. Dr. 09-10.

wtarzał ostatnie wyrazy wypowiedzianego zdania, jak gdyby nie mógł dalej mówić. Albo też składał ręce, powtarzając: „Mój Boże! mój Boże!” albo też: „Otóż tedy, Zbawicielu mój! mój dobry Zbawicielu!”¹⁾ Siostry wstrzymywały oddech, a wzruszenie głębokie i im się udzielało. Patrząc na założyciela i ojca swojego, widziały w nim Świętego.

Konferencja kończyła się zwykle błogosławieństwem, udzielanem przez Świętego córkom swoim. Było to szczęściem dla nich, lecz udręczeniem dla niego. Niekiedy stanowczo odmawiał. „Jak to, mój Boże, ja, nędzny grzesznik, mam błogosławić tak święte dusze służebnic Twoich?”²⁾ Niekiedy decydował się na błogosławienie, bijąc się w piersi przedtem. Było to, gdy mówił o słodyczy i łagodności: „Oby podobalo się Bogu zesłać na was ducha swego, który jest samą miłością i słodyczą, rozkoszą i miłosierdziem, i ja, najprzekrzeszszy z ludzi, najmniej cichy i słodki, nie pozwolę sobie wypowiedzieć słów błogosławieństwa, a polecam się Jego nieskończonemu miłosierdziu.”³⁾ Albo też gdy mówił o pracy: „Błagam Boga, który odwiecznie pracuje wewnątrz siebie; błagam Pana Naszego, który w ciągłym był trudzie, aby przebaczone nam tracił czas; a szczególnie ja, niegodny tego chleba, który pożywam, błagam, o łaskę, abyśmy uświęceni zostali w pracach naszych.”⁴⁾ Niekiedy odmawiał bezwzględnie: „Błagam Boga, drogie córki moje, aby przebaczył wam winy, popełnione względem ustaw waszych. A ja nędzny, niezachowujący moich ustaw, błagam Go o przebaczenie też i mnie i wam, córki moje. Dlatego też prosić będę Pana Naszego Jezusa Chrystusa, aby dał nam święte błogosławieństwo swoje, sam zaś nie wymówię dziś tych słów błogosławieństwa, bo winy, przeciwko wam popełnione przeze mnie, czynią mnie niegodnym tego. Błagam więc Pana Naszego, niech On to uczyni.”

To powiedziawszy, pada na ziemię i całuje ją; a pani Le Gras (Mademoiselle) i wszystkie siostry mocno zasmucone tem,

¹⁾ Conferences II, 10.

²⁾ Ibid. I. 515.

³⁾ Conferences. I, 238.

⁴⁾ Ibid, 431.



że O cieć wyrzeka się pobłogosławienia ich, tak usilnie błagają go, że musiał ustąpić.

„Proście więc Boga, drogie córki moje, dodał, aby nie patrzył ani na niegodność moją, ani na grzechy i winy moje, lecz by uczynił miłosierdzie i zesłał na was błogosławieństwo swoje.¹⁾

Taki sposób nauczania nie mógł nie zagrzewać żarliwych, młodych dusz; słyszały to co tydzień. Nauki nie przebrzmiewały tylko wśród ścian skromnej salki, w której przemawiał św. Wincenty, przenikały na zewnątrz i ściągały tłum innych dusz, równie czystych i szlachetnych, czekających tylko hasła, by się podnieść i ruszyć w drogę. Przybywały one ze wszech stron i przepełniały zbyt mały już domek. Próżno pani Le Gras starała się pomieścić ich we wszystkich pokojach domku i na kurytarzach; nawet do łóżka swego przyjęła jedną słabą, by miejsca innym przysporzyć. Trzeba było porzucić ten dom, tę pierwszą, drogą kolebkę kongregacji. 17 maja 1736 pani Le Gras ze swymi dziewczętami osiedliła się przy kaplicy Saint-Denis, w lokalu obszerniejszym, a mającym tę jeszcze dogodność, że leżał u bram św. Łazarza, gdzie mieszkał św. Wincenty. Kontrakt podpisany został przez prezydentową Gaussault, która coraz bardziej stawiała się matką i dobrodziejką rodzącego się zgromadzenia. Była już wówczas chorą i z choroby tej wkrótce potem umarła, będąc przedmiotem wielkiego podziwu z powodu swojej słodyczy, cierpliwości i zupełnego poddawania się woli Bożej. Św. Wincenty pisał do pani Le Gras: „O, mój Boże, jak mocnem i słodczy pełnem było to poddanie się woli Bożej. Niczem to, cośmy w niej widzieli, gdy była zdrową, w porównaniu do tego, co ujawniła jej choroba.”²⁾

Św. Wincenty à Paulo był przy niej, pani Le Gras miała o nią staranie, a siostry Miłosierdzia, które tak lubiła, otaczały ją. Na swem łóżu śmiertelnem jednego tylko żałowała, że nie rzuciła była zawczasu wszystkiego, jak oddawna już tego pragnęła i nie wstąpiła do tej skromnej kongregacji służebnic ubogich. Bóg albo dla powiększenia tego jej żalu, albo w nagrodę pobożnych jej życzeń sprawił, że w noc po-

przedzającą chwilę zejścia umysł jej zajaśniał światłem oglądania przyszłej wielkości rodzącej się kongregacji. „O, córki moje, muszę wam powiedzieć, co dobra pani Goussault, wielka służebnica Boża — ta święta, która tak bardzo miłowała zgromadzenie wasze — powiedziała mi w nocy, śmierć jej poprzedzającej: — Ach, Ojcie, jak mój umysł przez całą tę noc zajęty był dobrymi córkami waszemi! Żebyś wiedział o wszystkim, co dobrego myślałam o nich. O jak wielkich rzeczy dokonują one! — Tak, dodał św. Wincenty à Paulo pod warunkiem, że wszystkie będą dobrymi.”¹⁾

¹⁾ Conferences, I, 285.

²⁾ *Lettres de Saint Vincent de Paul*. I, 250, Nr. 241.

¹⁾ Conferences, I, 184—261.

ROZDZIAŁ III.

Święty Wincenty à Paulo powołuje mężczyzn ze świata do posługi ubogim.—Siostry Miłosierdzia. 1633—1642. (dalszy ciąg).

Oto więc dwie już armie, stworzone przez św. Wincen-
tego à Paulo do posługi ubogim: damy ze świata o znakomitych
nazwiskach, z wpływami i fortunami swemi i siostry Miłosier-
dzia z anielską czystością i bohaterskiem poświęceniem.
Święty nasz usiłuje stworzyć trzecią jeszcze armię, trudniej-
szą do zebrania i uformowania, lecz nie mniej piękną, —
armię mężczyzn ze świata. Do dzieł miłosierdzia kobieta
wnosi więcej uczucia i czułości; mężczyzna więcej powagi.
Przykład mężczyzny silniej działa, a bywają nędzy takiego
rodzaju, że tylko mężczyźni mogą im zaradzić. A przytem,
aby przyjść z pomocą tak straszliwej nędzy, o której wkrót-
ce mówić będziemy, należało użyć wszelkich możliwych sił.
Z tych tedy powodów św. Wincenty pomnażał swoje usiłowa-
nia, aby możliwie największą liczbę ludzi zgromadzić pod
sztandarem służby ubogim.

Pierwsze próby datują się jeszcze z czasów probostwa
w Châtillon-les-Dombes. Ustawa dla konfraterni dam Miłosier-
dzia nosi datę 1617; regulamin w Amiens dla męskiego zgroma-
dzenia Miłosierdzia jest z roku 1620. A czyż nasz Święty
niczego w tym rodzaju nie stworzył w Clichy i w Châtillon?
W każdym razie od r. 1620 te męskie zebrania poczęły się mno-
żyć: w Folleville, w Montmirail, w Joigny, w Trévoux. Re-
jestra miasta Macon zachowały pamiątkę pierwszego zgroma-

dzenia męskiego, zebranego w r. 1623 w tem mieście, aby
przyjść z pomocą ubogim. Odnaleziono wiele rękopisów au-
tentycznych z regulaminami, skreślonymi ręką św. Wincen-
tego à Paulo. Myśl wszędzie ta sama, a najczęściej te same pra-
wie wyrazy.

Zgromadzenie jest stowarzyszeniem chrześcijańskim. Za
patrona ma Jezusa Chrystusa — Ojca ubogich. Prezyduje
w niem proboszcz parafii lub rektor kościoła, bez którego
nie robić nie można ani w zgromadzeniu dam, ani w stowa-
rzyszeniu mężczyzn. Każdy mężczyzna chrześcijanin może
tam wejść; lecz jako centrum, jako serce stowarzyszenia to
zgromadzenie trzydziestu wybranych z pomiędzy najgorliw-
szych, którzy się mianują służebnikami ubogich i którzy-
jak opiewa statut, są „jakby filarami, podtrzymującymi stowa-
rzyszenie”. Tych trzydziestu wybierają trzech administra-
torów, obowiązanych rządzić stowarzyszeniem: 1) prezyden-
ta, który nazywa się niekiedy przeorem, a niekiedy koman-
dorem; ten przewodniczy na zgromadzeniach i kieruje stowarzy-
szeniem, 2) skarbnika, który przechowuje fundusze stowarzy-
szenia w skrzyni o dwóch zamkach; a co roku zdaje sprawę
z użycia funduszy; наконец 3) wizytatora, którego obowią-
zkiem jest wyszukiwanie ubogich, wstydzających się żebrać, wdów,
sierot, starców i podawanie o nich wiadomości zgromadzeniu,
w celu przyjścia im z pomocą.

Zadaniem stowarzyszenia jest urzeczywistnienie tych słów
Deutoronomium: „Niech nie będzie ubogich pomiędzy wa-
mi.” Istotnie, w dobrze utrzymanej wiosce, w dobrze zorga-
nizowanem mieście nie może być, nie powinno być ubogich.
Bo gdy ubogi jest zdrow, to może zarobić na życie; że-
branina powinna mu być wzbroniona, a stowarzyszenie po-
winno dopomóc mu w wynalezieniu zarobku. Albo też jest
on delikatnego zdrowia, młody jeszcze i zarobić może zale-
dwie na pokrycie części potrzeb swoich; w tym razie stowa-
rzyszenie powinno mu dawać część brakującą. Lub też nako-
niec jest on chory, bezsilny niezdolny do wszelkiej pracy: „Sto-
warzyszenie dawać mu będzie tygodniowo wszystko, co do ży-
cia potrzebne”. Tym sposobem usuwa się żebractwo. Pan
Nasz, mówiąc: „ubogie zawsze mieć będziecie”, nie powiedział
przez to: będziecie mieć żebraków. Ubóstwo wchodzi w prze-
dziwny plan Boży, żebractwo zaś jest objawem niedoskona-

łości społeczeństwa. Jest ono matką wszystkich występków i niebezpieczeństwem dla wszelkiej cywilizacji.

Widzieliśmy, jak św. Wincenty zabierał się do zdobywania funduszy na utrzymanie i wyszukanie źródeł dla każdego stowarzyszenia, stosownie do miejsca, w którym ono utworzone było. Nie będziemy już o tem więcej mówili, a tylko musimy zwrócić uwagę na szczególne i ustawiczne nalegania jego, by dbać o duszę, więcej jeszcze niż o ciało. „Czuwać będą nad tem, aby dzieci chodziły do szkoły, uczyły się katechizmu i przystępowały do komunii; aby starsi nauczani byli religii i uczęszczali do śś. Sakramentów. Jeżeli dotyka ich to nieszczęście, że są heretykami, to członkowie stowarzyszenia niech nie zaniedbają starania, aby przywieźć ich do poznania prawdy, a jeżeli ci biedni zbłąkani opierać się będą, to czy trzeba ich wyganiać ze szpitala i odmawiać im wszelkiej pomocy?” Michelet w swojej „Histoire de France” (XII. 244) niesprawiedliwie ubliża pamięci Świętego, pisząc: „Dziwnem jest, że ten człowiek, mający tyle serca, nie zapominał nigdy swego charakteru kapłańskiego i spowiedź katolicką stawiał, jako warunek do otrzymania jałmużny. Więc jak? jeżeli ten zgłodniały jest lutrem lub kalwinem, to niech umiera? Czy trzeba koniecznie, by wyrzekł się swojej wiary, aby mógł jeść?” To też Feillet, człowiek wielkiej nauki i wysokiej prawości, uwierzywszy z początku temu zarzutowi Michelet’a, odwołuje go potem w swem dziele „La Misère au temps de la Fronde”. „Korzystamy z tej okazji, aby publicznie odwołać zarzut nietolerancji, jaki uczyniliśmy w pracy naszej, w „Revue de Paris” Wincentemu à Paulo, opierając się na źle zrozumianym tekście. Poważniejsze badania epoki, dokładniejsze poznanie Świętego, jakie dało nam odczytanie wszystkich niewydanych listów jego, przekonało nas, że Wincenty wobec nieszczęścia nie pytał nigdy, do jakiej religii należał nieszczęśliwy. Nie trudnem nam jest i nie czujemy się dotkniętymi w naszej miłości własnej, oświadczając, że zastrzeżenia nasze z roku 1856 dziś w 1861 wydają się nam raczej zwodnicze, niż poważne i że odwołujemy je bez żadnych wykrętów i bez żadnej myśli ubocznej, lecz jedynie z szacunku winnego prawdzie”.¹⁾

¹⁾ La Misère au temps de la Fronde, str. 239.

Prawdą niezbitą pozostaje, że świętobliwe serce kapłana, przychodząc z pomocą wszystkim bez różnicy, pragnęło zawsze, aby pomoc ta służyła też do zwrotu ku prawdzie jednych, a ku cnocie wszystkich.

Lecz aby stowarzyszeni nie poddawali się nigdy osłabieniu, zniechęceniu, aby nie cofali się przed żadnym trudem, ani nawet przed żadnem niebezpieczeństwem, pragnął on, aby wznosili swoje oczy ponad ubogich, aby w ubogich tych widzieli cierpiące członki Jezusa Chrystusa, i aby byli mocno przekonani, że cokolwiek czynią dla najmniejszego z nich, to czynią dla samego Jezusa Chrystusa. Gdy odmawiał litanię, czuli wszyscy, że głos jego drży przy słowach: „J e z u, O j c z e u b o g i c h”.

To są zarysy ogólne i prawie wszędzie te same, odnośnie do ustanowienia zgromadzeń mężczyzn ze świata dla posługi ubogim. Tak dobrze odpowiadały one potrzebom chwili, że rozszerzały się wszędzie z cudowną szybkością, nie tylko w Folleville, Montmirail, Trevoux, Macon, więcej, niż w trzydziestu parafiach, sięgnęły nawet do Lotaryngii, Szampanii i Burgundii.

Większe jeszcze powodzenie było w Paryżu. Łatwo się domyślić, że po ostatecznem osiedleniu się u św. Łazarza, św. Wincenty nie zaniedbał podobnego dzieła, a mając pod ręką zastęp cały wielkich panów i osobistości znakomitych, przez nich zaś potrzebne poparcie, umiał użyć ten materiał do posługi ubogim.

Pomiędzy temi znakomitościami w pierwszym rzędzie stał baron de Renty, jeden z największych chrześcijan nie tylko XVII wieku.

Urodził się de Renty w roku 1611, w zamku de Beny, w dolnej Normandii, w diecezji de Bayeux. Do chrztu trzymali go ubodzy, na życzenie pobożnej rodziny, co zdawało się być proroctwem przyszłości. Po świetnych studyach w Bayeux i w Paryżu, chciał zostać kartuzem, lecz posłuszny ojcu, w dwudziestym drugim roku życia poślubił młodą, szlachetnej rodziny i wielkich cnót pannę d’Entraques, z którą miał dwóch synów i trzy córki. Powołany, jak wszyscy z jego rodu, do stanu rycerskiego, odznaczał się odwagą i pobożnością zarazem. Gdy pewien szlachcic wyzwał go na pojedynek, odpowiedział, że Bóg i król zabraniają mu tego i że bić się nie będzie; lecz jeżeli ów szlachcic napadnie go, to potrafi przy-

wieść go do skruchy. Tak też się stało. De Renty ranił napastnika, rozbroił go, zmusił do oddania mu szpady, nie wywierając innej zemsty nad to, że zaprowadził go do swego palacu, gdzie opatrzył jego ranę, z największą pieczołowitością pielęgnował go i zwrócił mu szpadę. Była to rzadka okoliczność, przy której mógł dowieść, że szlachetna krew bretońska płynie w żyłach jego. Wkrótce bezwzględna pokora, otoczyła obłokiem i ukryła przed oczyma wszystkie świetne przymioty jego. Uczynił postanowienie zrzeczenia się szlachectwa, rzucił wszystkie swoje tytuły, wszystkie oznaki swoich godności, a gdy Ludwik XIV przysłał mu tytuł radcy królewskiego, de Renty odesłał go królowi w pokorze, co nie tylko nie uraziło króla, lecz wzbudziło w nim szczerzy podziw. Od tego czasu poświęcił się cały na służbę ubogim. Z zamku swego Beny uczynił szpital, w którym i on i żona i młode córki jego na klęczkach służyli ubogim. W Paryżu, w Dijon, w Beaune i wszędzie, gdzie bywał, od trzech do czterech godzin dziennie poświęcał posłudze chorym w szpitalu a nawiedzanie Najśw. Sakramentu, które odbywał przed i po wizycie szpitalnej, bywało ożywione taką wiarą i takim skupieniem, że damy i siostry Miłosierdzia a także chorzy cisnęli się w ukryciu poza drzwiami kaplicy, aby nań patrzeć. Żeby miłosierdzie swoje uczynić owocniejszym, nauczył się trochę medycyny, a przedewszystkiem aptekarstwa, wyrabiając proszki, pigułki, maści, któremi opatrywał najwstrętniejsze rany. Żadna najstraszniejsza choroba nie odstręczała go, a przeciwnie, takie pociągały go najwięcej. Przytaczają z życia jego takie opatrunki, o których samo opowiadanie dreszczem przejmuje. A czynił to zawsze na klęczkach, w najwstrętniejszym ubogim czcząc Jezusa Chrystusa. Czyż mógł lepszego jeszcze pomocnika pożądać św. Wincenty? Raz, idąc po schodach do ubożego chorego, Renty spotkał siostrę Miłosierdzia i zapytał ją: „Czego tu szukasz, siostrze?” — Panię, ja szukam Jezusa Chrystusa. — A ja też — odpowiada de Renty. Od tej chwili przyjmuje on udział we wszystkich dziełach naszego Świętego: asystuje we wszystkich zgromadzeniach; współdziała we wszystkich przedsięwzięciach jego we Francji: jak seminaria, pomoc więźniom i skazańcom, szpitale, schroniska dla starców, domy podrzutków. Współdziała też we wszystkim, co przedsiębierze św. Wincenty poza granicami Francji, jak misye

w Algierze, Tunisie i Madagaskarze, misye w Irlandyi, Szkocyi i Anglii. Wszędzie sięga jego ręka; jest on ramieniem św. Wincentego. Umiera, mając lat trzydzieści siedm, podziwiany przez wszystkich, że w tak krótkim stosunkowo czasie tyle mógł dokonać.¹⁾

Obok niego wymienimy jego przyjaciela, Henryka Michała Buche. Prostý szewc, lecz o wielkiej inteligencji, przedsięwziął zreformowanie wszystkich korporacji rzemieślniczych i założył dwa stowarzyszenia: 1) szewców, i 2) krawców, które przetrwały aż do czasów wielkiej Rewolucyi.

Jeszcze wymienić należy pana de Sillery, przedtem ambasadora we Włoszech i w Hiszpanii. Był on komandorem zakonu Maltańskiego, a z natchnienia Bożego poświęcił się pod kierownictwem św. Wincentego służbie ubogim. Sprzedał wszystkie dobra swoje, opuścił wspaniałe apartamenty i uniesiony chęcią wyższego udoskonalenia się, pokornie starał się o łaskę zostania zwyczajnym kapłanem, co też i otrzymał, nie chcąc przytem przyjmować żadnej godności kościelnej. Posiadamy listy, pisane do niego przez świętą Chantal i św. Wincentego, które mogą być najwyższą chlubą, jakiej tylko pożądać może sługa Boży. Św. Wincenty pisze o nim: „Śmierć jego odpowiadała pięknemu życiu. Poszedł do nieba, jak monarcha wstępujący dla objęcia królestwa swego, w pokoju, z ufnością, słodyczą i mocą, których wyrazić nie zdołamy. O! Panowie, jak wielki był to sługa Boży!”

W pierwszym też rzędzie tych mężczyzn ze świata, którzy pod wpływem św. Wincentego stanęli do dzieła, wymienić musimy: dwóch Marillac'ów; jeden wielki kanclerz, drugi marszałek Francyi, obaj stryjowie pani Le Gras, a których straszne nieszczęścia podniosły jeszcze więcej blask ich cnoty. Następnie książę (duc) de Liancourt, równie, jak małżonka jego pobożny, o ile byli pod kierownictwem o. Olier, lecz którzy, niestety, pociągnięci przez ojca Des Mares, wpadli w jansenizm. Dalej, margrabia de Fenelon, którego Renty miał za towarzysza we wszystkich swoich dobrych dziełach; podobnie, jak on sam może być uważany za towarzysza św.

¹⁾ P. Saint-Jure. *Vie de M. de Renty*, Paris, chez Pierre A. Petit, rue S. Jacques à la Croix. 1653.

²⁾ *Lettres I*, Nr. 318.

Wincentego. Prócz tego p. Sublet des Noyers, sekretarz stanu, człowiek pobożny i dobroczynny, z którym Ludwik XIII lubiał zamykać się i wspólnie odmawiać brewiarz, dawać wytnienie sercu swemu i w tajemnicy pożalić się na tyranię Richelieu'go. A jeszcze p. Dufour dworzanin (*gentilhomme ordinaire*) księcia Orleańskiego i cały zastęp innych, których za długo byłoby wyliczać.

Zagrzewani takimi przykładami, pod natchnieniem św. Wincentego ludzie światowi śpieszyli do przyjęcia udziału we wszystkich dziełach miłosierdzia i dobroczynności. Św. Wincenty pisze; „Jak sądzicie, ile w Paryżu osób wyższych stanów obojga płci odwiedza codziennie szpital, dając nauki i upomnienia chorym, spiesząc tam wytrwale, pod wpływem przedziwnej pobożności? Istotnie kto tego nie widział z trudnością by uwierzył, a ci, co to widzą, wielce się tem budują; bo to życie jest życiem świętych i wielkich świętych, którzy służą w sposób możliwie najlepszy Panu Naszemu w jego członkach”.

Gdy jedni szli do szpitala, aby opatrywać chorych, drudzy śpieszyli do więźniów, by im pomagać, pocieszać, dawać odwagi. „Na czele tej grupy wymienić należy p. de Morangis, referendarza królewskiego; margrabiego de Laval, margrabiego d'Urfé, vicehrabiego d'Argenson, p.p. de Lavrau, d'Ornano, Talon, du Beloy. Wszyscy ci odwiedzali więźnia, wywiadywali się o potrzebach więźniów, i wyswobadzali tych, którzy zasługiwali na wyrozumiałość lub przebaczenie. Król przeznaczał do ich rozporządzenia corocznie znaczną sumę pieniędzy, a arcybiskup paryski płacił okup za tych więźniów, którzy mu byli przez stowarzyszenie przedstawieni do wykupu w niedzielę Palmową”.¹⁾

Za przykładem Paryża, stowarzyszenia mężczyzn dla posługi ubogim, tworzyły się we wszystkich wielkich miastach prowincyi. Notatki, przysłane z Caen, zawierają następujące wyrazy: „P. de Renty założył tu wiele zgromadzeń osób, którym radził wspólne każdotygodniowe zebrania dla wyszukania sposobów pomocy ubogim i unikania obrazy Boga”.²⁾ To samo w Amiens, gdzie w ciągu dwóch swoich tam podróży,

¹⁾ Raynard, II, 312.

²⁾ *Vie de M. de Renty* 183.

tak przykładem, jakoteż słowem i przez przyjaciół swoich pociągnął znaczną ilość mieszkańców do tej praktyki miłosierdzia, którzy chętnie podejmowali się i stale z pożytkiem wykonują”.¹⁾ Pewnego razu pisze on do superiora jednej z misyi: „Wielce uprzejmie proszę ojca, że jeżeli osądzisz, iż mogę być pożytecznym w tworzeniu tam małego kółka szlachty i towarzystwa miejskiego, jak to uczyniliśmy w małych i większych miastach, to zrobię wszystko, żeby tam się znaleźć; lecz mogę więcej złego, niż dobrego uczynić.”²⁾ Za przykładem św. Wincentego wszędzie, gdzie się zakładało stowarzyszenie mężczyzn, p. de Renty przysyłał ustawy, pisane w Paryżu niewątpliwie pod wpływem naszego Świętego.

Wszyscy inni ze szlachty czynili to samo; i w całej Francyi powstał rodzaj współzawodnictwa, komu będzie przypisana zasługa utworzenia stowarzyszenia mężczyzn, poświęcających się posłudze ubogim.

Święty Wincenty pragnął, aby to, co rozpoczęło się w Paryżu, rozpowszechniło się po miastach prowincjonalnych i po wsiach, zwłaszcza wśród większych właścicieli ziemskich i posiadaczy zamków. „Ktokolwiek, mówił on, posiada dużo ziemi, ten otrzymał też od Boga obowiązek dbania o dusze, na tej ziemi mieszkające; kto posiada pewną władzę nad innymi, ten w miarę tej powagi i władzy odpowiada za nich i za ich potrzeby. Niechże się zajmuje przede wszystkim ubogimi, sierotami i opuszczonymi; — to jego wyraźny obowiązek. Lecz niech nie zapomina o innych, bo to też do niego należy.” W celu rozpowszechnienia tych prawd, zbyt często zapominanych przez klasy zamożniejsze, — ułożył on pismo o czterech kartach, które po wielokroć przedrukowywał, a które kursowało po zamkach. Pismo to nosiło tytuł: „Instruction pour le soulagement des pauvres” (Instrukcja o pomocy ubogim). Tytuł ten zastosowany był do okoliczności i czasu ukazania się swego. Właściwiej powinien być zatytułowanym: „O obowiązkach panów wśród ziem swoich.” Przytaczamy je prawie w całości:

„Wielkie przykazanie chrześcijańskie polega na miłości Bo-

¹⁾ Idem, 188.

²⁾ Id. 183.

ga i bliźniego, a chrześcijanin świadczy, że godnym jest tego wielkiego imienia, gdy wypełnia miłosierdzia względem nędznych. Jest to wspólny obowiązek każdego w stosunku do jego możliwości, lecz szczególnie dotyczy posiadaczy wielkich obszarów i wielkich dochodów, bo ci, mając prawo posiadania i wyciągania dochodów, mają też obowiązek zaopatrywania potrzeb tych, którzy zostają w nędzy. Bardzo słusznie powiedział niegdyś, co do tego jeden z wielkich Ojców Kościoła, że kto nie żywi ubożego, mając możność po temu, — ten jest zabójcą: *Non pavisti, occidisti*.

„Ci więc, którzy wśród wielkich potrzeb obecnych, zechcą przyłożyć się do wypełnienia tego obowiązku względem ubogich, mogą się posługiwać tą małą instrukcją, która była już z wielką korzyścią wypraktykowana przez niektóre osoby znakomite i znane zarówno z pobożności, jak i ze stanowiska swego.

„Przedewszystkiem właściwem jest, aby pan sam odwiedzał ubogich swoich wsi, dokładnie dowiadywał się o prawdziwym ich ubóstwie i nakreślił pamiętnik, który zawierać ma imiona i wiek ojców i matek, rodzin, jakoteż liczbę i wiek ich dzieci.

„Jeżeli ubodzy są chorzy, to pan obdarzy ich wedle swego uznania. W razie jeżeli ci chorzy nie mogą mieć nikogo przy sobie, jeżeli na przykład w miejscu tem niema zakładu Dobroczyńnego (*Charité*), to pan da rozporządzenie, aby jakiś chirurg, aptekarz lub lekarz, stosownie do tego, co może być dogodniejszym w danem miejscu, odwiedzał onych chorych, dla opatrywania ran i podawania lekarstw, stosownie do potrzeby.

„Co się zaś tyczy pokarmu, to pan będzie miał staranie, aby takowy dostarczany był dwa razy na tydzień w ilości pół funta mięsa, jednego funta lub sześciu ćwierci chleba na każdą chorą osobę dziennie.

„Jeżeli ubodzy są zdolni do pracy, to należy tak urządzić, by mieli robotę w tym czasie, gdy jej znaleźć nie mogą; można na przykład zająć ich kopaniem i wywożeniem ziemi.”¹⁾

¹⁾ Mowa tu zapewne o okolicach górskich, skalistych, gdzie przenoszenie ziemi odgrywa poważną rolę. (Przypisek tłumacza).

Jest to robota, do której prawie każdy wieśniak jest zdolny, nawet zgrzybiały.

„Jeżeli znajdzie się dziecko sierota lub opuszczone, to pan weźmie je pod szczególną opiekę, troszcząc się o jego wychowanie, naukę i wyżywienie.

„Ter sam duch Boży, który kieruje czynnością pana w sprawie starań o ubogich, nakazuje mu, by nie zaniedbywał starania o kościoły parafialne w jego posiadłościach, dbając o to, żeby parafianie szanowali jak należy pasterzy swoich, żeby roboty potrzebne przy kościołach były dobrze wykonywane, a kościoły przyzwoicie przyozdabiane.

„Ten sam duch Boży uczyni pana dbałym o to, aby sędziowie powstrzymywali złych, a zachęcali dobrych; aby spory i procesy nie przeciągały się zbyt długo, aby wykonywane były wyroki i postanowienia, przeciwko bluźniercom imienia Bożego; aby, o ile można usuwano szynkownie i karczmy; aby pijaństwo było karane, a przynajmniej; aby szynkarze i właściciele karczm nie przyjmowali nikogo w czasie, gdy się odbywa nabożeństwo w kościele; aby niewiasty rozpustne karane były i usuwane poza granice posiadłości, aby na koniec wszystko odbywało się w ten sposób, iżby służyło Bogu w pobożności i pokoju”.¹⁾

Oto program, podany przez św. Wincentego panom XVII wieku. W myśli jego pan powinien był być w swoich włościach tem, czem jest król w królestwie swoim: biskupem na zewnątrz, ministrem Bożym w sprawach dobra. Czasy się dziś zmieniły, warunki społeczne są inne, lecz obowiązki pozostały te same. Więksi właściciele w swoich dobrach, posiadacze wielkich fabryk, to spadkobiercy dawnych panów i zawiniliby bardzo, gdyby się nie poczuli do obowiązku spełnienia tych zadań i powinności, większych dziś jeszcze, z powodu zamieszania pojęć, podniecenia umysłów i osłabienia wiary.

Wypadki polityczne do nędzy zwyczajnej dodały jeszcze

¹⁾ Jeżeli nie zdolano dowieść, że ta *Instrukcja* jest dziełem św. Wincentego to niewątpliwem jest przynajmniej, że doskonale wyraża myśli jemu właściwe. Przejrzana i poprawiona; zgodnie z doświadczeniem, drukowaną była po raz drugi w Paryżu w kwietniu 1660 (*Bibliothèque S. Geneviève*).

wiele klęsk nowych, o litość wołających. Św. Wincenty niespodziewanie dowiedział się od p. de Renty, że na podda-szach Paryża było mnóstwo dostojnych lotaryńczyków, ogra-bionych i wypędzonych z kraju, z powodu wojny, którzy przez szlachetną dumę ukrywali swoje nędzy, żyjąc w ostatecznem ubóstwie, a wielu literalnie umierało z głodu. Na jedno sło-wo o tem naszego Świętego zgromadzenie mężczyzn zawo-towało potrzebne fundusze i poleciło wielu członkom swoim, z p. de Renty na czele, przedsięwziąć odszukanie tych szlachet-nych nędzarzy. Odkryto rzeczy rozdierające serce. Po otrzy-maniu tych wiadomości panowie na zgromadzeniu złożyli składkę potrzebną na cały miesiąc. Po upływie tego miesiąca zebrali się znowu u św. Łazarza i obłożyli się podatkiem jesz-cze na miesiąc; i tak wciąż z miesiąca na miesiąc w ciągu blisko dwudziestu lat, żarliwe ich miłosierdzie nie ustawało, zagrzewane ustawicznie przez Wincentego à Paulo.

Jednocześnie zaczął napływać do Paryża cały tłum szlach-ty, księży, zakonników, wygnanych z Anglii, Szkocyi i Irlandyi, wskutek wstrząśnień religijnych i politycznych, które zawiodły na rusztowanie Karola I-go. Czyż można było ich opuścić? Pomimo zadłużenia skutkiem innych palących po-trzeb, czyż nie było obowiązkiem chrześcijańskim i nawet punktem honoru przyjść im z pomocą? Członkowie zgro-madzenia przyjęli obowiązek sprawdzania ich doli i roz-dzielania między siebie pomocy. P. de Renty i tu znowu był w pierwszym szeregu. „Co miesiąc pieszo, zwykle sam jeden, ukazywał się w najodleglejszych dzielnicach Paryża, które w zapale miłosierdzia swego i w duchu umartwienia, wybrał jako swój oddział. Stosownie do instrukcyi ś. Wincentego, i zwyczaju, który nasz Święty wrowadził pomiędzy rozdają-cymi jałmużny, wchodząc do mieszkania tułaczy, pozdrawia-no ich z uprzejmem współczuciem i z pełną szacunku czulo-ścią, prosząc z pokorą o przyjęcie miesięcznej zapomogi. Pe-wnego dnia, gdy wyjątkowo był w towarzystwie jednego z przyjaciół swoich, wracając od tych wygnańców, rzekł: „Oto prawdziwi chrześcijanie, którzy wszystko porzucili dla Boga. A czemu my jesteśmy w porównaniu z nimi, my, cośmy nic nie stracili, my, którym nic nie brakuje? Oni zadawał-

¹⁾ Maynard, IV, 113.

niają się dwoma talarami na miesiąc, chociaż mieli po pię-tnaście i dwadzieścia tysięcy dochodu i z cierpliwością znoszą zmianę swego losu. My posiadamy wielkie majątki a zale-dwie odrobinę miłosierdzia. Ach! panie, ani na zewnętrznem zachowaniu się, ani w słowach, lecz w sercu i w czynach za-wiera się Chrystyanizm! ¹⁾

Chociaż zgromadzenie składało się z bardzo bogatych panów, to jednak często na początku miesiąca brakowało pieniędzy, bo budżet dobroczynności bardzo był znaczny. Szczęściem nie brakowało ich nigdy św. Wincentemu; zawsze był tam dla dopełnienia wyczerpanego worka. Jeden z panów zgro-madzenia pisał: „O. Wincenty zawsze był pierwszym do da-wania. I serce i worek jego zawsze były otwarte; tak, że gdy kiedy brakowało czegoś, to on oddawał wszystko, co miał, i pozbawiał się na razie tego nawet, co potrzebne było do skończenia rozpoczętego dzieła. Raz nawet, gdy dla do-pełnienia znacznej sumy brakowało jeszcze trzysta liwrow, on wnet je wyłożył, a wiadano, że były to pieniądze, dane przez pewną miłosierną osobę na kupno lepszego konia, gdyż posiadany przez niego, padał pod nim kilka razy ze starości. Lecz Święty wołał narażać się na niebezpieczeństwo upadku i ka-lectwa, niż nie dać wsparcia osobom, o których sądził, że go potrzebują.” Innym razem w podobnem położeniu brakowało dwieście liwrow. Św. Wincenty przywołuje prokuratora od św. Łazarza, odprowadza go na stronę i zapytuje: „Ile pienię-dzy masz w kasie? — Tyle tylko, ile ściśle potrzeba, aby jutro wyżywić zgromadzenie, jak wiadomo liczne obecnie. — Ale pozatem ile jest jeszcze? — Pięćdziesiąt talarów. — Jako, czyż niema innych jeszcze pieniędzy w domu? — Nie, ojcze, tylko pięćdziesiąt talarów, ani grosza więcej. — Dobrze, pro-szę mi to przynieść.” — Prokurator spełnia polecenie, przynosi pieniądze i św. Wincenty przelewa je do kasy miłosierdzia dla dopełnienia miesięcznego budżetu. O jutro nie troszczył się wcale, oddając się z zupełną ufnością opiece Opatrzności Boskiej. Istotnie Opatrzność w osobie jednego z panów stowarzyszenia, który widział i słyszał to wszystko, nie zawio-dła go i nazajutrz worek z tysiącem franków nadesłano do św. Łazarza.

¹⁾ Maynard IV, 114.

Dopełniając w ten sposób dość często wyczerpaną kasę Stowarzyszenia, jednocześnie podtrzymywał odwagę stowarzyszonych i zapalał wiarę. Często odbywał z nimi małe rekolekcyje, wiedząc, jak mówił, że nic skuteczniej nad to nie działa na odnowienie i pokrzepienie ducha: „Było to, powiada Abelly, rzeczą niezwykłą i wielce budującą, widzieć zebranych razem w tym samym refektarzu szlachtę, hrabiów, margrabiów i t. d., prokuratorów, adwokatów, radców, prezydentów, referendarzy stanu i innych urzędników sprawiedliwości; kupców, rzemieślników, żołnierzy a nawet paziów i lokai. Wszyscy przyjęci, pomieszczeni i żywieni w tem wielkiem hospicyum miłosierdzia, odbywali wspólne rekolekcyje”.

Znajdujemy rachunek, z którego okazuje się, że sam tylko dom św. Łazarza w Paryżu, mieścił i żywił przez rok cały od siedmiuset do ośmiuset osób, odbywających rekolekcyje, nie mówiąc już o innych domach misyjnych a szczególnie

Rzymie gdzie zawsze było wielu rekolektantów. Jeżeli obierzemy wszystkie rekolekcyje, które od r. 1635, gdy zaczęły być bardzo częste, do śmierci św. Wincentego, która nastąpiła w dwadzieścia pięć lat potem, to ogólna liczba rekolektantów przechodzi dwadzieścia tysięcy”.¹⁾

Nie podobna obliczyć, ile dobrego przyniosły te ćwiczenia, ile nawróceń nadzwyczajnych. Natury, skłonne do złego, zwracały się zupełnie ku dobremu. „Polecam, mówił raz św. Wincenty, modlitwom waszym jednego z naszych rekolektantów, który tego bardzo potrzebuje, a który bezwątpienia zdolny jest wiele dobrego uczynić, jeżeli całkiem nawróci się do Boga, przeciwnie zaś, istnieją obawy, iż może wiele złego wyrazić”.

Innym razem mówił św. Wincenty: „Mamy tu kapitana, który chce zostać kartuzem. Przysłali go nam, wedle zwyczaju ci dobrzy ojcowie, aby wypróbować jego powołanie. Proszę was, módlcie się za niego do Pana Naszego, a zarazem zważajcie, jak wielką jest dobroć Bożą, gdy w ten sposób bierze człowieka, który o wiele wcześniej wszedł do stanu tak przeciwnego dzisiejszym jego pragnieniom”.

„Mamy tu jeszcze drugiego również wojaka i również

kapitana; chwalimy za to Boga i polecamy również, jak i tamtego modlitwom waszym. Pamiętajcie jeszcze w modlitwach waszych o innym nowonawróconym z religii, pretendującej do miana reformowanej. Szczerze się on nawrócił; pracuje i pisze teraz w obronie prawdy, którą przyjął. Tym sposobem będzie mógł pozyskać innych; dziękować będziemy za to Bogu i błagać go, by coraz więcej pomnażał w nim łaski swoje.

„O Boże, ilu ich przychodzi do nas z daleka i z bliska, a wiedzie ich Duch święty! Jak też potężną musi być łaska Boża, by w ten sposób ze wszech stron wieść ludzi na ukrzyżowanie; bo i rekolekcyje mają za cel ukrzyżowanie ciała w ten sposób, aby z Pawłem świętym powiedzieć było można: „Ukrzyżowan jestem światu, a świat mnie jest ukrzyżowan”.¹⁾

W ten sposób na głos św. Wincentego i pod jego kierownictwem ludzie światowi zaczęli publicznie przystępować pod sztandar miłosierdzia; wpływy swoje, swoje fortuny oddawali na usługi ubogim. Usiłowali z całych sił, aby się bardziej udoskonalić i tym sposobem stać się zdolniejszymi do większego poświęcania i zaparcia się siebie. Oni na koniec nakreślili te wielkie linie i wytworzyli formę przedziwnego Towarzystwa świętego Wincentego à Paulo (*Société de Saint Vincent-de-Paul*), które zrodziło się za naszych czasów. Uważaliśmy je za nową kreację, a tymczasem jest ona zmartwychwstałą, dawną.

Święty Wincenty à Paulo, usiłując natchnąć córki swoje duchem, który miał je zawsze ożywiać, zaczął powoli odsłaniać przed niemi główne zarysy konstytucyi, którą zamierzał nadać. Konstytucya ta była bardzo śmiałą. Przeszło dwudziestu lat wielkich wysiłków trzeba było, by zatryumfować nad oporem opinii publicznej, nad zarzutami, stawianymi przez króla i parlament i nawet nad roztroprnym niepokojem Papieża i kardynałów. Istotnie, konstytucya ta, wprowadzając w zdumienie świat cały, stała się w końcu przedmiotem powszechnego podziwu. Oto na czem polegała.

¹⁾ Abelly I, 536.

¹⁾ Abelly, I, 546.

Dotąd od dawnych wieków, gdy młoda dziewczica chciała poświęcić się Bogu, zamykała się w domu, opatrzonym w nieprzenikliwe kraty, które wśród społeczeństwa podległego zamieszkom, jak to miało miejsce i w wiekach średnich, zapewniały jej bezpieczeństwo. Po odpowiednim peryodzie próby, składała śluby solenne, uznawane przez państwo, a śluby te pozbawiały ją prawa do zawierania ważnego małżeństwa, do robienia zapisów testamentowych, do dziedziczenia spadków; nie dając zaś jej prawa wyjścia na świat z owego zamknięcia, broniły ją przed własną niestałością. Kościół z wdzięcznością przyjmował te środki zapobiegawcze, podejmowane przez państwo, dla zabezpieczenia spokoju i czci życia zakonnego, przyjmując zaś je, nadawał im odpowiednie cechy. Domy te otaczał czią niby sanktuaria, dając im przytem urok słodczy, ciszy i spokoju wzorowych ognisk domowych. Kraty, które je otaczały, były to co prawda zapory więzienne, lecz więzienia dobrowolnego, do którego miłość Boga wtrącała i utrzymywała dusze przez Boga powołane do życia zakonnego. Śluby były to gwoździe przykuwające dusze do krzyża wraz z Jezusem Chrystusem, ku zbawieniu świata. Tym sposobem w pojęciach chrześcijańskich ponad ideałem małżonki, matki, ponad ideałem młodej pobożnej dziewczicy, stał ideał dziewicy, Bogu poświęconej jako dobrowolnej ofiary za grzechy ludzi, czerpiącej w świętych ślubach swoich, ze źródła zjednoczenia z Jezusem Chrystusem, potęgę wstawiennictwa, która stawała się nawet pewnego rodzaju piorunochronem dla społeczeństwa całego.

To też zaledwie pierwsze siostry Miłosierdzia złączyły się w kongregacyę, wnet wielki ideał ślubów zakonnych zarysował się przed niemi, jako nęcąca je pokusa.

Bo i czemużby nie wykonać ślubów? Czemu by do tych dobrych uczynków, do których wypełniania tak się szczerze przykładaly, nie dodać jeszcze szczęścia i zasługi poświęcenia się przez śluby nieodwołalne? Święty Wincenty wiedział o tych aspiracyach, lecz był na nie głuchy. O jakich bowiem ślubach mogła być mowa? Śluby uroczyste? Lecz według praw Kościoła i konstytucyi królestwa, za ślubami temi idzie zupełna klauzura; a cóż wtedy stanie się ze służbą ubogim? Może śluby proste? Lecz jeżeli te będą wieczyste, to wyniknąć z nich może wiele niedogodności. Czyż należy

posyłać na poddasza ubogich panny związane ślubami wieczystymi, a nie zabezpieczone przez prawo, mogące więc wyrzec się swych ślubów, a związać się ważnymi wobec prawa państwowego ślubami małżeńskimi, co byłoby wielkiem zgorzeniem dla ludu a nieustanną pokusą dla zakonnic? Były to względy wyłuszczone przez kardynała de Marquemont, arcybiskupa Lugduńskiego św. Franciszkowi Salezemu, które zniewoliły go do tak gruntownej zmiany pierwotnego projektu zakonu Wizytek.

Święty Franciszek Salezy ustąpił i jak wielki artysta, który natrafiwszy na przeszkody w urzeczywistnieniu wspaniałego ideału, wnet powołuje do życia nie mniej doskonały, postawił klauzurowane wizytki na miejsce siostr Miłosierdzia, które pragnął założyć. Lecz mijało od tego czasu lat dwadzieścia; pałaca potrzeba obsługiwaną ubogich przez siostry Bogu poświęcone już była dojrzałą. Św. Wincenty postanowił nie ustępować. Jego córki albo żadnych ślubów składać nie będą; albo takie, które nie staną im na przeszkodzie w odwiedzaniu ubogich. Poważał, szanował i cenił on siostry klauzurowane, lecz drzwi domu, który zamierzał wystawić, musiały zostać otwartymi w dzień i w nocy. — Oto pierwsza cecha konstytucyi, którą chciał dać córkom swoim.

Czytając listy jego i przemowy, widzi się wyraźnie, iż nie opuszcza go myśl o tem, co się zdarzyło św. Franciszkowi Salezemu; najtroskliwiej w drobnostkach nawet zapobiega, by nie podobnego nie stanęło na przeszkodzie jego zamiarom.

„Zdało się właściwem, abyście zachowały miano konfraterni lub stowarzyszenia, z obawy, że gdyby nazwano was kongregacyą, to w przyszłości znalazłyby się pomiędzy wami takie, które chciałyby dom wasz zmienić na klasztor i stać się zakonnicami, jak to uczyniły córki świętej Maryi.”¹⁾ Pan Bóg sprawił, że jako ubogie dziewczęta wzięłyście spadek po córkach świętej Maryi, można więc obawiać się, by z czasem nie znalazł się jakiś duch mniej roztropny, któryby chciał wprowadzić niektóre zmiany w waszem stowarzyszeniu, czy w ubiorze waszym, czy w sposobie życia waszego, w ubraniu głowy naprzykład mówiąc: „Jakto? ubierać się w ten sposób, idąc do ubogich! Naprawdę to śmieszne, trzeba by nam zmienić ubiór głowy,

¹⁾ Conferences aux Fille de Charite. II, 92.

trzebaby wziąć chustkę na szyję, żeby lepiej się okryć! O, córki moje, gdyby kiedykolwiek chciano wmówić w was podobne zmiany, odrzućcie je i śmiało odpowiedźcie, że chcecie posiąść koronę, obiecaną przez Boga córkom Maryi Najświętszej.”¹⁾

I nieustannie wracał Święty do tego przedmiotu: „Córki moje, wy nie jesteście zakonnicami. A gdyby znalazł się pomiędzy wami jakiś duch burzycielski, któryby mówił: —Trzeba, żebyśmy były zakonnicami. będzie to o wiele lepsze — o! siostry moje, byłoby to Ostatnie Namaszczenie naszego Zgromadzenia. Bójcie się tego, córki moje i póki życia waszego nie pozwalajcie na tę zmianę, płaczcie, jęczcie i przedstawiajcie to przełożonym, a nie zgadzajcie się na to w żaden sposób, bo gdy się mówi o zakonnic, mówi się o klauzurze; siostry zaś Miłosierdzia muszą iść wszędzie.”²⁾

Aby mocniej jeszcze zaznaczyć charakter dzieła swego, Święty zabronił dom swoich córek nazywać klasztorem; nie chciał osobnej kaplicy, ani publicznych nabożeństw, ani kapelana, ani żadnej podobnej rzeczy, które pobudzają zakonnice do zamknięcia się u siebie. „Żadnego innego dla was klasztoru prócz domu ubogich; żadnej innej kaplicy prócz kościoła parafialnego.”

Również żądał, by zachowały swój strój świecki. „O, córki moje, czym to było zamiarem dać Kościołowi zgromadzenie sióstr Miłosierdzia w stroju świeckim?”³⁾

Później w aprobacie ustaw powiedziano: „że siostry tak zwane Miłosierdzia postanowiły z natchnienia Bożego żyć razem w zgromadzeniu (*ensemble en communauté*), nie porzucając jednak ubioru świeckiego”.⁴⁾

Ubiór to był kobiet wiejskich z okolic Paryża: suknia koloru szarego, o szerokich rękawach, z pod których widać rękawy koszuli związane u dłoni; mała chusteczka z białego płótna na głowie okrywa włosy, a na tej chusteczce szerokie ubranie głowy z białego płótna, nazywane *cornette*. Niektórzy chcieliby, aby te dobre dziewczęta, przeznaczone do przebie-

¹⁾ Idem.; Ibid.

²⁾ Conferences, II, 92.

³⁾ Maynard, III, 219.

⁴⁾ Approbation du cardinal-legend 8 juni 1668.

gania ulic i zostawiania przy łóżach chorych miały przynajmniej woale okrywające twarze. Święty Wincenty odpowiedział na tę propozycję temi pełnemi odwagi słowami: „Za woal służyć im będzie ich skromność”.

Nakoniec, aby nadać dziełu swemu właściwy mu charakter, św. Wincenty nie tylko usuwa śluby solenne, za którymi musiałby iść obowiązek wieczystej klauzury, nie tylko nie pozwalał na jakiegokolwiekbądź śluby wieczyste; — lecz pokładając ufność w cnocie swych córek, wymagał od nich ślubów li tylko na rok jeden. Może, gdyby miał zupełną po temu swobodę, to nie wymagałby żadnych ślubów, aby w ten sposób poświęcanie się ich miało zaszczyt zupełnej wolności. „Pójdźcie więc, siostry moje, do biskupa tego kraju, (do którego przybędziecie); gdy was tam zaprowadzą, poproście go o błogosławieństwo, i oświadczycie mu, że chcecie zostawać pod całkowitem posłuszeństwem jemu i że oddajecie się zupełnie w rozporządzenie jego dla posługi ubogim. Jeżeli zapyta was, kim wy jesteście, czy jesteście zakonnicami, powiecie mu, że z łaski Bożej — nie. To niema znaczyć, żebyście nie miały wysokiego poważania dla zakonnic, lecz że gdybyście niemi były, to należałoby wam zostawać w zamknięciu i co zatem idzie, pożegnać się z myślą służenia ubogim. Jeżeli zapyta was, czy czynicie śluby zakonne? powiedzcie:—Nie, pasterzu, my oddajemy się Bogu na rok jeden, aby żyć w ubóstwie i posłuszeństwie.”¹⁾

Nowy ten zupełnie oryginalny typ zakonny, ustanowiony przez św. Wincentego, pomimo wszelkich zarzutów, streszcza się w tem znakomitem orzeczeniu: „klasztorem sióstr Miłosierdzia będzie dom chorych; całą ich pokój najęty; kaplicą kościół parafialny; zakonem ulice miasta lub sale szpitalne, klauzurą ich posłuszeństwo, krata klasztorną bojaźń Boża; zasłona zakonna—skromność święta”²⁾

Podobała się Opatrzności ta odwaga. Nie tylko Siostry Miłosierdzia, lecz prawie wszystkie nowe żeńskie zakony od trzechset lat przyjmują tę ustawę i dają światu widok zdumiewający. Co roku tysiące zakonnic stają się wolnemi od kończących się ślubów swoich, których termin mija o pół-

¹⁾ Conferences. I. 261.

²⁾ Regle. Ch. I. par. 2.

nocy. Wyobraźmy sobie co to za widok: tysiące zakonnic, mających swobodę i wolność powrócić do świata, zawrzeć jeżeli chcą, śluby małżeńskie, nazajutrz o siódmej rano przy Mszy świętej z wolnej woli i zupełną swobodą przyjmujących wspaniałomyślnie wczorajsze więzy, które opadły same, których nie potrzebowały nawet trudzić się rozwiązywać. Zapytajmy oszczerców życia zakonnego, czy wiele znajdzie się na świecie przysiąg, poddawanych podobnej próbie?

Śmiałemu przedsięwzięciu temu, które tak doskonale się powiodło, groziło jednak pewne niebezpieczeństwo—zwłaszcza osłabienie niejake życia zakonnego z powodu usunięcia tych zapor, które po to istnieją, aby rozkwitnąć ono mogło z większą siłą i żarliwością. Święty Wincenty à Paulo włożył to głęboko i część konferencji jego z Siostrami Miłosierdzia poświęconą jest temu przedmiotowi, aby niebezpieczeństwo to zaznaczyć i nauczyć, jak go uniknąć. Raz mówił im: „Nie jesteście zakonnicami i nie możecie być niemi, z powodu waszych ubogich; lecz musicie być świętobliwsi, niż zakonnice. Czemu? bo macie więcej okazji, bo macie mniej pomocy; bo jeżeli nie będziecie świętobliwymi, toście niechybnie zgubione.”¹⁾ Znow innym razem powiedział: „Nie macie wcale kraty, któraby was obroniła od zewnętrznego niebezpieczeństwa; musicie więc zbudować sobie kraty wewnętrzne, które lepiej was ochronią, niż wszelkie zapory. Zrozumieście dobrze te słowa ustawy waszej: za klauzurę mieć będą posłuszeństwo”. Raz gdy z kolei zapytywał siostry w tym przedmiocie, jedna z nich odpowiedziała mu: „Ojcze, ponieważ zakonnice mają klasztor, a my go nie mamy, więc trzeba, aby posłuszeństwo za klasztor nam służyło; w przeciwnym razie, zostaniemy w niebezpieczeństwie popelnienia wielu błędów. — Mój Boże, jak to dobrze powiedziane. Ach! jak to dobrze powiedziane! Jakże więc, córko moja! czy sądzisz, że posłuszeństwo tak cię utrzymywać powinno, jak klauzura utrzymuje zakonnice? — Tak, ojcze, i chociaż nie jesteśmy zamknięte, to nie mniej niż zakonnice obowiązuje nas posłuszeństwo. — Tak, w ten sposób córki moje, posłuszeństwo służy wam za mury klasztorne. A jaki to piękny obraz widzieć

dziewczę, obsługujące chorych w parafii, a żyjące jak zakonnica za klauzurą! Gdyby dziewczę to zostawione było samej sobie, w niezależności, nie miałoby trudności pójść raz w jedno miejsce, potem w drugie, robić wizyty, zajść do znajomej sobie damy, zatrzymywać się dłużej, niż rzeczywistość potrzeba, tam, gdzie czeka robota; lecz święte posłuszeństwo zabezpiecza ją od tego wszystkiego. Wszak taką jest myśl twoja, siostró, gdy mówisz, że zakonnice mają klasztor, a że siostry Miłosierdzia mają tylko posłuszeństwo i sądzisz, że Siostra Miłosierdzia równie dobrze czyni, jak zakonnica w klasztorze? — Tak, ojczel! — W istocie, siostry moje, bądźcie pewne, że jeżeli jest coś pięknego do widzenia, co byłoby zarazem miłem Bogu, podziwu godnem dla aniołów i ludzi, to właśnie widok ubogich dziewcząt, żyjących w swojej izdebce, jak same chcą napozór i dla oczu tych, którzy ich nie znają, w rzeczywistości jednak, tak poddanych i posłusznych, że powiedzieć o nich można, iż nigdy nic nie uczynią z własnej woli, ponieważ wszystko czynią przez posłuszeństwo. O! tak, jeżeli tak postępować będziecie, to trudno znaleźć coś większego nadto, i zakonnice, przez całe życie zamknięte w klasztorze, nie czynią nic nad to, co wy czynicie.”¹⁾

Innym razem mówił im: „Ludzie ze świata mogą przychodzić do was, i koniecznem to jest nawet dla waszych ubogich, lecz przychodzić mogą tylko do zabudowań waszych i do wewnętrznych parlatoriów, nigdy zaś do waszych cel. Celem siostry Miłosierdzia powinna być równie klauzurowa, jak cela karmelitanek. Nie pozwalajcie, aby mieli tam wstęp kiedykolwiek ani panowie, ani wielcy tego świata, ani księża, ani nawet spowiednicy wasi.” Chciał Święty, aby wszyscy bez wyjątku nie przekraczali drzwi domu: nawet o. Portail, gdyby śmiał tam się pokazać. „I ja też, dodaje, chociaż dziś stary jestem, nie powinniście wahać się zamknąć drzwi przedemną, gdybym chciał tam wejść.”²⁾

Mądrymi i stanowczymi zastrzeżeniami swemi, św. Wincenty mógł wytworzyć nowy bieg życia zakonnego, nie osłabiając dawnego. Rzeczywiście, rozlewał on wody życia tego, i mnożył jego dobrodziejstwa, podobnie, jak widzi-

¹⁾ Conferences. I. 584.

¹⁾ Conferences, I. 456.

²⁾ Conferences, I. 456.

my niekiedy dobroczynny wpływ rzeki rozlanej po nizinie; przekopują się rowy, którymi napływa woda, nie zmniejszając ani natężenia biegu swego, ani głębokości rzeki, a roznosząc płodny muł na ziemię dotąd jałową.

A jednak dziesięć lat minęło od założenia kongregacji, a żadna jeszcze z sióstr, za wyjątkiem pani Le Gras, nie była dopuszczoną przez św. Wincentego do szczęścia poświęcenia się Bogu, nawet przez te jednoroczne śluby. Z całą cechującą go roztropnością, „nie lubiąc natłoku”, skończył na tem, że się zdecydował przeciw 25 marca 1642 i wybrał z pomiędzy sióstr cztery do złożenia ślubów. Nie mamy szczegółów tej ceremonii, nie znamy nawet dokładnie imion tych, które brały w niej udział, lecz posiadamy formułę ich poświęcenia (konsekracji), a jest ona zbyt charakterystyczną, abyśmy nie mieli przytoczyć jej tu w całości.

„Ja niżej podpisana w obecności Boga powtarzam obietnice chrzlu mego i ślubuję ubóstwo, i czystość, i posłuszeństwo czci-godnemu generałowi księży Misyjonarzy w słowarzyszeniu sióstr Miłosierdzia, aby przykładać się przez ten rok do cielesnej i duchowej posługi ubogim chorym, prawdziwym panom naszym; a to przy pomocy Boga, o którą Go proszę przez Syna Jego Jezusa ukrzyżowanego i przez modlitwy świętej Dziewicy.”

Które były te cztery uprzywilejowane, co miały szczęście i radość uczestniczyć w tej pierwszej konsekracji? Trudno to powiedzieć; wiemy o dwóch tylko: siostra Barbara Engiboust i siostra Joanna Dallemagne. O innych domyślać się tylko można. Barbara Engiboust była pierwszą i najdawniejszą z sióstr Miłosierdzia. Z rodziny kolonisty z Beocyi, urodziła się w bliskości Chartres; pilna i odważna, niewiedomo w czym była mocniejszą, czy gdy trzeba było przez noce całe trzymać na ręku, w braku kolebki, dzieci opuszczone, czy też znosić bez przerwy złorzeczenia i brutalności galerników, o których miała starania, czy też wyrwać z rąk dozorców więziennego różgi, któremi chciał katować tych nie-
szczęśliwców. Żadna trudność nie odstraszała ją. Gdy w pierwszych czasach nie znano jeszcze zwyczajów zgromadzenia, wiele osób świeckich, wielkich panów i pań sądziło, że mogą być przyjmowani nie w rozmównicy jedynie, i chcieli wchodzić do cel sióstr. Twierdzili niektórzy, że ich dostojenstwo i godność uchylają wszelkie zakazy; siostra Barbara była

niewzruszoną. Stawała u drzwi celi, jak mur i trzymała w przyzwolonej odległości najznakomitszych panów. Pod wielu innymi względami podziwu godna a św. Wincenty mówił zawsze o niej z uczuciem głębokiego szacunku. „Moja wielka Barbara”, lubił ją nazywać dla odróżnienia od drugiej siostry tegoż imienia, którą z uśmiechem nazywał „Moja mała Barbara”. I istotnie wielką ona była i przez skromne pochodzenie swoje i przez poświęcenie i przez ducha ofiary, który ją przenikał. Na najmniejszy znak św. Wincentego, którego ślady stóp całowała, gotową zawsze była biedz choćby na koniec świata. Gdy umarła, stała się tak piękną po śmierci, iż lud podejrzewał siostry, że ją uróżowały i trudno było usunąć tłum od śmiertelnego jej łoża.”¹⁾

Małgorzata Laurence wstąpiła do zgromadzenia nieco później i zapewne należała do tej pierwszej grupy sióstr. Była to inna zgoła natura; żywa, wesola, gdy przechodziła przez plac i spostrzegła jakie zabawy lub hece rynkowe, musiała ścisnąć przy sercu swój krucyfiks, aby oprzeć się pokusie przypatrzenia się. „Tyś jest piękniejszy nad wszystko”, mówiła w ciszy i szła dalej. Przytem była szlachetna, zdolna do wszelkich ofiar. Długo wspomniano żarliwość, z jaką zrzucała swój strój świecki, by przyoblec siermiężną szatę i *cornette* siostry Miłosierdzia. Matka jej pisała do niej. „Córko moja, bardzom się ucieszyła, dowiedziawszy się o radości, jaką miałaś, zmieniając odzież świecką na szaty świętego ubóstwa, służebnicy Jezusa Chrystusa, a szaty te o wiele lepiej cię zdobią, niż atlas i złotogłów, jeżeli tylko dusza twoja zawsze przyozdobiona będzie w cnoty, godne tych szat: pokuty, pokory, cierpliwości, posłuszeństwa, a przede wszystkim bojaźni świętej i miłości Boga. Umiłuj z całego serca to upośledzone służebnictwo i tę tak pogardzaną niewolę, na którąś się oddała u stóp Jezusa ukrzyżowanego w osobach ubogich, których dla Jego miłości, chciałaś zostać sługą na resztę życia twojego. Przypominaj sobie wciąż tę pierwotną żarliwość swoją, a gdy się pocujesz oziębłą, znużoną, to za pozwoleniem świętobliwej przełożonej swojej, przystępuj do Stołu Pańskiego, aby rozgrzać i rozpalić w swem sercu ów pierwszy

¹⁾ Conferences, II. 589.

ogień, jakiś okazała nam, mnie i ojcu twemu, gdyś nas opuszczała. Tam, u Stołu Pańskiego, odkrywają się najskrytsze tajemnice dróg Bożych... Ach! jak szczęśliwą czuć się będę, że we wnętrznościach moich nosiłam cię, na mojem łonie wykarmiłam, skoro ujrzę cię w chwale niebieskiej, gdyż naśladowując Mistrza i Zbawiciela swego Jezusa, lubiłaś być pogardzaną i znieważaną przez wszystkich, zносиłaś trudy najcięższe i boleści najdotkliwsze dla ciała i dla ducha.”¹⁾

Łatwo zostać świętą, będąc córką takiej matki.

Pomiędzy temi najdawniejszymi siostrami, wymienić należy jedną, chociaż nie wiemy, czy była z liczby tych czterech pierwszych, które zostały poświęcone Bogu przez śluby, a mia nowicie: Annę de Gennes, pierwszą z dziewięciu z wyższego stanu, która wstąpiła do poczynającej się kongregacji, a której pokora większą jeszcze była, niż urodzenie. Niewypowiedzianem cierpieniem było dla niej, gdy mówiono o szlachetnym jej pochodzeniu; przeciwnie zaś, wśród ubogich rozpromieniała się radością, służąc im, jakby służyła Jezusowi Chrystusowi i często mówiła, że większe zadowolenie odczuwała, widząc swoich ubogich, niż gdy przyjmowała odwiedziny swych krewnych.²⁾

Wymienimy jeszcze Maryę Lullen z bogobojnej rodziny de Mans. Umiłowała ona szczególnie oddawanie czci Jezusowi Chrystusowi w osobie ubogich. Szła za nimi przez ulice, jak się idzie za krucyfiksem. Spotkawszy małe ubogie dziecko, całowała nóżkę jego, mówiąc, iż zdaje się jej, że całuje nóżki małej dziecińcy Jezusa.

„Bogu niech będzie chwała! mówił św. Wincenty, gdy mu opowiadano ten fakt, miała rację ta biedna dziewczyna, wierząc, że całuje nóżkę dzieciątka Jezus. O! jak miła Mu jest ta prostota!”

Wiele jeszcze innych siostr, możnaby tu wymienić, lecz spieszą nam do Joanny Dallemagne, która jednocześnie z Barbarą Engiboust, brała udział w oblóczynach 25 marca. Wstąpiła ona do zgromadzenia w r. 1638 i przebyła w niem tylko pięć lat. Weszła bardzo młodo, powodując się szczególniejszym natchnieniem, pomimo dobrych matek Karmelitanek,

które pragnęły zatrzymać ją u siebie, pomimo księżnej Conde (Karoliny de Montmorency), ofiarującej jej posag do wstąpienia do jakiegoby chciała klasztoru. Lecz ona nigdzie nie widziała, ubogich, którym chciała służyć i miłować ich. I to zaprowadziło ją do św. Wincentego Umarła młodo, *in odore sanctitatis*, wyczerpana trudem i poświęceniem się.

„O! jaka to cnota, siostry moje, mówił o niej św. Wincenty. Posiadaliśmy wielkie skarby w tej istocie; straciliśmy niestęchanie wiele przez jej skon! Oby Bóg za grzech tego nie poczytał mnie nędznemu grzesznikowi, bo może ja jestem winien temu”.¹⁾

Cnotą, która w tak wielki podziw wprawiała naszego Świętego, była głęboka pokora tej siostry, połączona z nadzwyczajną umiejętnością postępowania. Powtarzała zawsze: „Nic nie umiem dobrze zrobić.” A wszystko, co przedsiębrała przez posłuszeństwo, było zawsze doskonale spełnione. Siostra, która z nią pracowała przez ośmnaście miesięcy, oświadczała, że nigdy nie widziała w niej najmniejszej niedoskonałości.

„O córki moje, mówił św. Wincenty, oto, co jest przedziwnem, i Bóg niech będzie błogosławionym za to, że w ciągu osiemnastu miesięcy nie można było zauważyć żadnej niedoskonałości u jednej z sióstr! Nie słyszałem dotąd jeszcze nic podobnego o żadnej innej”.²⁾

Gdy wpadła w ciężką chorobę, która zaprowadziła ją do grobu, mówiła, że tego tylko żałuje, iż nie dobrze służyła ubogim, i że jeżeli ją Bóg zatrzyma przy życiu i wróci do zdrowia, to służyć im będzie o wiele lepiej. Gdy mijało osłabienie, czyniła wysiłki, by mówić, i patrząc na siostry, powtarzała, im, że bardzo są szczęśliwe, będąc powołane do służby ubogim; prosiła je, by służyły im lepiej, niż ona.³⁾ Jedynie pokora dyktowała jej te słowa, bo w jej posłudze ubogim, była niezmiernie gorliwą i słodką. Raz gdy na jej prośbę o chleb dla ubogich, siostra ekonomka powiedziała: Oto chleb czerstwy, daj go im, siostro. — O nie, siostro, ja mogę to zjeść, a Bo-

¹⁾ Archives de la Mission.

²⁾ Conferences, II. 583.

¹⁾ Conferences, I. 161.

²⁾ Conferences I. 166.

³⁾ Ibid. 166.

gu trzeba dawać to, co najlepsze.”¹⁾ Odwaga zaś jej przewyższała nawet dobroć. Widziano ją pielęgnującą ubogą dziewczynę, stoczoną przez szkrofuły. Widok jej ran i zaduch był tak straszny, że omdlewała z odrazy; lecz wnet zmoła się i najczulej mówiła do chorej: „Przebaczcie mi, moja droga, tę złą naturę moją”.

„Niestety, siostry moje, gdym ją spowiadał po raz ostatni, (a mogę to wam powiedzieć ku zbudowaniu waszemu, nie naruszając pieczęci spowiedzi), sądziła, że musi obwiniać siebie z powodu zadowolenia, jakiego doznawała w cierpieniach swoich. Powiem wam, siostry moje, że widziałem życie wielu Świętych, lecz mało takich, którzyby przewyższali ją w miłości Boga i bliźniego. — A ostatni raz, gdym ją widział, mówiłem jej: Powiedz mi teraz, czem byś być wolała w życiu: wielką damą, czy siostrą Miłosierdzia? Prawie już mówić nie mogąc, szeptała mi: Siostrą Miłosierdzia. — O! słodkie to słowo, wskazujące wam, siostry moje, że stanowisko sióstr Miłosierdzia wyższe jest nad wszelkie wielkości świata! A i ktoby też mógł wątpić o tem, bo być siostrą miłosierdzia znaczy być córką Bożą.”²⁾

Widzimy, jakiego hartu były dusze grupujące się dokoła św. Wincentego à Paulo, pod skromną szatą sióstr Miłosierdzia. Nędza może się już wzmacniać, wojna, zaraza, głód rozlewać się po świecie. Święty Wincenty à Paulo ma pod ręką armię zdolną, jeżeli nie zniweczyć nędzę, bo ta, niestety, bezwzględnie zniweczona być nie może, jak ludzkość sama, to przynajmniej może przyjść z pomocą nędzarzom, może złagodzić najostrejsze kataklizmy. A gdy nie jest w możności zapobiedz złemu, co często się zdarza, to jednak może pocieszyć, wspomódz, osłodzić nędzę przez balsamiczną woń rezygnacy i nadziei.

¹⁾ Confer. 169.

²⁾ Confer. Id. 163.

ROZDZIAŁ IV.

Księża Misyjonarze. 1625—1642.

Musimy teraz spojrzeć na ten dom św. Łazarza, umieszczony przez Boga w centrum Paryża, jako „nowe ognisko życia i światła, a obfite źródło wszelkich form miłosierdzia i dobroczynności XVII wieku”. Wznosił się on na tej wielkiej nieco pustej przestrzeni, która wówczas oddzielała Paryż od Saint-Denis, gdzie dziś przechodzi ulica Faubourg-Saint-Denis. Tam, pod numerem 117, w starych zabudowaniach dawnej trądowni (léproserie), biskupiej i królewskiej zarazem, powstało najoryginalniejsze i najśmielsze dzieło św. Wincentego: kongregacya księży Misyjonarzy.

Oryginalnością było to, że pierwsze i jedyne w Kościele zgromadzenie kapłanów, poświęciło się całkowicie i wyłącznie posłudze ubogich. O tem przedewszystkiem myślał od samego początku św. Wincenty; potem już okoliczności skłoniły go do wytworzenia zgromadzenia dam Miłosierdzia i stowarzyszeń mężczyzn ze świata. Wszystko, co było w Paryżu najznakomitszego, najbogatszego, nauczane zostało wspinać się na poddasza i schylać się do stóp ubóstwa. To uczyniwszy, Święty jakby w sercu przedsięwziąć swoich umieścił siostry Miłosierdzia, te przedziwne Szarytki, które stały się niejako widomem wcieleniem miłosierdzia. Lecz wszystkie te wielkie dzieła, tak potrzebne, tak udatne, ani na chwilę nie dały św. Wincentemu à Paulo zapomnieć o pierwszej jego myśli. Ponad ciałem, o wiele wyżej nad niem, widział on duszę; poza cierpieniami fizycznymi, które słusznie łagodzić

i opatrywać należy, patrzył w duszę ubogich, w dusze tak zamknięte przez ciemnotę, tak poniżone przez namiętności, te dusze nieśmiertelne, stworzone przez Boga ku chwale Jego, a którymi dotąd tak mało się zajmowano.

Niema to znaczyć, żeby w Kościele, wśród obfitości różnych zakonów religijnych, nie było oddających mu największej usługi; byli Jezuici, zajęci pracą wśród wielkich tego świata, co było niesłychanie doniosłem; byli Dominikanie, ludzie uczeni, doktorowie, którzy jaśnili na wielkich katedrach uniwersytetów, skutecznie odpierali napędy herezyków; byli Franciszkanie, a szczególnie Kapucyni, których św. Franciszek przede wszystkim dla ludu przeznaczał, lecz nie wzbraniał im działać w uniwersytetach; w Sorbonie, na wielkich katedrach i tam praca ich miała wielkie powodzenie. Tymczasem ubodzy, szczególnie po wsiach byli w XVII wieku opuszczeni. Tę lukę chciał zappełnić św. Wincenty à Paulo, tworząc stowarzyszenie kapłanów, poświęcających się całkowicie i wyłącznie posłudze ubogim.

Idea była wspaniałą, godną serca św. Wincentego, lecz jak trudna do urzeczywistnienia! Zebrać kapłanów znakomitych, — bo bez wielkiej podniosłości umysłu i serca nie można stać się zakonnikiem, — i usposobić ich wyłącznie do wychowania ciemnej i nieokrzesanej ludności wiejskiej; zabronić im wstępu do wielkich kollegiów, do uczonych uniwersytetów, — bo gdy się zakosztuje ponęty apologetycznych i naukowych dyskusyj, to zbyt małym wydawać się będzie nauczanie ubogich; — zakazać im nawet wstępowania na katedry w wielkich miastach i po katedrach; bo te piękne audytoria ludzi światowych i niewiast wykształconych, umiających odczuwać urok wymowy kaznodziejskiej, mogłyby w następstwie budzić niesmak do prostactych audytoryów, składających się z gromady siermiężnej, która z trudem zaledwie pojmuję i odczuwa to, co się do niej mówi. Marzyć o takim zaparciu się byłoby niepodobieństwem, bez wpojenia w serca kapłańskie i zakonne uczuć miłosierdzia, skromności i pokory, ponad wszelką myśl. Św. Wincenty wierzył w możliwość tego, próbował i dokonał z powodzeniem.

„O! panowie, mawiał on nieustannie do pierwszych uczniów swoich, ubodzy, — to nasz dział. *Pauperibus evangelizare misit me*. Co za szczęście, panowie, co za szczęście!

Czynić to, co czynił Pan Nasz, zstąpiwszy z nieba na ziemię, dalej prowadzić dzieło Boga Zbawiciela, który unikał zgłębku miejskiego, a szukał ubogich po wsiach; słowem, pomagać ubogim, panom naszym, to powołanie nasze. Gdyby zapytano Pana Naszego: Po coś przyszedł na ziemię? Odpowiedziałby nam: Przyszedłem opiekować się ubogimi. A jeszcze kim? — Ubogimi. — A jeszcze co? Ubodzy... A jeżeli zapytają misyonarza, to czyż nie będzie wielkim zaszczytem dla niego, że może powiedzieć wraz z Panem Naszym: *Evangelizare pauperibus misit me?* Jestem tu, aby katechizować, nauczać, spowiadać, opiekować się ubogimi.”¹⁾

„A do tego posłannictwa, powinno przywiązywać nas to, że nam powierzone ono zostało, nam właśnie jedynie. Nie było dotąd, o ile wiem zgromadzenia, któreby miało za główny i wyłączny cel, opowiadać Ewangelię ubogim i to ubogim najbardziej opuszczonym. O Boże! daj, aby było takie zgromadzenie i niech niem będzie zgromadzenie Misyonarzy, składające się z ludzi ubogich, mające za zadanie iść wszędzie z wioski do wioski, opuszczając miasta, czego dotąd nie bywało, a niech idzie opowiadać Ewangelię tylko ubogim. Zdumiewa to, a jednak Bóg to uczynił.”²⁾

Lecz im wyższe to powołanie, tem sprzeczniejsze ze skłonnościami natury ludzkiej. Dobrze to zrozumiał św. Wincenty à Paulo, że upadnie ono i prędko opuszczonem będzie przez uczniów jego, jeżeli nie zostanie oparte na najgłębszej pokorze. To też nie ustawał powtarzać im, że nie dorośli byli do wysokości powołania tego, że byli biedakami i ignorantami jak i on sam; upośledzonymi i niezdolnymi do niczego; że ich wątłe zgromadzenie było ostatniem pomiędzy wszystkimi innemi, najskromniejszym, najnędzniejszym i z liczby i z przymiotów członków swoich. Pięćdziesiąt lat życia swego strawił św. Wincenty na głoszeniu tej nauki, zakładając w ten sposób niewzruszone fundamenta dla zgromadzenia swego. Zgromadzenie to powołane do wyłącznej posługi ubogim, a ukryte w najgłębszej pokorze, rozwijało się bardzo powolnie. Rozpoczął św. Wincenty z jednym jedynym kapłanem ks. Portail; w roku 1626 przybyło dwóch: ks. de la Salle i ks. du

¹⁾ Avis et Conferences, 4 i 264.

²⁾ Avis et Conf. 4.

Condray; w kilka miesięcy potem przybyło jeszcze czterech, i dziesięć lat trzeba było czekać, nim liczba uczniów jego podniosła się do trzydziestu. W oczach świata było to prawdziwe niepowodzenie, lecz nie zniechęcało to jednak Świętego.

Co prawda, że aspirantów przyjmował on w dziwny sposób i że trzeba było szczególniejszej łaski Bożej, by wytrwać. Ks. Rene Almeras, ten znakomity człowiek, który po św. Wincentym został pierwszym superyorem jeneralnym kongregacyi, gdy po raz pierwszy przedstawił się Świętemu, prosząc go o przyjęcie do nowicyatu, ten odmówił mu. Młody ów kapłan już przedtem musiał znieść zarzuty, robione mu przez bliskich; Jakto! chcesz wstąpić do tej kongregacyi! Ależ to zbiór biedaków. Umrzesz tam z nudy. Czemu nie wstąpić do Jezuitów lub Dominikanów?" Nie słuchał tych uwag krewnych, a teraz słyszał te same zarzuty z ust świętego fundatora. „O! panie, mówił mu św. Wincenty, chcesz wstąpić do nas; ależ nas nie znasz. Jesteśmy biedakami, niechlujnymi, nietowarzyskimi, źle ułożonymi, nie mającymi żadnego miejsca zapewnionego, obowiązani przez posłuszeństwo iść wszędzie, gdzie nam każą." Następnie przedstawiał mu ubóstwo życia, odzieży, pościeli, — wszystkiego, a przedstawiał w sposób dziwny, niemal przesadny, mówiąc, że mieszkają, jak bydłęta, że gdyby bliżej się przyjrzał krańcowemu ich ubóstwu i prostym ćwiczeniom, toby zniechęcił się zupełnie, wyobrażałby sobie, że dom ich to szpital przepełniony nędzą wszelkiego rodzaju. Lecz nie zważając na to wszystko, Almeras był zdecydowanym nie ustępować, bo człowiek, który opuszcza świat powinien, powiadał, miłować jedynie ubóstwo, cierpienia i poniżenia, a kto przywdziewa habit zakonny, lub sutanę kongregacyi kościelnej, nie może ani pragnąć, ani szukać czego innego. W ten sposób wszystko to, co mówił św. Wincenty, aby go zrazić, było właśnie zachętą dla tego dziwnego aspiranta.¹⁾

Co św. Wincenty mówił młodemu Rene Almeras'owi, to samo powtarzał wszystkim. Słuchając go, można było sądzić, że kongregacya składała się z samych upośledzonych i żeby do niej wstąpić, trzeba było chyba przedtem zmądry

postradać. A mówił to tak często i z takim naciskiem, że dobry Ojciec de Condren w końcu uwierzył temu. „O! ojcie Wincenty, mówił mu, jakżeś jest szczęśliwy, że zgromadzenie twoje posiada cechy instytucyi Jezusa Chrystusa! Bo, jak On, ustanawiając Kościół, raczył wybrać biednych i maluczkich rybaków, aby ugruntować go i rozprzestrzenić po ziemi całej przy pomocy tak wybranych narzędzi i tym sposobem wykazać boską moc swoją, tak też podobnie większa część, a nawet prawie wszyscy, których Bóg powołuje do waszego zgromadzenia, są albo ubodzy, albo ludzie niskiego pochodzenia, albo też nie jaśniejący nauką. A jednak cała Francya zapłonęła i napełniona jest duchem tego małego zgromadzenia, ogólne zaś poważanie doszło do takiego stopnia, że nieboszczyk król¹⁾ nie długo przed śmiercią zaszczylił mię oznajmieniem, że jeżeli wróci do zdrowia, to nie pozwoli na nominacyę żadnego biskupa, któryby przed tem trzech lat nie przebył u Misyonarzy”.

Zdarzało się jednak, że pierwsi uczniowie św. Wincentego à Paulo, wysoko cnotliwi, byli, dzięki swej pokorze, uważani za nieuków. „Razu jednego, gdy na solennem zebraniu w kolegium Klermonckiem, któryś z uczniów św. Wincentego à Paulo, przez brak uwagi, zajął miejsce dla wyższej osoby przeznaczone, rektor posłał służącego, wzywając, aby zajął inne miejsce. Uczeń ów odpowiada dobrą łaciną, że bardzo mu dobrze na tem miejscu i chce na niem pozostać. Dowiedziawszy się o tem rektor, wziął go za Irlandczyka lub Polaka, posyła młodego regensa, który po łacinie przytacza mu antytezę tekstu ewangelicznego: *ascende superius*. Tym razem nasz gość odpowiada po grecku. Nowe zdumienie, nowy posel; idzie profesor retoryki, któremu gość odpowiada po hebrajsku. Uznano go za jakiegoś uczonego zakonnika i usadowiono na wyższym miejscu. Za powrotem do św. Łazarza, opowiedział całe zajście. Towarzysze pochwalili jego postępek. Innego jednak zdania był św. Wincenty, który powiadomiony o tem: „Wiedz, rzekł, że człowiek prawdziwie pokorny, a biedny misyonarz, nie szuka ani pierwszych miejsc na zebraniach, ani też się stara, by o nim mó-

¹⁾ Abelly II, 4.

¹⁾ Ludwik XIII (przyp. tłumacza).

wiono. Rozkazuję ci pójść, przeprosić rektora i regensa. żeś ich nie zbudował". Ukorzony, wysłuchał napomnienia z całą prostotą, i dowiódł swej cnoty pokory, jak przedtem „nauki”¹⁾.

To poczucie niższości, tak odpowiednie biednemu misjonarzowi, ta pokorna pogarda dla wszystkiego, co świat poważa, były ulubionym przedmiotem nauk św. Wincentego, który nie opuszczał żadnej sposobności, by je głęboko zaszczerpić w sercach swych uczniów.

O. du Coudray bardzo był biegły w znajomości języków syryjskiego i hebrajskiego. Nalegano nań, aby opracował łacińskie tłumaczenie tekstu syryjskiego w przekonaniu, że praca ta przyniesie zaszczyt rodzącej się kongregacji i pożytek Kościołowi. Żądano nawet, żeby pisał przeciw Żydom, posługując się Talmudem, który lepiej rozumiał, niż oni sami. Ks. Coudray był gotów uleść tym żądaniom, lecz przed przystąpieniem do dzieła, pyta o pozwolenie swego superyora: „Zaklinam, zawołaj św. Wincenty, nie myśl o tem; tego rodzaju roboty karmią ciekawość uczonych, lecz niczem są dla sprawy zbawienia ludu biednego, do czego przeznaczeni jesteśmy przez Opatrzność. Tysiące dusz we Francyi wyciąga ręce ku nam, wołając rzewnie: Wybrany jesteś przez Boga, abyś współdziałał zbawieniu naszemu, miej więc litość nad nami, gnijemy w grzechu, w niewiedomości i w ciemnościach. Aby wyjść z tego, nie trzeba nam ani syryjskich, ani łacińskich tłumaczeń. Gorliwość twoja i nasza gwara wieśniacza wystarczą ci do tego; bez tego jesteśmy w wielkiem niebezpieczeństwie duszy.”²⁾ Przedziwne słowa pełne głębokiej mądrości, z których nie należy przecież wnosić, że św. Wincenty nie rozumiał, jak ważną w Kościele rolę odegrywa nauka. Miał on ją w wielkiem poważaniu i uznawał konieczną jej potrzebę, lecz posłannictwo jego kongregacji było inne. Nie chodziło o fundację kolegiów, uniwersytetów, bo tych dosyć było już w jego czasach; nie chodziło mu o przygotowywanie potrzebnych Kościołowi uczonych, doktorów, bo i tych posiadał; chodziło o wytworzenie tego, czego brakowało zupełnie — doktorów duchownych dla ubóstwa, apostołów dla wiosek.

¹⁾ Maynard, II, 153.

²⁾ Lettres, 83.

Przestrzegając tak ściśle i tak energicznie prawdziwego celu misyj, święty Wincenty podejmował usilne staranie, aby dostarczyć środków do osiągnięcia tego celu. Za zasadę więc postawił od początku i ściśle się jej trzymał, aby Misyjonarze nie miewali kazań po miastach, a zachowali całą energię dla pieczy względem pocziwych wieśniaków. Próżno najgorliwsi biskupi prosili Świętego o przysłanie swych Misyjonarzy dla wypowiadania kazań w miastach biskupich; próżno Ludwik XIII i Anna Austriacka domagali się misyj w Reims i Metz, św. Wincenty z wielką pokorą, lecz nie z mniejszą stanowczością odpowiadał, że nędzna i mała kongregacja jego utworzoną została li tylko dla ubogich i że jednym z głównych punktów jej ustaw było niemówienie kazań po miastach. „Nie wiedziałam o tem, odpowiedziała królowa, a proszę mi wierzyć, że nigdy nie wymagałabym od waszych kapłanów czego, coby miało być przeciwne ich ustawom.”

Z tych samych względów, że misye przeznaczone były jedynie dla ubogich, św. Wincenty, jako drugi punkt ustawy zastrzegł, by były zawsze bezpłatne. Niczego nie wymagano od ubogich proboszczów wiejskich, do których parafii, przybywali Misyjonarze. Z trudnością przyjmowano to, co panowie wiosek ofiarowywali. Prócz mieszkania i niezbędnych sprzętów, Misyjonarze mieli ze sobą wszystko, co im było potrzeba i sami ponosili wszystkie koszty. Widywano ich nawet podróżujących do wiosek wśród wysokich gór Sabaudyi, z pościelą dźwiganą przez mułę i ciągnących za sobą mały wózek z drobną prowizją, a przez cały czas pobytu mieszczących się w stodole lub śpichlerzu, gdzie pobożność ich i poświęcenie budowały ludność, nie przyzwyczajoną do oglądania podobnych rzeczy. Aby zapewnić większą owocność tych misyj, święty Wincenty chciał, by pomimo małej liczby misjonarzy, chodzili oni co najmniej we dwóch, a niekiedy we trzech i więcej, będąc zdania, że najznakomitszy człowiek, gdy jest sam jeden tylko, nie może tak skutecznie poruszyć ludności. Z tego też powodu radził swoim księżom, aby starali się dłużej pozostawać w tej samej okolicy: miesiąc, dwa lub trzy miesiące, robiąc wycieczki do okolicznych zakątków. „Czem będzie misya bez poważnej pracy w ciągu dłuższego czasu na jednym miejscu? — Płomieniem ze sło-

my; błyskawicą wśród ciemności nocnych". A, wymagając, aby Misyonarze zajmowali się li tylko ubogimi, uczył ich, jak mają do tych ubogich przemawiać; domagał się, aby słowa ich były pełne prostoty, jasne, praktyczne, zawsze szlachetne, pouczające, a zarazem wzruszające, przystosowane do najniższego stopnia inteligencji, sięgające do głębin duszy. To wszystko nie jest rzeczą łatwą, przeciwnie wymaga nader subtelnej natury. Tak powinno być wszędzie, nawet wśród najświetniejszego audytoryum. Prawdziwa wymowa zawsze za taką tylko cenę trafia do celu; o ile bardziej jeszcze potrzebną jest ona wśród wiejskiej prostoty! W celu dopomożenia temu zadaniu, od początku prac misyjnych; ułożył metodę popularnego kaznodziejstwa, którą nazwał *la Petite Méthode* (Mała metoda), a którą następnie nazywano kaznodziejstwem Misyonarzy, kaznodziejstwem apostołskim. Musimy zastanowić się nieco nad nią, bo ona właśnie była znakomitą bronią Zgromadzenia od pierwszego wystąpienia Misyonarzy, była ową dźwignią, która wysoko podniosła wpływ błogosławionej kongregacji.

„Metoda ta, mówi św. Wincenty à Paulo, polega na tem, że w przemówieniach naszych przystępujemy wprost do rzeczy, najprościej, jak tylko być może, zupełnie poufale, tak że najmniejszy z naszego audytoryum może nas słuchać. Nie posługujemy się językiem napuszystym, ani też trywialnym, lecz takim sposobem mówienia, jaki jest w powszechnem użyciu: prostym, jasnym, mając ustawicznie przed oczyma potrzebę i korzyść słuchaczy. Taki sposób przemawiania naucza, zagrzewa, odwraca od grzechów, a zachęca do zamiłowania cnoty, wydaje najlepsze skutki wszędzie, gdzie jest dobrze użyty. Oto, na czem głównie polega nasza metoda. Porzucamy cały aparat uczoności, erudycji, przepełniający kaznodziejstwo naszych czasów; lud nie potrzebuje tego i nie rozumie tego wcale”.

Święty żądał, by jego Misyonarze w przemówieniach swoich przystępowali odrazu do samej istoty rzeczy: dlaczego trzeba wierzyć w taką prawdę? dlaczego praktykować należy taką cnotę? w czem się zawiera ta prawda i ta cnota? jakie są środki do ich nabycia? „Trzymając się tej metody, na pierwszym miejscu wskazujemy pobudki, które mogą poru-

szyc i skłonić umysł i serce do nienawiści grzechu i występku, a umiłowania cnoty. Lecz nie dość jest objawić obowiązek posiadania cnoty, jeżeli nie wiem dobrze, czem jest ta cnota, na czem ona głównie polega: — i oto drugi punkt metody, który należy przestrzegać. Wedle naszej metody, po wykazaniu dowodów, które powinny skłonić nasze serca ku cnotcie, na drugim miejscu wykazujemy, na czem ta cnota polega. Odchylasz zasłonę i w pełni odkrywasz blask i piękność cnoty. Otóż zdaje mi się, że dobrze widzę i wiem, jak piękną jest ona, jak pożądaną, lecz, bracia, jak ona jest trudną! Jak ją zdobyć: jak chcecie, abym coś zrobił, gdy chociaż wiem, że tego potrzebuję, nie posiadam odpowiedniego na to środka? Podajcie człowiekowi temu środki do osiągnięcia cnoty (co jest trzecim punktem metody), a będzie zupełnie zadowolony”.

Po wypowiedzeniu tych kilku słów, św. Wincenty stwierdza, że metoda ta jest łatwą, prostą, naturalną, zgodną z prawami ducha ludzkiego i że nią właśnie posługuje się wszędzie i w małych i w największych rzeczach. Wyjaśnia on to przykładem: „Chcecie pewnego człowieka usposobić, aby pożył stanowiska prezydenta sądu: cóż w tym celu należy uczynić? Trzeba przedstawić mu korzyści i wielkie zaszczyty, towarzyszące temu urzędowi: Prezydent, to pierwsza osoba w mieście; wszyscy ustępują mu miejsca; niema nikogo, kto by go nie uczył, powaga jego zjednywa mu szacunek u wszystkich. O! panowie, prezydent i biskupowi nie ustępuje; sami nawet monarchowie wyróżniają go i szanują. Prezydent może zobowiązać każdego, aby spełnił to, co mu się podoba; może zyskać wielu przyjaciół, być poważanym wszędzie i t. d. W ten sposób mówi mu się i o innych korzyściach urzędu prezydenta, i wnet zauważyć możemy, jak budzić się w nim będzie chęć zdobycia tej pięknej godności. Ale czyż zadowolimy go przez to zupełnie? Wcale nie, — trzeba jeszcze dodać do tego: czem jest ów urząd prezydenta? Na czem on polega? Co czynić trzeba, posiadłszy go? Prezydent to pierwszy urzędnik sprawiedliwości, to głowa tego wielkiego i szanownego ciała; prezydent rozdziela zajęcia i sprawy pomiędzy innych członków trybunału sądowego; on zbiera głosy innych i wypowiada wyroki. — Oto co mniej więcej opowiedzieć należy owemu aspirantowi do prezydentury, nie omijając i innych czynności tego urzędu. I oto mamy człowieka,

który ma chęć zostać prezydentem i który wie, już, czem jest ten urząd. Ale na nic jeszcze to wszystko, jeżeli nie podamy mu środków do otrzymania tego urzędu; miałby słuszość żalić się i uskarżać na tego zuchwałego doradcę, który wzbudził w nim pożądanie takiego urzędu, nie wskazawszy sposobów i środków do otrzymania go. Lecz jeżeli ten, który podawał takie rady, wskaże zarazem i środki, gdy powie mu: Panie, masz także dochody z tej strony, tyle pieniędzy skąd inąd; możesz zebrać taką sumę i stąd i zowąd; a przytem znam takiego pana, który ma ten urząd do ustąpienia. A jeszcze: Pan ten to serdeczny przyjaciel i mój i pański, — postaram się, żeby on wszedł z panem w umowę; porozumiemy się z nim; uczynimy to i owo i t. d. i t. d. — będzie to już znaczną poniekąd drogą wiodącą do otrzymania prezydentury. Takimi środkami posługują się wszędzie w rzeczach tego świata; otóż podobnie postępować należy i w rzeczach duchowych”.

Zauważmy tu między innemi ten styl św. Wincentego: tak żywy, tak jędrny, tak naturalny. To próbka najlepszego ze stylów XVII wieku.

Wskazawszy, na czem polega „Mała metoda” i jak ona opiera się na samej naturze rzeczy, Święty wskazuje jej skuteczność. „W ostatnich czasach, powiada, misya odbywała się na Korsyce, wśród bandytów, rabujących ludzi. I cóż? rzecz niesłychana, bandyci nawracali się gromadami. Oto co podobało się Bogu sprawić przez to biedne i lichy zgromadzenie, każące wedle „Małej metody”. Czyż nieprawda, ojcze Marcinie? jesteśmy tu na poufalej pogadance: powiedz nam, jeżeli łaska, jak to było? — Ojciec Marcin rzecze: Tak, wistocie, wszyscy bandyci przyszli do spowiedzi, i zwyczajnie tak bywa na misyach naszych. — Cudowne, zaiste; bandyci nawróceni przez kazania, wypowiedziane wedle „Małej metody”.

„Niedawno głoszone kazania w Bretanii. U brzegu rozbił się okręt; towary, stanowiące ładunek okrętu, przeniesione zostały na brzeg; cała wieś i ludzie z okolicy zbiegli się i rozchwyтали wszystko, co unieść mogli. Misya odbywająca się w tej wiosce wedle Małej metody spowodowała, że oddano wszystko, zabrane biednym kupcom. Zadosyć uczynienie było zupełne: jedni odnieśli paki z towarami, dru-

dzy materye i tkaniny, inni pieniądze a jeszcze inni zobowiązali się do zadosyćuczynienia, nie mając na razie możności zwrócenia zabranych przedmiotów. Oto, panowie, skutki „Małej metody”. Daremnie szukalibyście czegoś podobnego w tych wykwintnych sposobach przemawiania, z tą pełną próżności pompą i aparatem wymowy. Znajdzie się tam może jeden nawrócony po wielu kazaniach Adwentowych i Wielkopostnych, ale restytucyi żadnej; codziennie to widzimy.

„U nas przeciwnie, jakież skutki osiągnęliście wszędzie, każąc według tej metody? Mężczyzna i niewiasta, żyjący ze sobą na wiarę przychodzą do nas i mówią: Ojcze, wyrzekamy się niegodnych postępów naszych. Odtąd rozchodzimy się na zawsze! Co to jest? A urazy, a zadawnione nienawiści, a największe rozterki czyż nie były usuwane wskutek kazań waszych według tej metody? Jakie to wielkie zdobycze! a o ile byłyby jeszcze większe, gdybym ja nędzny nie stał na przeszkodzie z powodu grzechów moich! O, Zbawicielu! przebacz temu nędznemu grzesznikowi, który psuje wszystkie zamiary Twoje.”

Pompatyczna metoda, jak on ją nazywa, nietylko nie przynosi takich owoców, lecz, o wielki Boże! jak niebezpieczną jest ona dla tych, którzy się nią posługują! Ile próżności wytwarza, jaką pychę wyradza! A nietylko jałową jest i próżną, lecz stanowi zarazem oszustwo.

„Czem są te wszystkie fanfary? Czy przez nie chce kaznodzieja zdobyć sławę mocnego retoryka, dobrego teologa? Dziwna rzecz, że tak złą drogę obiera. Może zyska podziw kilku osób, które niewiele z tego rozumieją; lecz aby zdobył sławę człowieka prawdziwie wymownego, trzeba umieć przekonać słuchacza, i odwrócić go od tego, czego powinien unikać. A to nie polega na doborze słów, na układzie frazesów, na wyrażaniu myśli swoich w sposób niezwykły, na wypowiedzaniu mowy tonem podniosłym, deklamatorskim, górnolotnym. Czy takie kazania osiągają swój cel? Czy przekonywają i pociągają do umiłowania pobożności? Bynajmniej, bynajmniej; a jednak takie są zamiary tych wielkich oratorów: zyskać rozgłos kazać mówić o sobie: „Wistocie świetnie wystąpił, jest on wymownym, ma piękne myśli i wyraża je w sposób miły.” — Oto, do czego sprowadza się owoc takich kazań.

Wstępujesz na ambonę nie Boga głosić i chwalić, lecz sławić siebie samego (o zbrodniu!), posługujesz się rzeczą tak świętą, jaką jest słowo Boże dla podsyceń próżności swojej. Przebac, Zbawicielu!

„Powiadają: Metoda nasza jest dobrą, bez wątpienia, ale czyż inne metody nie są równie dobre? Widzimy tylu uczonych i doskonałych kaznodziei, nie znających naszej metody, którzy jednak przynoszą pożytek i każą bardzo dobrze. — Bez wątpienia — odpowiada nasz Święty, Bóg może się posługiwać wszelką metodą; może z kamieni wytworzyć synów Abrahamowych, lecz czyż tak wielu widzimy nawracających się pod wpływem tych wszystkich metod? My mamy doświadczenie naszej metody; a co do tej modnej, macie też doświadczenie, lecz wręcz przeciwne. — Tam słowa przechodzą ponad słuchaczami, potracają ich za ledwie powierzchownie, wzbudzają trochę wrzawy, trochę rozgłosu, lecz czemu to jest w porównaniu ze skutkami naszej Małej metody?

„A nie wyobrażacie sobie, że metoda ta jest dobrą tylko na wsi, do prowadzenia ludu, włościan; istotnie doskonałą, bardzo doskonałą jest ona dla ludu, lecz jest również skuteczną dla słuchaczy więcej inteligentnych, dla miast, dla samego nawet Paryża. Podczas misyi, odprowadzanej w Saint-Germain, napływało wiele ludzi ze wszystkich warstw, schodzili się tam ze wszystkich parafij, były osoby poważne, nawet uczeni doktorowie. A przemawiano tam, do tego wielkiego świata, wyłącznie wedle Małej metody. J. E. ks. biskup Bulonński, gdy przemawiał, czynił to według tej metody zawsze; a jakie owoce przyniosła ta misya! O Boże! jakie owoce! Spowiedzie generalne odbywały się tak samo, jak po wsiach i to było wielkiem błogosławieństwem. A czy widziano kiedy tyle nawróceń po tych wyrafinowanych bombastycznych kazaniach? Przechodzi to ponad głowami, a całe nawrócenie polega na tem, że słuchacze powiadają: O tak, ten człowiek dużo umie i piękne rzeczy opowiada.

„Lecz więcej jeszcze powiedzmy: Mała metoda dobrą jest i u dworu królewskiego. Dwa razy już zastosowaną tam była i śmiem powiedzieć ze szczerem uznaniem. Prawda, że za pierwszym razem napotkała na opozycję; tem nie mniej miała doniosłe skutki. Przemawiał J. E. ks. biskup z Alet; z łaski Bożej opozycja przeciw Małej metodzie

ustalała i za drugim razem przemawiał już jeden z naszych o. Luytre. I Bogu niech będą dzięki, nie było żadnej opozycji; o! ja nędzny! śmiem powiedzieć, że Mała metoda tryumfowała i podziwiano skutki cudowne.

„Sądzę, że już nie nam teraz nie stoi na przeszkodzie, abyśmy się zawsze trzymali tej metody w naukach naszych. Czy ma to być przyjemnością, czy też nie; nie oto chodzi, lecz, że nauczając wedle niej, otrzymamy większe zadowolenie, niż przy każdej innej. Bo czyż może być większe zadowolenie dla kaznodziei, jak gdy widzi, że słuchacze, tonąc we łzach, przychodzą do niego, co często zdarzało się wam samym. Czyż nie prawda, że często widywaliście płaczących słuchaczy waszych, a kiedyście musieli ich opuszczać, to wypadało wam wyrwać się potajemnie. Biegano za wami, czyż nie prawda? Proszę was, powiedzcie nam, czy tak nie było. — Tak istotnie, nie wiedzieliśmy, co mamy robić, jak się wymknąć z tłumu nas otaczającego. — O! Zbawicielu, takie pochwały nam dają, jakie dawano Jezusowi Chrystusowi! Mówiono Misyonarzom: błogosławione żywoty, które was nosiły! A gdy odchodzili, wołano: Błogosławione piersi, które was karmiły! O! jak szczęśliwe są matki wasze! A cóż więcej nad to mówiono Synowi Bożemu! Wszystkie te pochwały i wiele innych, które wam nawet natrętni się zdawały, dawano wam, Misyonarzom, lecz Misyonarzom, posługującym się Małą metodą.

Lecz metoda ta, taka prosta, pozioma! co powiedzą o mnie, gdy zawsze kazać tak będę? Za kogo mnie wezmą? W końcu lekceważyć i pogardzać mną zacząną, stracę na opinii. Co? Stracisz na opinii? Kładąc tak, jak Jezus Chrystus przemawiał, stracisz na opinii? Jakto, czy można stracić opinię, mówiąc o Bogu tak, jak mówił Syn Boży? Wolalibyśmy już powiedzieć, że chyba Jezus Chrystus, który był mądrością wieczną, nie umiał władać słowem swoim, że nie pojmował doniosłości jego. O! co za bluźnierstwo! Raz pytałem ojca V—. Powiedz mi, proszę, jak postępował św. Wincenty Ferreryusz, który takie tłumy ściągał do siebie ze wszech stron, że tabory żywności musiały posuwać się za nimi? — Odpowiedział mi: Ten wielki człowiek przemawiał z prostotą i poufałością, tak, aby wszyscy go dobrze rozumieli.

„O prostoto! tyś jest najlepiej przekonującą. Niech

więc żyje prostota, która cuda czyni! Niech żyje święta prostota Małej metody, która jest najwyborniejszą, przez którą można zyskać największy zaszczyt, przekonywając umysł, bez tej wrzawy, która w końcu uprzyksza się tylko! O, ojcowie! to tak prawdziwe, że jeżeli kto chce uchodzić za dobrego kaznodzieję w kościołach paryskich i u dworu, to trzeba, by przemawiał w ten sposób, bez żadnej afektacji. Powiedzą o nim, który tak przemawiał: Ten człowiek cuda czyni, mówi, jak misyonarz, każe jak apostoł. Aby dobrze przemawiać, powiadają już, trzeba przemawiać tak, jak my przemawiamy, a pan N--- powiedział mi, że w końcu wszyscy tak przemawiać będą. O Boże mój! dałeś więc tę łaskę Twoją naszemu małemu i nędznemu zgromadzeniu, zsyłając nam natchnienie tej metody, którą wszyscy chcą naśladować. Dzięk Ci składamy ze wszystkich sił naszych".¹⁾

W ten sposób przenikliwy umysł i mocny zdrowy rozsądek św. Wincentego piętnował tę fałszywą wymowę, rozwiał próżne zarzuty światowych kaznodziei i przygotował tryumf wielkiego i poważnego słowa chrześcijańskiego, którego trudne do naśladowania przykłady zostawił nam Bossuet: proste, naturalne, przystępne dla każdego umysłu, a przenikające do głębi dusz.

Jednak pomimo potęgi tego kaznodziejstwa, wedle popularnej metody św. Wincentego, nie wystarczało ono dla zapewnienia zupełnego powodzenia misjom wśród ubogiej ludności wiejskiej; list otrzymany przez św. Wincentego, wskazał mu słabą stronę działania jego Misjonarzy.

„Wszyscy jednoznacznie utrzymują, że prawdziwa owocność misyj polega na katechizmie. Jedna kompetentna osoba powiedziała to, dodając, że wszyscy Misjonarze posiadają sztukę kaznodziejstwa, lecz nie umieją katechizmować, a powiedzianiem to było przy mnie, wobec dosyć licznej grupy. „Na miłość Boga, ojcze, dodaje św. Wincenty, oznajmij to tamtejszemu zgromadzeniu. Moją jest myślą, że ci, którzy pracować będą, powinni jedni wyklądać większy katechizm, drudzy mniejszy; wszyscy bowiem są przeświadczeni, że cała owocność misyj stąd właśnie płynie.”²⁾

¹⁾ Avis et conferences 38 i następne.

²⁾ Lettres, Nr. 184.

Niedostatek ten, wskazany św. Wincentemu został prędko uzupełniony. U św. Łazarza rozpoczęto stosowne wykłady młodym seminarzystom i odtąd podczas każdej misji odbywano wykłady większego i mniejszego katechizmu. Misjonarze zgromadzali w około siebie dzieci z parafii i starannie je nauczali, wprowadzając nad wyraz piękny zwyczaj, że przed zakończeniem misji odbywała się publiczna wspólna pierwsza komunია dzieci. Solenna procesja, w której brały udział dzieci w bieli, „przebrane za aniołków”, kończyła całą ceremonię. Wprowadzenie tego pięknego zwyczaju nie obeszło się bez trudności. O ile wzbudzało to zachwytu u jednych, o tyle wywoływało zarzuty drugich; lecz dzięki stałości i mocy a mądrości św. Wincentego, skończyło się na tryumfie jego, ku olbrzymiej korzyści i chwale Kościoła. Św. Wincenty pisał do jednego z kapłanów odbywającego misję w okolicach Paryża: „Pocieszyła mnie wiadomość, że miejscowy ksiądz proboszcz odstąpił od decyzji swojej niewprowadzania pierwszej komunii dzieci. Sądzę, że zgodzi się on zupełnie na to, jeżeli postarasz się mu przedstawić 1-o, że było to zawsze praktykowane przy odprawianiu przez nas misji, skoro tylko znajdowaliśmy dzieci dobrze nauczone i w stanie dobrego przygotowania do komunii, co służy następnie za dobry przykład dla innych. 2-o Że to jest jeden z głównych środków, które posiadamy do wpływu na osoby starsze, o sercach twardych i opornych, które można skruszyć przez pobożność dzieci ich i przez nasze troskliwe zabiegi około tych dzieci. A przytem mam wiadomość, że J. E. ks. kardynał arcybiskup Genuński, ma takie uznanie dla komunii dzieci, że po największej części sam asystuje przy tej uroczystości ze łzami rozczerzenia, jak gdyby sam był dzieckiem. Nakoniec doświadczenie, które mamy, widząc wyraźne błogosławieństwo Boże, powinniśmy służyć szanownemu proboszczowi temu za pobudkę do wprowadzenia tego nabożeństwa w swojej parafii”.

Aby zaś dać odpowiedź na zarzuty, św. Wincenty dodaje słusznie: „Jeżeli mówi, że chce sam tego dopełnić i że podczas Wielkiego Postu przygotowuje dzieci do komunii w święta Wielkanocne, można mu odpowiedzieć, że z pewnością on lepiej to od nas uczyni; lecz, że nasza w tym względzie roleta nie przeszkadza w dotychczasowej praktyce. Jeżeli

obawia się, ażebyśmy nie przyjmowali do komunii dzieci, które nie są jeszcze należycie przygotowane, i nie posiadają potrzebnego usposobienia, to proszę mu powiedzieć, że zwyczajem naszym jest wyegzaminować wszystkie dzieci w obecności proboszczów, którzy sami decydują o tem, czy należy je przyjmować do tego sakramentu, czy też nie. Nakoniec jeżeli ma coś do zarzucenia uroczystemu charakterowi procesyi, to można ją urządzać możliwie najprościej, nie przebierając dzieci za aniołków, jak to się robi w niektórych miejscach; co i mnie nie zdaje się być właściwem. Proszę was dobrze mu przedstawić to wszystko, a spodziewam się, że zostawi on wam swobodę działania pod tym względem; a jeżeli nie, to rozważymy w zgromadzeniu naszym, czy wypada nam prowadzić misye bez w ten sposób urządzonej komunii dzieci.”¹⁾

Po pewnym oporze, zwyczaj solennych pierwszych komunii dzieci, który zawdzięczamy inicjatywie św. Wincentego, przyjęty został przez proboszczów, do których z prawa należał. Ci, którzy najbardziej się mu opierali, wprowadzili go sami i trwa on do naszych czasów, stanowiąc wielką siłę i sprawiając wiele pociechy Kościołowi.

Misya kończyła się zwykle ustanowieniem w parafii instytucyi Miłosierdzia, czy to męskiej, czy żeńskiej. Św. Wincenty pragnął, aby starano się zakładać te instytucye w najmniejszych nawet parafiach, mając przekonanie, jak mówił swoim kapłanom, że przykładanie mężczyzn i niewiast chrześcijańskich do posługi ubogim, było najlepszym środkiem zachowania i zapewnienia owoców misyj.

Misye tak mądrze prowadzone przez ludzi tak pokornych, gotowych do poświęceń, a oddanych wyłącznie posłudze ubogich, musiały robić głębokie wrażenie. Listy św. Wincentego à Paulo, wyżej przytoczone, wskazują, jak ludność przywiązywała się do Misyonarzy, jak ze łzami wdzięczności przyjmowała ich nauki, wołając: „Błogosławione żywoty, które was nosiły!” Misyonarze musieli nocami odchodzić, by uniknąć gwałtownego zatrzymywania. Nawet protestanci czuli się wzruszonymi; wielka ich liczba się nawracała. Co prawda,

że św. Wincenty nieustannie zalecał Misyonarzom „po siedm-kroć maczać usta swoje w miłości i miłosierdziu”, zwalczać błędy, a nie tykać osób, nie robić zaczepek, ani pogroźek względem inowierczych ministrów, a wśród takich zamieszek, jakie miały miejsce w czasach Ligi i Frondy, nie czynić nigdy żadnych aluzji do wypadków politycznych: — rada nad wyraz mądra i na owe czasy i na zawsze.

Z pośród tylu misyj, odprowadzanych w tej epoce, największej wrzawy narobiła misya w Saint-Germain-en-Laye. Rozpoczęła się od burzy, a skończyła się wielką pociechą. Ludwik XIII z całym dworem bawił wówczas w Saint-Germain; z tego powodu nasz Święty, który zawsze unikał blasku, bardzo pragnął by, misya poruczoną była innym, lecz ponieważ król wyraźnie zapowiedział Świętemu, że chce, by odprowadzali ją jego Misyonarze, więc trzeba było ustąpić przed tem życzeniem Damy dworskie tłumnie uczęszczały. Podziwiano przede-wszystkiem prostotę i pokorę Misyonarzy. Mała metoda doznała wielkiego uznania; lecz wkrótce zaczęła razić świętą śmiałość kaznodziei.

Św. Wincenty pisze: „Misya skończyła się wielkiem błogosławieństwem, chociaż z początku nieraz nadarzała się sposobność do ćwiczenia się w enocie cierpliwości, gdyż nie krępowano się w odsłanianiu przewinień i zakorzenionych zdrożności.

„Król powiedział panu Pavillon, że był bardzo zadowolony ze wszystkich ćwiczeń misyjnych; że właśnie w taki sposób pracować należy i że on wszędzie gotów to zaświadczyć. A te panie, które z początku stawiały największe trudności, teraz są bardzo żarliwe w dziele Miłosierdzia, służąc ubogim w dni na nie przypadające i kwestując po mieście w czterech partyach; są to córki królowej”.¹⁾

W następstwie tych misyj, zdarzało się często, że celem utrzymania ich błogosławionego wpływu nad miejscową ludnością, proszono św. Wincentego o założenie domu Misyonarzy. Magnaci ofiarowywali majątki, inni ustanawiali roczną rentę. Prawie co roku powstawała nowa fundacya.

¹⁾ Lettres. I. Nr. 437.

¹⁾ Notice. sur les prêtres. etc. compagnons de Saint Vincent, t. I, 138.

Toul w 1635 r., La Rose 1637, Richelieu, Lucon i Troyes w 1638, Annecy 1639, Crécy 1641, Rzym w 1642, Marsylia, Cahors, Sedan i Montmirail w 1643, Saintes 1644 i t. d. Ciekawem jest zapoznać się z listów św. Wincentego z powstawaniem każdego z tych domów, poznać starania jego o dobre pomieszczenie ojców i w ogóle zapewnienie im materialnej egzystencji. Święty Wincenty zajmował się wszystkim z wielkim doświadczeniem i znajomością rzeczy. Ale co jeszcze piękniejsze i szczególnie pouczające, to widok zabiegającego o wybór superyorów na czele każdego domu, pomoce, z którymi pośpiesza w nadarzających się trudnościach, pociechy w trudach, kierunek nadawany każdemu ze słodyczą i mocą i te tak rzadkie przymioty prawdziwego kierownika, umiejącego zastosować swoją działalność do charakterów tak rozmaitych, a niekiedy w tak sprzecznych warunkach. Lecz bliższe badanie tego wszystkiego za daleko by nas zaprowadziło, a zresztą niektóre rysy znajdziemy w dalszym ciągu naszego opowiadania.

Tymczasem św. Wincenty gorąco pragnął, by mała jego kongregacja formalnie aprobowana została przez króla i przez papieża. Pan de Gondi przyjął na siebie zobowiązanie przedstawienia prośby królowi. W r 1627 Ludwik XIII wydał patenty na erekcję domu Misyonarzy. Lecz co zdumiewające, że aż cztery lata trzeba było czekać na zarejestrowanie tych patentów przez parlament (4 kwietnia 1631 r.). Intrygowano ze wszech stron, dowodząc, że dosyć jest zakonników we Francji, że nie trzeba nowych Misyonarzy. Usunięto jednak przeszkody, a mając zarejestrowane patenta królewskie, św. Wincenty pośpiesznie wysłał do Rzymu o. du Coudray, jednego z pierwszych uczniów swoich, by starać się o sankcję papieską. Lecz i tam spotkano się z podobną opozycją, jaką świeżo zwalczano w Paryżu.

Sposób, w który św. Wincenty zakładał swoje kongregacje, wywołał pewne wahanie w Rzymie. Św. Wincenty à Paulo odrzucał śluby solenne, od czego żadna dotąd męzka kongregacja wolną nie była, zadawał na się on prostymi ślubami posłuszeństwa, ubóstwa i czystości, pod warunkiem, że te będą wieczyste, a dla większej stałości decydował się na dołączenie ślubu stałego zamieszkania w zgromadzeniu, od którego mogli dyspensować tylko papież i superyor generalny. Wedle mniemania najlepszych teologów nie wystarczało to

do uczynienia tych uczniów św. Wincentego zakonnikami, czego też on nie chciał za żadną cenę.

Uczniowie więc św. Wincentego nie byli zakonnikami: wedle ustawy zachowywali zwyczajne miano pana (Monsieur), a nie przyjmowali tytułu ojca; nosili odzież zwyczajnych księży świeckich, to jest sutannę, tylko bardziej skromną i ubogą, nie byli obowiązani do śpiewania godzin kapłańskich, ani do żadnych praktyk zakonnych, nie zachowywali innych postów, prócz nakazanych przez Kościół wszystkim wiernym. Natomiast św. Wincenty wymagał zupełnego oddzielenia się od świata, życia w pokorze, umartwienia, wiernego zachowania ustaw i zupełnego poświęcenia się na posługi ubogim. Wszystko to było nowe, bardzo śmiałe i wzbudzało w Rzymie w ciągu wielu miesięcy silną opozycję.

„O! ojcie, pisał św. Wincenty do o. du Coudray, żebyś wiedział, jak te wszystkie trudności dziwią mnie!”, i dodaje pokornie: „...Lecz nie dziwiłbym się, gdyby nie grzechy moje, które dają mi powód do obawy, nie o powodzenie jednak sprawy, które jest niewątpliwe.”¹⁾

Tym, którzy twierdzili, że nie trzeba nowych misjonarzy, św. Wincenty pisze: „Niestety, panie, wieś to obszar tak wielki. Lud wiejski tysiącami napelnia piekło. Wszyscy duchowni, wraz z zakonnikami, nie wystarczyliby do zapobieżenia temu nieszczęściu, a jeżeli nam chcą przeszkadzać w przychodzeniu z pomocą tym biednym duszom, to trzeba modlić się, upokarzać i czynić pokutę za grzechy, popełniane przez nas w tej świętej posłudze.”²⁾

Nakoniec papież Aleksander VII sprawę wziął w swoje pasterskie ręce, nakazał dokładne zbadanie jej przez komisję kardynałów i dnia 22 Września 1655 roku, pomijając nieuzasadnione zarzuty, ogłosił breve approbacyjne.

Pewny już co do przyszłości przez tę podwójną, papieską i królewską approbatę, nasz Święty chciał mieć jeszcze większą pewność przez założenie nowicyatu, to jest uczelni dla tych, którzyby pożąдали takiego, jak on wiódł, żywota. Nie nadawał jej miana nowicyatu, jako zbyt zakonnego w jego rozumieniu, lecz nazwał seminaryum, a nawet se-

¹⁾ *Lettres* I, Nr. 51.

²⁾ *Lettres* I, 38

minaryum-internatem, dla odróżnienia od seminaryów-externów, czyli dycecejalnych, którymi też kierowali kapłani Misyonarze. Do tego swojego seminaryum przyjmował młodych ludzi, a nawet kapłanów, którzy pragnęli wstąpić do powstającej Kongregacji. Ci, którzy nie byli pewni swego powołania i nie wiedzieli, do jakiego zakonu wstąpić mają, a potrzebowali ciszy, skupienia i porady, przyjmowani byli na rekolekcyje duchowne do świętego Łazarza.

Przyjęci do wewnętrznego (interne) seminaryum, nie wszyscy przeznaczeni byli do kapłaństwa, wielu poprzestało na stopniu braci pomocników, których obowiązkiem było wykonywać różne roboty ręczne w rozmaitych domach Kongregacji. Lecz wszyscy i klerycy duchowni i bracia odbywali te same ćwiczenia duchowne i składali te same śluby.

Na czele seminaryum postawił Święty o. de La Salle, trzeciego ucznia swego i dał mu przedziwne instrukcyje, które do naszych czasów są regułą postępowania kapłanów Misyonarzy.

Streszcza się ona w trzech punktach, w których niewiadomo, co więcej podziwiać: czy zupełną bezinteresowność, czy też troskę o chwałę Boga.

1-o. Nie pociągać nikogo do Kongregacji. „Ach! Panowie, oddając posługi tym, którzy przybywają dla odbycia rekolekcyi duchownych w tym domu, strzeżcie się, aby im nie mówić takiego, coby zmierzało do zachęcenia ich do naszego Zgromadzenia. Do Boga to należy powołać ich i dać pierwsze natchnienie. Co więcej, gdyby nawet sami zwierzali się przed wami, że myślą o tem, i gdyby mówili, że pragną dążyć do tego, strzeżcie się wpływać na ich postanowienie, doradzając im to, lub namawiając; lecz w takich razach mówcie im tylko, by coraz więcej polecali Bogu zamiary swoje, żeby dobrze zastanawiali się nad tem, gdyż jest to rzecz wielkiej wagi. Nawet przedstawiajcie im te trudności, które napotkać mogą z samej natury rzeczy; że trzeba dobrze zastanowić się, gdyż, wstępując do Zgromadzenia, wypadnie wiele cierpieć i wiele pracować dla Boga. A jeżeli i po tem wszystkiem zdecydują się, — to dobrze, można powiedzieć im, by się zobaczyli z superyorem, który wyczerpująco rozmówi się z nimi o ich powołaniu. Zostawmy, ojcowie, wszystko Bogu, a sami pozostanmy w pokornem oczekiwaniu i zupełnej zależności od roz-

kazów Opatrzności. Wierście mi, że jeżeli Zgromadzenie tego przestrzegać będzie, to Bóg mu pobłogosławi.

2-o. Tembardziej jeszcze nie należy powstrzymywać tych, którzy chcąc iść gdzieindziej. „Jeżeli widzimy, powiada, że mają myśl usunąć się gdzieindziej, służyć Bogu w innym jakim zakonie lub zgromadzeniu, o Boże! nie przeszkadzajmy im; w przeciwnym razie wypada obawiać się, aby gniew Boży nie spadł na Zgromadzenie nasze, za to, że chce ono posiadać to, czego Bóg nie chce, aby posiadało. A powiedzcie mi, proszę, gdyby Zgromadzenie nasze nie posiadało dotąd takiego ducha, to czyż ojcowie Kartuzi i inne zgromadzenia przysyłaliby na rekolekcyje do nas, jak to teraz czynią, taką ilość młodzieży, proszącej o przyjęcie do nich? Rzeczywiście, mieliby się bardzo na baczności.

Jakżeby mogło być inaczej! Oto ktoś, mający zamiar zostania Kartuzem, przybywa tu, aby przez rekolekcyje zbadać wolę Pana Naszego, a wy mielibyście śmiałość dokładać starań i namawiać, by został pomiędzy wami?! Czemże by to było, panowie? Nie byłoby to chęcią zatrzymywania dla siebie tego, co do nas nie należy; chęcią dokonania tego, by wszedł do Zgromadzenia naszego człowiek, którego Bóg wcale do tego nie powoływał, człowiek, który wcale o tem nie myślał? Takie postępowanie cóż innego sprawić może, nad ściągnięcie nielaski Bożej na całe to zgromadzenie? O, biedne zgromadzenie Misyonarzy, jak prędko wpadłobyś w stan pożałowania godny, gdybyś miało iść tą drogą! Lecz z łaski Boga tyś zawsze było i dotąd jesteś dalekiem od tego!”

3-o. Ale i tego jeszcze niedosyć: jeżeli ktoś postanowił usunąć się ze świata, a, wahając się w wyborze zgromadzenia, pragnął, by wskazano mu zgromadzenie najżarliwsze i gdyby mu wówczas wskazano naszą Kongregacyę: „O, wołał w pokorze, my jesteśmy biedni ludzie; niegodni równać się z innym świętem zgromadzeniem: w imię Pana Naszego tam idźcie, będzie tam nieskończenie wam lepiej, niż z nami”. — Jakże z tego wszystkiego przeziara duch Boży! Tak wzniosłe pojęcia i uczucia, zamiast odpychać, pociągają prawdziwie szlachetne dusze. Młodzi ludzie napływali i seminaryum wewnętrzne (interne) nie mogło ich pomieścić.

Gdy Kongregacya została przez wszystkie władze zatwierdzona i zapewniony napływ kandydatów, św. Wincenty

à Paulo sądził, że może się już ona obejść bez niego. Czemże dalej mógł jej służyć? Był tylko „przeszkodą z powodu mnóstwa grzechów swoich”. Postanowił więc usunąć się; w tym celu zwołuje on jeneralne zgromadzenie wszystkich członków Kongregacyi. Otwarcie tego zebrania nastąpiło 13 Października 1642 roku. Prawie wszyscy superyorowie Kongregacyi byli obecni. Św. Wincenty mocno nalegał na ich przybycie, aby nadać większą powagę aktowi, którego zamierzał domagać się od nich. Gdy się wszyscy zebrali, padł przed nimi na kolana, i po najpokorniejszej prośbie o przebaczenie wszystkich win swoich i zgorszenia jakie dawał, złożył swą władzę superyora i prosił o przystąpienie do wyboru innego. Potem powstał i nie czekając odpowiedzi, wyszedł, aby zostawić obecnym większą swobodę w wyborze, oświadczając tylko, że zgóry potwierdza wybór, jaki uczynią i że przy łasce Bożej posłusznym będzie nowo obranemu generałowi, jako najniegodniejszy z pośród nich.

„Pierwsze wrażenie było pełne uwielbienia i zdumienia. Lecz zaledwie Misyjonarze zdolali się opamiętać, wnet wszyscy jednogłośnie zawołali, że nie przyjmują takiej dymisy i zobowiązali kilku upelnomocnionych przez siebie, aby udali się do ś. Wincentego i prosili go, iżby wrócił i zajął dotychczasowe naczelne pomiędzy nimi stanowisko. Deputowani długo go szukali, znaleźli go nakoniec w małej kapliczce, która wychodziła na kościół św. Łazarza. Tam, zwrócony do wielkiego ołtarza, klęcząc przed Najświętszym Sakramentem, przyjmował udział w wyborze, który, jak sądził, miał się w tej chwili odbywać, błagając Boga, by natchnął zgromadzenie wyborem wedle serca Swego. Deputowani oświadczyli mu postanowienie zgromadzenia, lecz przez kilka chwil po wysłuchaniu tego oświadczenia, Święty pozostawał na klęczkach, nie zmieniając postanowienia swego i powtarzał: „Nie jestem już superyorem; niech wybiorą innego.”

„Deputacya doniosła o tem zgromadzeniu i wszyscy bez wyjątku udali się do kaplicy. Dziś jeszcze się słyszy tę rozprawę pomiędzy pokorą ojca a szacunkiem i czułością synów. Ponieważ zaś z obu stron upierano się, więc Misyjonarze zawołali w końcu: „Chcesz, ojcze, żebyśmy bezwarunkowo przystąpili do wyboru superyora? — To wasz obowiązek i ja błagam was o to. — Więc dobrze, przystąpimy do wyboru.”

A po niedługim przeciągu czasu wrócili i powiedzieli mu: „Ciebie, ojcze, wybraliśmy na nowo i wybierać będziemy zawsze, dopóki Bóg Ciebie zachowa nam przy życiu.” Wincenty wpadł niejako w zastawioną przez siebie pułapkę. Próbował jeszcze się wydobyć, lecz widząc, że wszystkie usiłowania jego były daremne, schylił głowę i podjął ten ciężar.

„Przynajmniej, panowie i bracia moi, zawołał łkając, módlcie się za tego nędznika! To największy akt posłuszeństwa, którego dopełnić mogę względem Zgromadzenia!” — „A my, — jednogłośnie odpowiedzieli Misyjonarze, — my odnawiamy przed Tobą, ojcze, przysięgę posłuszeństwa naszego względem Ciebie i kniemy się przed Bogiem, iż nigdy nie zapomnimy ofiary, do której przywiodła Cię miłość twoja ku nam”.¹⁾

Zaledwie obrany, św. Wincenty skorzystał z obecności superyorów licznych domów misyjnych i starszych zgromadzenia, aby przy ich współudziale uregulować niektóre szczegóły ustaw, dotąd nieco niejasnych a mających poważne znaczenie dla pomyślności Kongregacyi. „Odbyliśmy, powiada, zgromadzenie, które trwało dni dziesięć i przejrzelśmy ustawy przez nas nakreślone, potwierdziliśmy ważniejsze, podstawowe, i wyznacziliśmy oo. Portail'a, Ducoudray'a, d'Horgny'ego i Lambert'a, aby zbadali i poprawili resztę. Ustanowiliśmy porządek, którego trzymać się powinny zebrania jeneralne; wprowadziliśmy w wykonanie to, czego jeszcze wymagało dobro naszego zgromadzenia. Przyszłe wam to wszystko, abyście wypowiedzieli swoje zdanie; nie wprowadziliśmy nic nowego lub bardzo niewiele; jak np. dodanie asystentów generałowi tak, że teraz jestem gotów na śmierć, kiedy się to podoba Bogu.”²⁾

Na szczęście godzina jego jeszcze nie wybiła. Chociaż miał już wtedy lat przeszło sześćdziesiąt sześć, pozostało mu jeszcze ośmnaście lat życia; a te ostatnie ośmnaście lat były latami najpłodniejszej działalności i najobfitszymi w owoce tego żywota niezwykłego. Uspokojony, wolny od troski co do Kongregacyi, otoczony czterema armiami Miłosierdzia, które tak umiejętnie stworzył i zgrupował około siebie, otoczony au-

¹⁾ Mayn I. 387.

²⁾ Lettres 386.

reolą świętości, która będzie się coraz powiększała, św. Wincenty okaże się nam wtedy, gdy podejmie śmiałą walkę z nędzą, przybierającą wciąż straszliwsze rozmiary i gdy tryumfuje nad nią na całym obszarze Francji, o tyle przynajmniej, o ile na tym padole można tryumfować nad niedolą, szczególnie w smutnych czasach, w których zjawily się morowe powietrze, głód i wojna.

Księga IV.

**Święty Wincenty à Paulo wobec nędzy.
1642—1652.**

ROZDZIAŁ I.

**Prerażający wzrost nędzy podczas wojen Lotaryńskiej i Niemieckiej.
1635—1642.**

W czasie, gdy św. Wincenty à Paulo pracował nad wytworzeniem wielkich armij miłosierdzia, wybuchła wojna, której następstwem, jak zwykle zdarzało się w owych czasach, były głód i zaraza. Piękne krainy Lotaryngii, Szampanii, Burgundyi i Pikardyi, a także Anjou i Orleanu pogrążone zostały w straszliwą niedolę, wzmnożoną jeszcze przez wojnę domową. Terror i nędza sięgały bram Paryża, szerząc się wśród przedmieść stolicy.

Początek wojny był taki:

Francja za czasów Henryka IV znalazła się wśród najkrytyczniejszych stosunków w swoich dziejach. Protestantyzm rozerwał ową wielką religijną jedność Europy, którą Kościół przez wieki całe spoił i umocnił. Anglia, Szwecya, Dania, Holandya i część Niemiec odpadały jedna po drugiej od Kościoła. Z drugiej strony, dzięki geniuszowi Karola V, Austria stopniowo zgromadziła pod berłem swoim katolickie szczątki wielkiej jedności religijnej: Węgry, Czechy, Niderlandy, Bawaryę, Hiszpanię, Neapol, Medyolan. Europa roz-

padła się na dwie grupy: grupę narodów protestanckich i grupę narodów katolickich. Pomiedzy temi dwiema grupami Francya szukała dla siebie drogi: Co ma uczynić, by odzyskać dawną wielkość swoją? Dwie drogi stały przed nią: droga wskazywana przez Świętych i droga—polityków. Sprzymierzyć się z Austryą i z wszystkimi narodami katolickimi, aby uszczuplić wpływy i siły narodów protestanckich i tym sposobem stopniowo odtworzyć wielką jedność religijną Europy;—oto pierwszy plan, plan kardynała de Bérulle, św. Wincentego à Paulo, Olier'a i błogosławionego Piotra Fourriera. Prawda, że przy tym planie Francya nie odzyskiwała odrazu swego stanowiska pierwszorzędnego wśród ludów europejskich, lecz z pewnością odzyskałaby je później, a tymczasem miałyby rekompensatę w dobrodziejstwach jedności religijnej odnowionej w Europie. Byłoby to politycznem i społecznem urzeczywistnieniem słów Ewangelii: „Szukajcie przede wszystkim królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta będzie wam przydana”. Dziś, sądząc z odległości trzech wieków, jasnem jest, że wiele zyskałaby Francya, gdyby ten plan przyjęto.

Plan drugi zupełnie był inny. Poniżyć za jakąbądź cenę Austryę, która co prawda otaczała Francję obręczą żelazną; starać się ją odosobnić od innych narodów katolickich, aby osłabić ją przez to; w razie potrzeby oprzeć się na narodach protestanckich, popierać je przez przywileje i prawa, zapewniając im egzystencję legalną, pod warunkiem podniesienia oręża na usługi Francyi, i tym sposobem na ruinach Austrii wytworzyć przewagę potęgi francuskiej. Oto plan Henryka IV, Richelieu'go, Mazarini'ego i Ludwika XIV. Plan ten powiódł się zupełnie i uczynił z Francyi pierwsze w świecie mocarstwo, co przyniosło wielkim jej mężom chwałę, która dotąd jeszcze nie minęła, pomimo wielu ich błędów. Dziś jednak ujemne skutki tego planu ujawniają się coraz wyraźniej. Narody katolickie nie podniosły się z poniżenia swego, narody protestanckie nie przestały wzrastać i Francya widzi dziś, że przewaga jej zagrożoną jest przez te same narody, które w nieroztropnej i egoistycznej polityce swojej wspierała i podnosiła, stwarzając tym sposobem obecną ich potęgę.

Henryk IV, umierając, znał ten plan i sam nawiązał pierwsze jego węzły; Richelieu rozpoczął jego wykonanie, wnosząc weń niezłomność śmiałej swej duszy, a Mazarini do-

konał z włoską przebiegłością. Osłabianie Austrii Richelieu rozpoczął dwoma mistrzowskimi posunięciami. Pierwszy spostrzegł na protestanckim tronie Szwecyi młodego bohatera Gustawa Adolfa, a odgadując jego geniusz, umieścił go na prawem skrzydle, wrogiem Austrii (1629). Następnie zwraca się w drugą stronę, widzi na tronie Lotaryńskim księcia Karola IV i usiłuje mieć w nim sprzymierzeńca na lewem skrzydle również przeciwko Austrii. Lecz ani geniuszu, ani odwagi Gustawa Adolfa nie posiadał Karol IV. Przerażony, pragnął pozostać tylko neutralnym widzem, a nie uzyskawszy nic od Richelieu'go, skończył na tem, że najpierw tajemnie, a potem publicznie stanął po stronie Austrii. Richelieu tylko na to czekał. Rzucił się na niego, jak na ofiarę swoją. Przerażony Lotaryńczyk przyzywa na pomoc Austryę i w ten sposób rozpoczyna się ta wojna, która miała skończyć się na wzroście potęgi królewskiej Francyi, ale tymczasem pokryła ją w ciągu długich lat potokami krwi i gruzami ruin (1633—1660).

Wojna posiada dwa rodzaje historii: jeden zewnętrzny, drugi wewnętrzny. Pierwszy świetny, błyszczący, oświecany błyskami geniuszu, ożywiony odgłosem gwaru bitew; drugi pełen łez i krwi, cichych bólów, i najwstrętniejszych zbrodni. Zamiarem naszym jest spojrzeć na wojnę z tej wewnętrznej strony. Nie będziemy jej opowiadali, a postaramy się jedynie naszkicować ją o tyle, aby zrozumieć w tak ciężkich chwilach niewyczerpaną wspaniałość i mądrość akcyi ratunkowej, podjętej przez naszego Świętego.

Wojna XVII wieku nie była podobną do wojen naszych czasów. Zamiast wojsk, wyćwiczonych w karności, dobrze odżywianych i opłaconych, szły bandy, których niepłacono, które musiały żywić się na terytorium nieprzyjacielskiem. Jedynem wielkiem prawem było terroryzowanie i ogłodzenie kraju nieprzyjacielskiego. Zabijano wszystkich zdrowych mężczyzn, bezczeszczono kobiety, niszczone zbiory na polach, wycinano drzewa owocowe, zostawiano poza sobą pustynię, aby wojska nieprzyjacielskie nie mogły się na niej wyżywić. Tak postępowali Francuzi, nawet na ziemiach francuskich, a tem bardziej Niemcy, Kroaci, Czesi i Węgrzy. W Niemczech, na Węgrzech, po nad Dunajem istniały rynki, na których werbowano do wojska wszelkiego rodzaju szumo-

winy, banitów, zbójów, desperatów, ludzi bez czci i wiary, którzy o niczem innem nie myśleli jak tylko o tem, aby zabijać, lub być zabitymi; młodych rozpustników lub niedorosłych szaleńców, szukających przygód, żyjących z rabunku; nieponiów zdolnych do rozbójstwa, mordów, kradzieży, niosących za sobą wszystkie potworności wojny.

Austria do tych band się zwróciła i przez trzy lata (1633—1636) plądrowały one po całej Francji. Waldstein milczący i dziki geniusz, otoczony armią stu tysięcy żołdaków, którym wzamian za bierne posłuszeństwo oddaje wszystko: mienie, życie i cześć mieszkańców, zbliża się do Francji, zajmuje Worms, Frankfurt, okolice Strasburga i ukazuje się u bram Metz'u. Generałowie jego, równie jak on, straszni, posuwają się dalej. Jan de Werth hukiem dział oznajmia swoją bliskość o dwadzieścia mil francuskich od Paryża; a opowiadania o okrucieństwach jego wzbudzają przerażenie po całej Francji. Piccolomini wkracza do Pikardji na czele armii, składającej się z Polaków, Kroatów i Węgrów (szesnaście do osiemnastu tysięcy koni, piętnaście tysięcy piechoty i trzydzieści dział). A jednocześnie straszliwy Gallas wkracza do Franche-Comté, do Burgundji, mordując i paląc wszystko po drodze.

Francja najechana z trzech stron naraz, czyni bohaterские wysiłki, stawiając czoło nieprzyjacielowi przez wojska swe godne podziwu na polu bitwy, lecz niestety, wcale nie mniej bezkarne, niż wojska nieprzyjacielskie, źle odziane, z niewypłacanym żołdem, z rozkazami niszczenia i palenia wszystkiego, zwłaszcza młynów, magazynów ze zbożem, słowem—pustoszenia wszystkiego, co napotka, by zmusić nieprzyjaciela do odwrotu. Jakie wobec tego było położenie ubogiej ludności tych prowincji? Nawet okolicom, które nie były na drodze tych strasznych pochodów, groziło nie mniejsze niebezpieczeństwo, bo bandy, po tysiąc i półtora tysiąca piechoty i kawalerji, rozpuszczały żołdaków na rabunek z oficerem na czele, poprzedzanym przez dobosza i z włokącym się za nimi działem. Zżynano zboża na polach i sprzedawano je, ograbiano wioski, które nie chciały dać znacznego okupu. A gdy ofiary rabunku udawały się ze skargą do generałów, to ci zadawali im odpowiedź, że wojsko nieopłacone musi żywić

się, jak może¹⁾. Sąsiedztwo fortec, zajmowanych przez garnizony francuskie, nie tylko nie broniło ludności, lecz było powodem większego jeszcze niebezpieczeństwa. Żołnierze załogi raz po raz opuszczali fortecę, najczęściej w nocy, i robili wycieczki po przez kraj, wpadali do najdalszych wiosek, grabili, ściągali okup i często palili. Po skończonym napadzie, zabrawszy zdobycz na grzbiet konia, żołdacy ci, zdaleka wyglądający na Arabów, pędzących po pustyni, uciekali pędem na swoich małych, lecz krzepkich koniach i daleko byli już, nim sąsiednie wioski ze drżeniem dowiedziały się o klęsce²⁾. Widoczne z tego, jaki był los tej ubogiej ludności, w ciągu lat piętnastu rabowanej kolejno przez swoich i przez obcych, a przez swoich więcej jeszcze i dłużej, niż przez obcych.

Przy takim sposobie prowadzenia wojny, żołdactwo przebiegało wioski na wiosnę, depcząc zasiewy na polu, wycinając drzewa owocowe, paląc młyny. Głód więc musiał być koniecznem następstwem wojny. Wybuchł też on najpierw w roku 1631 w Lotaryngji, a w r. 1635 był strasznym wszędzie. Zboże sprzedawano po trzydzieści sześć, trzydzieści ośm do czterdziestu franków za beczułkę (boisseau), a często i za tę cenę nie można go było dostać. Ubodzy marli z głodu. Zamiast chleba jadano siemię konopne. W roku 1637 żywność była rzeczą tak rzadką, że zbierano padłe zwierzęta i zjadano je jak najlepsze mięso. Niektóre wioski zaludnione przedtem, jak miasta, tak opustoszały, że spotykano w nich niewiele już ludzi i to wynędzniałych i wychudzonych, jak szkielety. W r. 1640 miasto Metz obleżone zostało przez najście czterech czy pięciu tysięcy ubogich wszelkiego wieku, mężczyzn, kobiet i dzieci, tworzących jakby wojenny obóz nędzy; ci marli z głodu i chorób, nie licząc pożartych przez wilki, bo wilki zwabiane przez woń trupów, wydzielającą się nieustannie, wałęsały się po miastach i miasteczkach, pożerając kobiety i dzieci; w nocy wpadały przez wylomy w ścianach, otaczających miasto, porywając co się zdarzyło. W maju 1640 r. w Pont-à-Mousson ulice przepel-

¹⁾ Maynard IV. 172.

²⁾ M. E. Fleury 87.

nione były czterema do pięciuset ubogimi, z trudnością przyjmującymi się na nogach i tak osłabionymi, że nie mogli już przyjmować pokarmu, a wielu z nich umierało z gorączkowego łakomstwa. Czas był wielki, by przyjść im z pomocą, bo wielu z nich głód popychał do szaleństwa. Młode dziecię, gdy padło z osłabienia pomiędzy nieco starszymi towarzyszami, rozdzielali i pożerali inni silniejsi. Podobny widok przedstawiał się w Saint-Michel w 1640 r. Świadek naoczny opowiada: Więcej niż sześciuset ubogich jest w ostatecznej nędzy, z których przeszło stu doprowadzeni byli do takiego stanu, iż wyglądali, jak prawdziwe szkielety i nie śmiałbym patrzeć na nich, gdyby Pan Nasz nie umacniał mnie. Skóra ich wydawała się osmalonym marmurem, a zęby białeły z ust otwartych i warg wyschłych. Żywili się tylko trawami. Nieco później naliczono już ich przeszło tysiąc, zostających w nieopisanej nędzy. Pewnego dnia widziano matkę z trojgiem dzieci zajętą smarzeniem wstrętnego węża i gotową spożyć go. W roku 1642 nędza była tak wielką w Lotaryngii, że chleba już nie znano. W 1650 w Guise nędza przechodzi wszelki opis; ubodzy mrą z głodu. Niema domu w którymby można było znaleźć kawałek chleba; umiera ich tam z głodu codziennie od dwunastu do piętnastu osób. W Sant-Quentin mnóswo ubogich i tułaczy. W jednym domu Misyonarz znalazł dwie wdowy, każda z czworgiem dzieci, razem leżących na ziemi, bez chleba i bez bielizny. Liczba uciekających do miasta, ażeby uniknąć wściekłości żołdactwa, była tak wielką, że mieszkańcy, nie mogąc ich wyżywić, zdecydowali się wypędzić ich poza mury miasta.

W Laon, Verdun, Mézières u bram miasta trzymano strażę, aby orężem bronić wejścia ubogim. W Bazoches nie zostało ani ziarenka zboża; żołdacy wszystko zabrali, mieszkańcom zaledwie koszule zostawili. W Fismes i Braisne widziano tylko chorych na gorączkę i dysenterję, leżących na ziemi i na wpół żywych po domach, bez dachów, a chorzy bez żadnego dozoru, bez chleba, ani napoju i okrycia, żywi z umarłymi razem, niemowlęta na łonie matek już nieżyjących, wreszcie przeszło tysiąc dwieście umierających z głodu. W Capelle i Catelet cena zboża nieprzystępna zupełnie; setka jaj kosztuje sześć liwrów i dziesięć sous, funt masła czterdzieści sous. Z tego już można wnosić o ogromie klęski. W La-

on, Vervins, La Fère, litość ogarnia patrzących na nędzę ludzką; jedni pokryci strupami, drudzy sińcami, inni we wrzodach i ranach, ten z głową opuchłą, ów ze wzdętym żołądkiem, inny z pobręknietymi nogami, z których gdy skóra pęka, wypływa ropa cuchnąca. Można sobie przedstawić straszny obraz nędzy i boleści. A przyczyną tych chorób jest nędzne odżywianie się, gdyż przez rok cały jedli tylko korzonki traw i chleb z otrąb. W Lesquille, w pobliżu Guise znaleziono w jednym domu szkielet zmarłego z głodu, rozszarpany i pogryziony przez zwierzęta, które wtargnęły do mieszkania. W r. 1651 w Reims, w Rethel wszystkie zbiory z pola zrabowane, ziemia nieuprawiona i nieobsiana, głód i śmiertelność powszechne, ciała umarłych pozostawiono bez pogrzebu, wystawione na łup wilków; ubodzy zbierają zboże lub owies kielkujący na polu na wpół zgniły; życie, które wiodą, jest straszne; oblicza zczerniałe, sami bardziej do widm niż do ludzi podobni. W Guise znajduje się więcej niż sześćset osób do takiej nędzy doprowadzonych, że po spożyciu trochy zboża zebranego, rzucają się na padlinę psów i koni, — porzuconych przez wilki. W Rethel ubodzy żywią się na pastwiskach bydłych i często zjadają psy. W r. 1651 w Marle część mieszkańców żyje tylko chlebem upieczonym z owsa i otrąb, reszta mrze z głodu. W Mareuil, w pobliżu Soissons, znaleziono dwoje dzieci żywiących się trupami ojca i matki. W Saint-Quentin dla uśmierzenia i oszukania głodu, ubodzy gryzą trawę, korę z drzew, polykają ziemię, rozrywają swoje łachmany i kończą na pożeraniu się z rozpacz. Pomiędzy Reims a Rethel widziano gromadę ludzi, mężczyzn i kobiet ryjących ziemię jak wieprze dla wyszukania korzonków celem spożycia ich. Sieczka ze słomy, pomieszana z ziemią, to jedyny ich chleb. W r. 1652 w Beure, w Gâtinais znaleziono przeszło ośmset rodzin, dwa tysiące dwieście osób nagich i bez chleba. W Berry w najlepszych parafiach nie znaleziono dziesięciu domów, któreby posiadały chleb. Większa część rodzin żyje trawą i korzonkami, zgotowanymi w czystej wodzie, lub z kawałkiem padłych zwierząt. Na ulicach i w polu widzi się ubogich nagich, wycieńczonych, włóczących się, jak zwierzęta, w poszukiwaniu jakiegobądź jada. W Etampes przeszło czterystu ubogich włóczy się po polach; Las Orleański pełen takich wałęsających się. W samym Orleanie liczą ich do dwóch ty-

sięcy. W Meung dwieście osób; w Beaugency pięćset; w Blois stusiedemnastu ubogich umarło z głodu. Jedzą tylko surowy oset, ślimaki i padlinę, odgrzebuja kości umarłych by je wysysać. W Montargis dwa tysiące ubogich. W Lorris kobieta zabiła dwoje dzieci swoich, żeby się pożywić ich ciałami, a potem się sama udusiła. Pewien świadek opowiada: „W ciągu trzech tygodni przebiegłem Beoce, Blésois, Touraine, Chartrain i Vedomois; umierają tam masami. Grzebią po trzech i po czterech razem. Na wielkich drogach spotyka się żywych i umarłych pomieszanych ze sobą. W Berry jedzą żywe robaki. W Amboise mężczyźni i kobiety rzucili się na odarte go ze skóry konia i nie zostawili z niego ani kawałka. Koło Blois, ubodzy, jak wilcy zgłodniali, biegają nocami po ulicach, szukając łupu. Zabijają bliźniego dla kawałka chleba. Można sądzić, że bez prędkiej, skutecznej pomocy w tych tylko prowincjach Orleanu i Blesois umrze przeszło dwadzieścia tysięcy nędzarzy”.

Lecz głód nie był jeszcze najokropniejszym nieszczęściem, idącem wślad za armią. Straszniejszą była morowa zaraza. Te bandy okrutne ze Wschodu: Cyganie, Kroaci, Węgrzy przynieśli ją ze sobą i zostawiali poza sobą. Tysiące zabitych, a niepogrzebanych, chorych zabarykadowanych w domach i mrących tam z głodu, setki koni pozabijanych i gnijących na placach publicznych i po drogach, wszystko to podtrzymywało i rozszerzało zarazę. Grasowała ona od r. 1631 w Lotaryngii, Szampanii, Burgundyi; powtórzyła się w 1633, 1635 i pochłonęła tysiące ofiar. W Saint Quentin w 1635 naliczono trzy tysiące osób zmarłych w ciągu sześciu miesięcy. W tym samym czasie zamieniła w pustynię porzecza Saôny i Doubs. W Październiku 1636 zaraza wybucha w Beauvais i Compiègne, sprawiając straszne spustoszenie. W małej miejscinie Marle w ciągu pięciu miesięcy wymarło czterysta osób. W 1637 zaraza po raz siódmy nawiedza Lotaryngię, ztamtąd przenosi się do Burgundyi, gdzie w samem małym miasteczku Auxonne naliczono trzy tysiące pięćset zmarłych. W Palaiseau tyle osób umiera i tak mało jest rąk do ich grzebania, że powietrze przesycone jest zarazą. Etampes zrujnowane i otoczone trupami. Domy, które pozostały, przepełnione są chorymi, wynędzniałymi, nie mającymi ani chleba, ani nawet szklanki wody do ugaszenia tra-

wiącego ich pragnienia. Całe Brie w podobnem jest położeniu co i Lotaryngia. Dzwony po umarłych nie ustają. Normandya chociaż uniknęła wojny, nie ocalała od zarazy. W Rouen przeszło siedmnaście tysięcy osób zmarło w ciągu bardzo krótkiego czasu. Poeta Rotrou powiada: „Dziś dzwony po raz dwudziesty drugi odzywają się za umarłymi”. W kilka dni potem i po nim dzwoniono. Śmierć porwała czterdziestodwu letniego poetę, który w utworach dramatycznych pierwsze po Corneille'u zajął miejsce. W Paryżu najście tej klęski nie mniej było straszne. Dwudziestu dwóch lekarzy raptownie zmarło, jako też wielka ilość księży i zakonników. Z Paryża zaraza przedostaje się do Bordelais, Bas-Languedoc, do hrabstwa Avignon; czyni straszne spustoszenia w Toulouzie, Marsylii, Nimes a po drodze pustoszy Lyon i wraca do Burgundyi i Lotaryngii, gdzie odnawia się klęska, która zdawała się już być zażegnana.

W tem okropnem położeniu znikąd nie było ratunku. Bo i skąd mógł przyjść? Od króla? od rządu? Zapewne, Ludwik XIII i Anna Austriacka, jak zobaczymy, robili wysiłki nadmierne z prywatnej szkatuły swojej, lecz podatki źle wpływały do kasy rządowej, którą nadto wyczerpywały wydatki na utrzymanie armii. W tych warunkach rząd wobec klęski był bezsilny. Nie dosyć tego: pobór podatków zwiększał jeszcze rozmiary klęski. Miasta i wioski nieustannie nawiedzane były przez agentów skarbu, domagających się opłaty podatków, nie cofających się przed brutalnym gwałtem. Czego nie mogli zapłacić zrujnowani, niewypłacalni, domagano się od dostatniejszych. Lecz wkrótce i ci ostatni przychodzili do ruiny, stawali się również ubogimi, powiększając liczbę tych ostatnich. Zabierano bydło, skutkiem czego nie było nawozu, sprzedawano ruchomości, a nawet odzież¹⁾. W r. 1634 stany Normandii stwierdzają, iż podatki osobiste tak wzrosły, że doszło do ściągnięcia ostatniej koszuli, okrywającej nagość, co w wielu miejscach było przyczyną „że kobiety wstydząc się nagości swojej, nie mogły przychodzić do kościoła”. W Burgundii podatki ośmiokrotnie wzrosły w porównaniu do lat poprzednich. Wszędzie

¹⁾ Michelet, Histoire de France I, 150.

rozpacz wysuwa grozę buntu. Intendent Auvergne'ii donosi: „ze wszech stron ludność buntuje się; nie mam środków zaradzeniu temu”. W Issoire wrzucono komisarzy do kadzi z wapnem niegaszonem, w które garbarze wkładają skóry, aby je z włosa oczyścić; wydobyto ich stamtąd nawpół ugotowanych. Clermont, Brioude, Aurillac są w stanie pełnego buntu. W Pontoise więzienia pełne są ubogich, którzy nie mogli opłacić podatku, a poborcy nie odważają się wyjść z mieszkania w obawie, aby ich nie pobito lub nie zamordowano. Pontoise w tym samym jest stanie, co i cała Francja. W r. 1646 przeszło dwadzieścia trzy tysiące ludzi było w kajdanach za niepłacenie podatku osobowego. A na domiar nieszczęść państwo tak gwałtownie wyciskając podatki, samo nie płaciło długów. To też najspokojniejszych porywa gniew; oświadczają oni, że w razie zapłacenia tego, co się im należy, ograbią najlepsze magazyny i nawet rynki; na wypadek dalszego zwlekania podłożą ogień na czterech rogach miasta i tym sposobem zmuszą do zrealizowania należności.

Jeżeli państwo zrujnowane i zadłużone nie mogło ani opłacać, ani ściągać należności, przez to nie było w możności zaradzić tak wielkim nieszczęściom, to może duchowieństwo mogło podążyć z pomocą? I to nie. I ono było zgnębione w najwyższym stopniu. Dobra jego i ziemie posiadane, od dwudziestu lat deptane i niszczone przez wojska, nie przynosiły żadnych dochodów. Dziesięciny ustaly. Bandy najeźdców rozproszone po Lotaryngii, Burgundyi, Pikardyi, Szampanii, składające się w znacznej części z luteranów, którzy z zacięłością niszczyli majątek kościelny. W Lotaryngii kapłani po sprzedaniu kościelnych naczyń świętych na wyżywienie i pomoc parafian, opuszczali swoje prebendy i poszli na tułactwo. W Saint-Michel księża nie mieli już ani kawałka chleba, do tego stopnia, że proboszcz pobliskiej wsi zaprzęgał się z parafianami do pługa, bo woły i konie były zjedzone. Pewien kanonik z Verdun pisał: „Nędza doprowadziła mnie do tego, że opuściłem mój kościół, bo nie znajdowałem w nim nic ponad chleb łez i boleści i wziąłem się do pracy około uprawy roli, aby mieć z czego żyć”. W Pikardyi, przez którą przeszli luteranie barona d'Erlach, wszystkie kościoły były zrabowane, zrujno-

wane, spalone, tak że nie zostało odtąd nic ze starożytnych świątyń w całej północno-zachodniej części dyecezyi Laon. Zabawą było tych barbarzyńców wystawiać nagich księży na pośmiewisko tłumów, albo też dręczyć ich w presbiteriach u stóp ołtarzy, Przypalano im podeszwy, by zmusić do wydania pieniędzy, których ci nie posiadali. W Fismes i Braine kościoły były sprofanowane, kielichy i ornaty pozabierane, cyborya powydzierane z ołtarzy. W Bazoches Najświętszy Sakrament deptany był nogami, kielichy i cyboryum połamane, chrzcielnice porozrywane, ozdoby kościelne zrabowane, tak że w małej tej krainie przeszło dwadzieścia pięć kościołów zostało w takim stanie, iż nie można było w nich odprawiać Mszy świętej. W Ribemont, w la Fère, w Verbins większa część proboszczów zmarła lub zaniemogła; kościoły spalone. W jednej dyecezyi Laon w stu parafiach wszelkie nabożeństwo kościelne i wszelkie posługi religijne przerwano. W dyecezyi Soissons, jak twierdził deputowany Zgromadzenia narodowego, wszyscy proboszczowie są zrujnowani i niema widoku, aby można było pobrać z nich opłatę z dziesięcin, a tembardziej taksy nadzwyczajnej. Arcybiskup z Reims energicznie domaga się zwolnienia od opłat w swojej prowincyi; wszystkie kościoły są sprofanowane, ubiory kościelne zrabowane, kapłani pozabijani lub zrujnowani, wszystkie zbiory z pól zabrane, a pola nie uprawione i nie obsiane. W Chalons-sur-Marne świątynie zrabowane; niema możliwości odprawiania Mszy świętej. Wszędzie ten sam smutny obraz. Burgundya nie ustępuje pod tym względem ani Szampanii ani Lotaryngii. Zakonnicy i zakonnice, również nie byli oszczędzani. Dzikie żoldactwo, fanatycy protestancy największą uciechę mieli w paleniu klasztorów, rozstrzeliwaniu mnichów, w znieważaniu zakonnic. Posuwali się do odgrzebywania zwłok, jak to miało miejsce w Ribemont w 1649, gdzie szukano dzikiej zabawy w przebicciu szpadą odgrzebanego ciała przeora Dupont. Inny przeor Michel de la Mer pochwycony został pod sklepieniami swojego kościoła, obnażony i powieszony pod pachy na belce. Zakonnice, które uniknęły ostatniej zniewagi, umierały z głodu. W Nancy dzwon, przeznaczony do wołania o pomoc Miłosierdzia publicznego, nie ustawał jęcząc przez wiele miesięcy. W Saint-Quentin Franciszkanki przez całe lata jadły chleb z traw, jęczmie-

nia i cebuli. W la Fère biedne Benedyktynki wszystkie były chore z głodu. W 1646 i 1647 trzeba było rozdawać chleb i odzież przeszło siedmiuset zakonnikom; w 1649 rozdano tysiącom. To samo trzeba było czynić corocznie w ciągu lat trzydziestu.

A klęska była tem większą, że wcale nie było ludzi bogatych. Wszystkie zamki były zrabowane, pola nieobsiane. Najbogatsi nie mogli zapłacić pięciu sous. Ludzie, którzy mieli dwadzieścia pięć tysięcy talarów dochodu, pokornie wyciągali swoją miseczkę, by dostać trochę zupy, jako jałmużnę. Pewien magnat, gdy prosił o trochę powideł dla chorej córki, i powiedziano mu, że daje się tylko ubogim, zawołał: „Niestety! ja należę do ich liczby, bo córka od dwóch dni nic nie miała za pokarm prócz odrobiny wody”.

Całe tomy trzeba by zapisać opisem ruin, sprawionych przez te lat trzydzieści w najpiękniejszych prowincjach Francji. Wyludnienie, rozpoczęte w roku 1635, nie ustało.

Był też popłoch powszechny. Wielkie fabryki zamykały się jedna po drugiej, Sukiennice w Lille, w Armentières, w Elbeuf znikły od pierwszych chwil wojny, następnie huty szklane w Lotaryngii i Burgundyi. Wełniany przemysł Pikardyi przetrwał czas krótki, lecz i ten upadł z kolei. Winnice Szampanii i Burgundyi zniszczone zostały. Szpitale pod nawalem długów nie mogły przyjmować ubogich. Wioski wyludniają się. W Burgundyi na dwieście dwanaście miast i wiosek spisanych, których los zbadano, okazało się dwadzieścia zrujnowanych zupełnie, gdzie nie było ani jednego mieszkańca; w trzydziestu innych było po pięciu lub sześciu mieszkańców. W Lotaryngii było jeszcze gorzej. We Frouard, gdzie liczono sto gospodarstw w r. 1633, znalaziono pięciu czy sześciu mieszkańców, którzy nie mogli obrobić ziemi swego okręgu. Buissoncourt stało się pustynią. Z Houdemont nie sposób pobrać podatków, bo tam mieszka tylko dwie czy trzy wdowy. Niema nikogo w Pierreville, w Paray, w Saint Césaire i we wszystkich wioskach Vermendois. To samo się dzieje w większej części wiosek i miasteczek (bourgs) Lotaryngii; niektóre znikły zupełnie z powierzchni ziemi, wiele zaś było takich, gdzie pozostało kilka domów, ferma, młyn. Z całej masy innych pozostała tylko ich nazwa.

Czytając mało jeszcze zbadane dokumenta miast i wiosek, rejestra miejskie, protokoły rozpraw kapitulnych i parafialnych, zadajemy sobie pytanie: czyż nikt nie przyszedł z pomocą tej ludności, znękaney przez wojnę, głód i powie-trze? I znajdujemy jedno imię, jedno jedyne imię, — imię Św. Wincentego à Paulo. Ujrzymy wnet, czego dokazać może jeden człowiek, gdy tchnienie prawdziwego Miłosierdzia ogarnie go i uniesie!

ROZDZIAŁ II.

Pierwsze wysiłki św. Wincentego á Paulo w walce z nędzą 1642—1648.

Wielce doniosłem było już to samo, że biedny księżyna jednego z zapadłych przedmieść Paryża, starzec sześćdziesięciosześcio letni, odczuwał tak silnie, bo aż do boleści, nieszczęścia oddalonych od stolicy prowincyj, jak Lotaryngia, Burgundya lub Szampania. Kto myślał o tem w Paryżu? Kto u dworu? Kto z pośród duchowieństwa? Najzaczniejsze i najświętobliwsze nawet osoby, zajęte swojemi sprawami nie myślały o tem zgoła, zajmował się tem tylko św. Wincenty, ale co ważniejsze, że umiał tem się zająć z takim powodzeniem. Przedziwne prace naszego Świętego w tym kierunku wprawiają w kłopot tych, którzy chrześcijanami nie są. Jedni pomijają je milczeniem, drudzy mówiąc o nich, starają się umniejszyć ich doniosłość i znaczenie. Michelet powiada: „Wincenty przedziwnym był, choć tak mało uczynił”¹⁾, a gdzieindziej: „Richelieu zaledwie umarł; Wincenty mało co uczynił”²⁾, wreszcie: „Widziano niedostateczność środków, którą podejmował przeciwko nędzy nieoceniony Wincenty á Paulo”³⁾. O bezwątpienia, nie otarł

¹⁾ Michelet, „Hist. d. France”, XII, 244.

²⁾ Ibid. 308.

³⁾ Ibid. 280,

on wszystkich łez, nie wszystkich zgłodniałych nakarmił, lecz jego ręce jeszcze były pełne, gdy skrzynie Państwa były już wyczerpane; i wnet zobaczymy, jak wszystkie prowincye podnoszą głos jedna po drugiej i ogłaszają go dobrodziejem swoim, wybawcą i ojcem ojczyzny¹⁾.

Przedewszystkiem potrzeba było pieniędzy. Na szczęście św. Wincenty miał je w kasie Zgromadzenia dam i począł z niej czerpać pełnemi rękoma. Mało mamy szczegółów o pierwszych przedsięwzięciach Miłosierdzia od 1633 do 1639 roku. Nie zapisywano nic, gdyż sądząc, że takie nieszczęścia nie przeciągną się zbyt długo, dawano nie prowadząc rachunków. W 1639 r. rozdano w pierwszych miesiącach tyle, że nie można było zadowolnić potrzeb ludności do końca roku. W 1640 oględniej już postąpiono; daje się po pięćset liwrów miesięcznie każdemu z następujących miast: Nancy, Verdun, Metz, Toul, Bar-le-Duc, co stanowi dwa tysiące pięćset liwrów miesięcznie, trzydzieści tysięcy rocznie. Wkrótce trzeba dołączyć do spisu miasto Saint-Michel, gdzie tysiąc sto ubogich dziennie żywić trzeba i Saint-Quentin, gdzie jest tysiąc pięćset chorych. W r. 1641 w Verdun rozdaje się chleb czterystu ubogim, a często pięciu i sześciuset i trwa to w ciągu trzech lat; w Saint-Quentin dziewięćset liwrów tygodniowo, czterdzieści pięć tysięcy liwrów rocznie; w Ribemont, w la Fer ośmset liwrów tygodniowo, czterdzieści tysięcy liwrów rocznie; w 1649 r. w Guis czterysta liwrów tygodniowo, dwadzieścia tysięcy liwrów rocznie. Następny 1650 rok jeszcze bardziej ciężki. W samym tylko listopadzie rozdano sześć tysięcy liwrów, co wynosi siedmdziesiąt dwa tysiące rocznie; w grudniu tysiąc pięćset tygodniowo, sześć tysięcy miesięcznie. W styczniu 1651, nie opuszczając Lotaryngii, daje się trzy tysiące liwrów tygodniowo, sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie. W Marcu św. Wincenty á Paulo pisze: „Nie do uwierzenia ile te damy mają trudności przy dźwiganiu brzemienia tak wielkich wydatków, które przenoszą piętnaście tysięcy liwrów miesięcznie, sto ośmdziesiąt tysięcy liwrów rocznie”. Z postępem czasu wydatki rosły, wraz z powiększeniem się liczby nawiedzonych pro-

¹⁾ Feillet 243.

wincyj. W maju i czerwcu czterdzieści tysięcy na te dwa miesiące. W Saint-Quentin dziewięset liwrów tygodniowo już nie wystarcza. W Réthel i Marle rozchodowano w ciągu miesiąca sześćdziesiąt tysięcy liwrów. W r. 1652 rozchodziło w Laon, ośm tysięcy miesięcznie, wzrosło w marcu do dziesięciu tysięcy, a w kwietniu do trzynastu tysięcy. Od 15 lipca 1650 do 11 lipca 1657 św. Wincenty naliczył trzydzieści sześćdziesiąt siedm tysięcy pięćset liwrów wydanych, a suma ta nie zawiera w sobie rozdanej odzieży, sukna, kołder, alb, ornatów, cyboryów, które gdyby policzyć wyniosłyby sumy bardzo znaczne. A nie wspomina on o tytułach i nych kwotach wydanych dla Burgundii, Lotaryngii, Anjou, Brie i dla okolic Paryża. Wynosi to więcej niż trzy miliony, które trzeba potroić i liczyć poczwórną, by otrzymać rzeczywistą wartość. Po skończonej wojnie, gdy jeden z misjonarzy, Franciszek Hébert, został biskupem w Agen, próbował dokładnie porachować sumy wydane przez św. Wincen-
tego à Paulo na uczynki miłosierdzia, otrzymał ogromną sumę dwunastu milionów liwrów, to jest czterdziestu ośmiu milionów franków. Św. Wincenty à Paulo, przywykły zawsze innym przypisywać zaszczyt w działaniu, wypowiada z tego powodu następujące słowa podziwu: „O! Panie moje, czyż opowiadanie tych rzeczy nie wzrusza serc waszych? Czyż nie jesteście przejęte wdzięcznością dla dobroci Bożej względem was i względem tych nieszczęśliwych ubogich? Opatrzność Boska zwróciła się do niektórych dam w Paryżu, aby przysły z pomocą dwóm zniszczonym prowincjom; czyż nie wydaje się to wam czemś dziwnym i nowym? Historia nie wspomina, żeby coś podobnego zdarzyło się damom w Hiszpanii, we Włoszech lub w jakim innym kraju. Przypadło to w udziale wam, Panie, które tu zebrane jesteście i niektórym innym, które już są przed Bogiem, gdzie znalazły pełną nagrodę za tak spełnione Miłosierdzie”.

Gdy kasa tych dam bywała już pustą, co zdarzało się od czasu do czasu w 1639, w 1643, odważnie kołatał do największych dam Paryża: księżny d' Aiguillon, siostrzenicy Richelieu'go, do której wystosował list wymowny, do prezydentowej de Herse, którą nazywał miłosierną prezydentową, do p-ni Lamoignon, która umiała tylko wówczas nie dawać, gdy już nie miała, do p-ni de Bretonvilliers, któ-

ra od razu dała mu czterdzieści tysięcy franków, suma ogromna na owe czasy, nareszcie do p-ni Le Gras, której worek był jakby jego własnym i z którego czerpał nie rachując. Następnie zwraca się do królowej Polskiej¹⁾, która mu przysłała dwanaście tysięcy franków, a na koniec idzie do królowej regentki, która niczego mu odmówić nie umiała. W braku pieniędzy daje mu swoje kosztowności: raz brylant wartości siedmiu tysięcy liwrów, drugim razem zausznice, sprzedane przez damy Miłosierdzia za ośmnaście tysięcy liwrów. A że chrześcijańska królowa wymagała tajemnicy, św. Wincenty odpowiedział jej: „Wasza Królewska Mość wybaczy mi, gdy w tem jedynie nie będę jej posłusznym; nie mogę ukrywać tak pięknego czynu miłosierdzia. Dobrze jest by cały Paryż, a nawet cała Francja знаła ten czyn i sądzić, że moim obowiązkiem głosić go wszędzie, gdzie będę mógł”²⁾.

Lecz św. Wincenty nie poprzestaje na tem. Jest ktoś, co ma więcej pieniędzy niż królowa, to społeczeństwo całe. Nasz Święty powziął śmiałą myśl: stworzył prasę na korzyść Miłosierdzia. Misjonarze jego rozsiani wśród teatru wojny piszą mu wzruszające listy, pełne szczegółów, rozdzierających serce. On je ogłasza, drukuje małe zeszyty o kilku kartkach, które rozdają tłumom u drzwi kościelnych. Publikacje te stają się peryodycznymi. Ukazują się co miesiąc i tak chętnie są czytane, że trzeba przedrukowywać wyczerpane numery. „Bóg zlał tak wielkie błogosławieństwo na tę pracę, że większość tych co czytali, lub słyszeli opowiadania z tych sprawozdań, otwierali serca i kieszenie swoje, by wspierać cierpiących braci. Kartki te były rozsyłane nawet po prowincjach królestwa, i żądano przedruku pierwszych wydawnictw, aby utrzymać porządek i ciągłość tego przedsięwzięcia, które jest jednym z najpotężniejszych czynników w naszych czasach.

Aby lepiej zabezpieczyć pomoc nieszczęśliwym, wszystko co, można było zebrać z ofiarności publicznej, zgromadzone w jedno miejsce, które nazwano magazynem Miłosierdzia.

¹⁾ Maryi Ludwiki Gonzaga (przypisek tłumacza).

²⁾ Maynard IV, 233.

W tym samym czasie św. Wincenty à Paulo zwraca się do arcybiskupa Paryskiego i prosi o rozkaz odczytywania wiadomości we wszystkich kościołach, co wywołuje łyzy u ludu zebranego. Z tą samą prośbą zwraca się do pewnej liczby znanych mu biskupów. Nakoniec sam bierze pióro, chociaż nie bardzo lubił tego rodzaju pracę, drukuje wyciągi z Pisma świętego i Ojców Kościoła, gdzie mówi się o jałmużnie i dodaje „*Instrukcyę dla pomocy ubogim*” (*Instruction pour le soulagement des pauvres*). Był to początek całej seryi prac, przeznaczonych do rozbudzenia i rozwoju Miłosierdzia w sercach chrześcijan. jak: „*Upomnienie Paryżan do pomocy ubogim w Szampanii i Pikardyi*” (*Exhortation aux Parisiens pour le secours aux pauvres des provinces de Champagne et de Picardie*) przez Antoniego Godau, biskupa Grasse; „*Jałmużna chrześcijańska i kościelna*” (*l'Aumône chrétienne et ecclésiastique*) dzieło jansenistowskie, dwa tomy, in 8-o r. 1651; „*Chrześcijanin miłosierny*” (*le Chretien charitable*) przez jezuitę Bonnefonds i t. p. I w ten sposób z inicjatywy jednego człowieka, cała część Francyi, która nie cierpiała, przychodzi z pomocą części drugiej, cierpiącej.

Lecz nie dość jest zebrać środki pomocy, pieniądze, trzeba je podać nieszczęśliwej ludności; trzeba rozdzielić je mądrze, umiejętnie, roztropnie,—niekiedy bohaterstwa nawet do tego potrzeba. Św. Wincenty uruchomił do tego drugą swoją i trzecią armię: kapłanów Misyonarzy i siostry Miłosierdzia. Posyła ich na pole bitwy z nędzą, posyła grupami, małemi oddziałami, z rozkazem rozłączenia się, podzielenia, aby dotrzeć do miejsc najniebezpieczniejszych i najbardziej opuszczonych. I wkrótce wszędzie ich się widzi: w Metz, Verdun, Nancy, Pont-à-Mousson, Bar-le-Duc, Saint-Michel; później w Etamps, Palaiseau, Richelieu i t. d. Wszędzie widoczne są ślady ich przejścia w wyrazach wdzięczności i w entuzjazmie ludności, syndykatów, rad miejskich, kapituł i zakonów. Wysławszy ich w rozsypce, wiąże ich grupami po prowincjach: dziesięciu, piętnastu pod jednym zwierzchnikiem. Następnie posyła wizytatorów, którzy mu składają raporty, aby mógł stopniować wysokość pomocy, stosownie do wielkości nędzy. To samo uczynił i z Siostrami Miłosierdzia. Rozsyła je grupami po dwie lub trzy w miejsca, gdzie niebezpieczeństwo największe; dodaje odwagi słabnącym, wy-

chwala umierające z bronią w rękę, jak mówi, a była to broń Miłosierdzia. Niczego nie szczędziłby udzielić im tego płomienia, którego ogniskiem było jego serce.

Strasliwe szczegóły przepełniają otrzymywane przez niego listy, lecz męstwo jego nie ustaje i nie słabnie. Wkrótce na rozkaz jego i wskutek doświadczenia nabytego z pierwszych prac, organizuje się nawet pewnego rodzaju strategia, strategia Miłosierdzia w posłudze nędzy. Zawiera się ona w czterech punktach.

1^o. Podtrzymywać tych, którzy umierają z głodu, którzy padają z osłabienia. Do tego urządza on dzieło „zupy ekonomicznej”, sam redaguje receptę, której nie można czytać bez rozczulenia:

„Pokarm dla stu osób.

„Trzeba napełnić wodą garnek lub kocioł, zawierający po brzegi pięć wiader wody, do tego wkłada się kawałkami około dwudziestu pięciu funtów chleba, siedem kwart tłuszczu, w dni nie postne, a siedem kwart masła w postne, cztery kwatery grochu lub bobu z zieleniną, lub pół beczółki rzepy lub kapusty, porów, cebuli, lub innych jarzyn i soli w proporcji za około czternaście soldów (groszy). Wszystko to razem gotowane do miary czterech wiader wystarczy dla stu osób, i będzie im rozdane w miseczkach porcyami. Dawać każdej rodzinie tyle miseczek, ile jest głów dożywienia. A cały ten pokarm wyniesie sto soldów na sto osób, nawet w tym roku, gdy zboże tak jest drogie”.

Te ekonomiczne zupy były zbawieniem całych tysięcy osób. Siostry Miłosierdzia były ich rozdawczyniami. Nie można też bez łez czytać opowiadania o tem rozdawaniu. W Guise misyonarze i Siostry Miłosierdzia pozbawieni wszelkich potrzebnych naczyń, przez dni piętnaście starały się przyrządzać te zupy. Na pierwsze rozdawnictwo stawilo się trzysta ubogich chorych; teraz przychodzi sześćset i siedemset i ze wszystkich okolic, a nawet ludzie bogaci, a umierający z głodu w zamkach swoich. W Saint-Quentin rozpoczęto dzieło zup od dwustu chorych, a po kilku dniach naliczono już pięćset. W Laon powiększono i usilono te zupy i dawano nawet mięso i jaja, bo chorzy byli bardzo osłabieni. W Bazoches było około tysiąca dwóchset chorych, wycieńczonych, którym Siostry Miłosierdzia rozdały zupę i lekarstwa.

W Reims, Réthel, Boulton-sur-Suippe spustoszonem przez Niemców, a w Sommepey, Donchery, gdzie jest sześćset czy siedemset osłabionych, sierot i chorych, Siostry Miłosierdzia rozdają, nie licząc już zupy, mięso i jaja. Wydatek na ten cel wzrasta do trzech-tysięcy liwrow na tydzień. W Etampes, przepełnionem chorymi, wychudzonymi do skóry i kości, zostającymi bez chleba, bez szklanki wody dla ugaszenia trawiącego ich pragnienia, Siostry Miłosierdzia urządzają sześć kotłów i rozdają zupę i lekarstwa. Na przedmieściach Paryża zupa co rano udzielana bywa dziesięciu tysiącom ubogich co kosztuje szesnaście tysięcy liwrow miesięcznie. A notujemy tu niektóre tylko cyfry, bo zaiste ręka tężeje zarówno opisując ogrom nędzy, jak i rozmiary niesionej pomocy.

20. Lecz co pomoże odżywianie wygłodzonych, podtrzymywanie osłabionych i chorych, jeżeli nie zostanie podjęte grzebanie umarłych, oczyszczenie miast, wiosek i dróg od trupów ludzkich i końskich, które rozkładając się, zarażają powietrze? Praca straszliwa, przy której nie jeden kapłan misjonarz, nie jedna Siostra Miłosierdzia żywot swój kładą. Formuje się stowarzyszenie mężczyzn, które nazwano *aéreux* (przewietrzacze), ponieważ oni oczyszczali powietrze. Misjonarze stają na czele. W Réthel tysiąc pięćset do dwóch tysięcy trupów pozostawało około dwóch miesięcy bez pogrzebu, szarpane przez wilki i psy. Te ohydne, pokalczone szczątki, wstrętne nawet dla zwierząt, wydawały woń, zatruwającą okolicę. Misjonarz Deschamp nie cofa się przed świętym, chociaż tak odrażającym, obowiązkiem. Mały przyrmrozek, w porę zesłany przez Opatrzność, przychodzi mu z pomocą i grzebie on wszystkie trupy. W Etampes, pod dowództwem Misjonarzy, oczyszczają się ulice od stosów straszego plugastwa, wstrętnego pomieszania ciał ludzkich i końskich, które tam gniły od czasu pobytu wojsk w mieście. Usunięto to za cenę złota, a bardziej jeszcze za cenę poświęcenia się; oczyszczono i odwoniono place i domy, aby uczynić je możliwymi do zamieszkania. Pięciu Misjonarzy i pięć Sióstr Miłosierdzia zmarło tam „z bronią w ręku”, jak mówi św. Wincenty. W Etréchy, w Villeneuve-Saint-Georges znaleziono trzysta siedemdziesiąt czterech śmiertelnie chorych, zostających w ostatecznej nędzy: ani pościeli, ani odzieży, ani chleba. Trzeba było oczyścić ogniska domowe od powiększa-

jących chorobę zarazków, oraz trupy ludzi, koni i bydła. W Saint-Etienne w Szampanii więcej, niż tysiąc pięciuset ludzi padłych na polu bitwy i służących za żer wilkom, na wpół już rozkładających się pogrzebali kapłani-Misjonarze. Szczęściem chłód nastał, bo gdyby była wilgoć, to nie byłoby ceny, za którą można by znaleźć człowieka do grzebania. Raz św. Wincenty zgromadził damy Miłosierdzia i prosił je o kupno, okropny szczegół, drągów okutych i motyk do kopania dołów i grzebania umarłych, brak bowiem narzędzi był jednym z największych trudów Misjonarzy, gdyż rękami musiano wydrapywać doły, a umarłych nosić na drabinach, które z trudnością znajdowano. W Corbeilles praca przewietrzaczy kosztowała czterysta liwrow. W Villeneuve-Saint-Georges znaleziono tysiąc dwieście, czy tysiąc pięćset koni zabitych i trupów żołnierzy i ubogich. W Etampes nic innego nie mogli zrobić, jak powyrzucać wszelkie plugastwo z domów na ulice, tak strasznie zakażone i zabrudzone były te domy. Tam właśnie umarła jedna z sióstr Miłosierdzia, która do ostatniej chwili odznaczała się poświęceniem bez granic. Na jednej z konferencji św. Wincenty opowiada Siostrom: „Niedawno opowiadano mi o jednej siostrze, która była już w agonii, lecz widząc ubogą osobę, potrzebującą puszczenia krwi, podniosła się z pościeli i puściła krew chorej, potem wnet osłabła i upadła, a bezpośrednio potem skoła. Nie mogę przypomnieć imienia jej”. Siostry poczęły szeptać pomiędzy sobą: „Siostra Marya Józefa w Etampes”. A św. Wincenty usłyszawszy to: „Niech Bóg was błogosławi córki moje! Siostra Marya Józefa to była ona w istocie, dobra ta siostra może być nazwaną męczennicą Miłosierdzia”, Tam też zachorował i po kilku dniach umarł świętobliwy misjonarz David. św. Wincenty pisze: „Opatrzność Boska powołała do siebie o. David’a z naszego zgromadzenia, o którym można powiedzieć, że w krótkim czasie *explevit tempora multa*. Przez dziesięć czy piętnaście dni tylko pomagał on ubogim chorym w Etampes, gdzie armia książąt przebywała przez czas dłuższy i zostawiła powietrze zarażone. O. Deschamps, który tam był, powiadomił mnie, że czynił on tyle ile mógł uczynić chyba człowiek z nieba zesłany: spowiadał, katechizmował, przychodził z pomocą chorym, grzebał umarłych, już prawie rozkładających się. Poszedł do Entré-

chy pogrzebać dwanaście trupów, zarażających powietrze w wiosce, poczem zachorował i umarł. P. Deschamps pisze mi jeszcze, że nieboszczyk przed zgonem miał pewną obawę wobec sprawiedliwości Boskiej i wołał: „Niczem to Pannie, gdy mię potępisz, ja nie przestanę miłować Cię nawet i w piekle”. Nieco przedtem zmarł w Bar-le-Duc *in odore sanctitatis* kapłan misjonarz dobry o. de Montevit w dwudziestym ósmym roku życia. Ojciec Roussel pisze do Św. Wincentego. Umarł on tak, jak jabym chciał umrzeć i proszę Boga o śmierć podobną. Dwie kapituly z Bar-le-Duc uczciły pogrzeb jego swoją obecnością, również i Ojcowie Augustyanie. Lecz co najwięcej uczciło ten pogrzeb, to sześć czy siedmset ubogich, którzy asystowali ciału z świecami w rękę i płakali, jak po ojcu rodzonym. Bo też ci ubodzy mieli za co być wdzięczni; zachorował on, lecząc ich cierpienia i przychodząc z pomocą ich ubóstwu. Wciąż był wpośród nich i nie oddychał innem powietrzem, tylko ich potem. Słuchał ich spowiedzi z taką pilnością rano i po obiedzie, że ani razu nie zdołałem go namówić na odpoczynek i użycie przechadzki. Pogrzebaliśmy go obok konfesyonału, w którym nabawił się choroby i gdzie zdobył tyle zasług, za które cieszy się dziś nagrodą w niebie”.

3^o. Jednocześnie z oczyszczeniem dróg: ulic i domów św. Wincenty myśli o wszystkim, zajmuje się nawet obsianiem ziemi. Zbiera zapasy zboża, jęczmienia, grochu, bobu i rozdaje to wszędzie. W 1650 w ciągu dwóch tylko miesięcy rozesał nasion za czterdzieści tysięcy liwrów; w roku następnym użyto znów prawie czterdzieści tysięcy liwrów na podobne zakupy. Doświadczenie przekonało, że była to najskuteczniejsza pomoc, zwłaszcza dla ubogich wieśniaków.

4^o. Lecz przy tej materyalnej nędzy, którą tak był zajęty św. Wincenty i przedziwni uczniowie jego, księża Misjonarze oraz Siostry Miłosierdzia, więcej jeszcze troszczyli się o nędzę moralną, straszniejszą od tamtej. Wszystkie czynności religijne przerwane, kościoły opustoszone, umierający bez sakramentów, cnota dzieci i młodych dziewcząt w niebezpieczeństwie. Oto straszny obraz wojen ówczesnych! Nic tam nie uszanowano; kobiety i dziewczęta uciekały zewsząd, szukały schronienia po lasach, ukrywały się w jaskiniach i ciemnych grotach, gdzie prześladowcy odszukiwali je z po-

chodniami w rękę, W Saint-Quentin szukały schronienia nawet w zamarzłej rzece, gdzie odmrażały nogi, tak że trzeba je było amputować. W Sainte Menehould młoda kobieta, gdy ratując się przepływała rzekę, utonęła. Dwie kobiety zostały spalone w domu, gdzie się zabarykadowały. W Laon odbył się pogrom kobiet wszelkiego stanu, prowadzonych do obozu na pastwę żołdactwa, a ci którzy usiłowali je obronić zostawali bez pardonu wieszani. Szlachetna dama i jej córka doznawały ostatniej zniewagi w towarzystwie wieśniaczek i pastuszek. „Naprawdę włóścianie szukali schronienia w kościołach pod Bożą opieką: włamywano się tam i wyrzynano ich, a gdy opór był silniejszym podpalano i wykurzano ich jak dzikie zwierzęta z kniei; gdy chcieli uciekać, wpadali na oszczepny żołdactwa”.

Pewien naoczny świadek z Bazoches pisze: „Nie śmiem mówić o tem, w jaki sposób traktowane są kobiety i dziewczęta; lecz powiem ku chwale wielu z pomiędzy nich, które wołały utracić życie, niż cześć swoją”.

Po skończonej wojnie widziano wysuwające się z krzaków i zarośli kobiety i dziewczęta, które się tam ukrywały. Większa ich część, bez odzieży, bez obuwia, całe pokrwawione. Każda z takich wiadomości krwawiła serce św. Wincentego; pisze liczne listy, domagając się przysyłania do Paryża wszystkich kobiet i dziewcząt, uciekających przed niebezpieczeństwem. Zbiera się ich znaczna ilość, lecz Miłosierdzie w miarę tego wzrasta. Umieszczano je w najlepszych domach, jako pokojowe, kucharki, niańki, robotnice i tym sposobem ratowano ich życie wraz z cnotą. W podobny sposób obchodzono się z małemi sierotami, których było bardzo wiele. W Laon znaleziono ich pięśset w wieku niżej lat dwunastu, w stanie zupełnej nagości. W Saint-Quentin naliczono sierot, bez ojca i matki, również pięśset w wieku od niemowlęctwa do siedmiu lat; w Béthune prawie trzysta; w Berry mnóstwo dzieci opuszczonych. Część ich odesłano do Paryża. P. Le Gras przyjmuje małe dziewczęta, małych chłopców rozmieszcza się, jak się daje. I w tem również przejawia się cuda Miłosierdzia.

A czy da się wiarę, że nawet służebnicy ubogich, księża Misjonarze i podziwu godne Siostry Miłosierdzia, nie byli bezpieczni wśród tych strasznych nieporządków? Najmniej-

sze co ich spotykało, że byli obrabowani, lub musieli się okupić; okradano ich z pieniędzy, przeznaczonych dla ubogich i grożono im pałą lub szpadą, gdy oświadczyli, że skarżyć będą złodziei. Uprzedzona o tem przez św. Wincentego królowa regentka Anna Austriacka postanowiła przyjąć tych bohaterskich jałmużników pod swoją szczególną opiekę i 14 lutego 1651 r. ogłosiła rozkaz, który stwierdza bezsilność władz cywilnych i politycznych, a podnosi nieopisaną potęgę Miłosierdzia. Rozkaz ten dotąd nieznan zasługuje na to, by go tu przytoczyć w całości:

„W imieniu króla

„Jej królewska mość powiadomiona została o tem, że mieszkańcy większej części wiosek w Pikardyi i Szampanii doprowadzeni zostali do ubóstwa i zupełnej nędzy z powodu rabunków i okrucieństw wrogów, a także przechodów i przebywania wszystkich armij, że wiele kościołów było zrabowanych i ograbionych z ornamentów i że dla wspierania i żywienia ubogich i naprawy kościołów wiele osób miasta Paryża czyni wielkie i obfite jałmużny, które bardzo pożytecznie użyte przez księży Misyonarzy o. Wincentego i inne osoby miłosierne przesyłane są na miejsca, gdzie najwięcej jest ruin i największa niedola, wskutek czego znaczna liczba biednych ludzi doznała pomocy w potrzebie i chorobie. Lecz gdy wojska przechodząc, lub przebywając w miejscach, gdzie rzeczeni Misyonarze się znajdują, zabierają i okradają ornamenta kościelne i zapasy żywnościowe, odzież i inne rzeczy, które były przeznaczone dla ubogich, Misyonarze ci, jeżeli nie zostaną zabezpieczeni należycie ze strony Jej królewskiej mości, nie będą w możności prowadzić dalej dzieła miłosierdzia, tak ważnego dla chwały Boga i dla wspomżenia poddanych. Jej królewska mość pragnąc zapobiedz temu wszelkimi sposobami, które są w jej mocy, surowo zabrania gubernatorom i namiestnikom jeneralnym w prowincjach swoich i armiach, marszałkom i obożnym, pułkownikom, kapitanom i innym naczelnikom i oficerom, dowodzącym jej wojskami, tak konnemi, jak pieszemi, francuzom i cudzoziemcom jakiej bądź kolwiek narodowości, zajmować, ani dopuszczać, by były zajmowane przez jakie bądźkolwiek wojska wioski rzeczonych Pikardyi i Szampanii. Dla tych wiosek księża Misyonarze domagać się od nich będą opieki, aby mieć moż-

ność doglądania ubogich i chorych i rozdawać zapasy, które tam przyniosą, tak aby mieli zupełną swobodę w wykonywaniu swego miłosierdzia w sposób, jaki im się wyda najodpowiedniejszym. Prócz tego Jego Kr. Mość zakazuje pod karą śmierci wszystkim wojskom brać cokolwiek od księży Misyonarzy, których przyjmuje pod swoją opiekę, i od osób przy nich zostających, lub przez nich do tego użytych. Dołączając do tego najsurowszy rozkaz wszystkim wójtom, sędziom, marszałkom i innym urzędnikom do których to należy, rozkazujemy, aby ogłosili niniejszy rozkaz i surowo karali przestępujących go w taki sposób, aby kara służyła za przykład innym. Chce Jego Król. Mość, aby kopie niniejszego, należycie uwierzytelnione, miały wiarę taką samą, jak oryginał.

Dan w Paryżu 14 lutego 1651”.

Słusznie mówi Feillet w swojej Historii Frondy: „Jakim sposobem rozkaz królewski tak ważny, którego kopie musiały być bardzo liczne, mógł ująć baczności wszystkich biografów św. Wincentego i historyków Frondy? Nie będziemy szukali przyczyny tego; co do nas patrzymy nań jako na jeden z dokumentów najważniejszych, jakie mieliśmy szczęście odnaleźć w ciągu długich poszukiwań naszych. Trzeba dobrze zważyć każde słowo tego dokumentu: na wstępie do rozkazu przyznane zostaje barbarzyństwo żołnierzy, posunięte do tego stopnia, że nie szanują nawet tych, którzy przychodzą z pomocą im i ich ofiarom; wyraźne i uroczyste polecenie wszystkim władzom, wszelkiego rodzaju i stopnia, wszelkiej jakiej bądź narodowości, śpieszenia z pomocą tym szlachetnym ludziom, niosącym ratunek spustoszoną prowincyom. Niczego nie braknie w tym rozkazie. Później ujrzymy jeszcze dowody opieki okazywanej Misyonarzom: lecz co za różnica w wyrażeniach! Przytoczony dokument nadaje św. Wincentemu rolę publiczną i oficjalną. Nie jest to prywatny człowiek, znajdujący jedynie w cnocie swojej potrzebną mu powagę dla pociągnięcia za sobą ludzi do czynu i do poświęcenia, odtąd to „Wielki jałmużnik Francyi”, w ręce którego monarcha składa dobrowolnie to, co stanowi dziś najwznioślejszy jego przywilej—władzę i moc czynienia dobrze. Miłosierdzie uczyniło ze skromnego i pokornego chłopka Landów (stepów) jedyną czynną siłę królestwa, zostającego w u-

padku, a tytuł Ojca ojczyzny, który mu daje gubernator Saint-Quentin nigdy nie był lepiej zasłużonym".

To nie jedyny chwalebny dla św. Wincentego à Paulo i podziwu godnych uczni jego dokument z pomiędzy tych, które uchodziły uwagi historyków. Wiele podobnych uległo temu samemu losowi, szczególnie te, z których w gorących wyrazach przemawia wdzięczność miast, uratowanych przez miłosierdzie naszego Świętego. Obrażały one jego pokorę więc po większej części palił je; inne pomijali historycy XVII i XVIII wieku, piszący powierzchownie, nie zadający sobie pracy poszukiwania wśród pyłu archiwów. Dziś dokumenta podobne powoli odnajdują się i świadczą o głębokim wrażeniu które wywierało wówczas bohaterskie Miłosierdzie św. Wincentego à Paulo.

Przytaczam główniejsze.

W 1639 r. namiestnik, burmistrz i rada miasta Saint-Michel przysyłają Wincentemu à Paulo milion dziękczynień za wszystkie otrzymane dobrodziejstwa.

W 1639 r. wikaryusz generalny i archidyakon z Toul, gdzie stolica biskupia wakowała, oznajmia, że księża Misyonarze pracują od dwóch lat, wspomagają, odziewają, żywią i leczą ubogich, chorych, rannych, przez co budują wszystkich.

W 1640 r. radni miasta i członkowie rady Trzynastu miasta Metz piszą, aby stwierdzić, że byliby ostatnimi niewdzięcznikami, gdyby nie przyznali nieskończonych dobrodziejstw, których doznają od księży Misyonarzy i od Sióstr Miłosierdzia i „od Was Panie, który niemi kierujesz i rządysz z taką mądrością i zręcznością, za co Bóg Cię wynagrodzi w niebie”.

W kilka dni po tem 21 stycznia 1640 rejestra ratusza miejskiego w Verdun zawierają następującą notę: „Ma się napisać do o. Wincentego, generała oo. Misyonarzy w Paryżu, aby raczył dalej świadczyć miłosierdzie i rozdawać jałmużnę, jak to rozpoczął w tej dzielnicy, z korzyścią i pociechą publiczną i wyrazić mu wdzięczność za błogosławione owoce, które przynosi pobożne przedsięwzięcie na tem pograniczu”.

W grudniu 1640 oficerowie policyi w Pont-à-Mousson piszą do Świętego, by go ubłagać o dalsze prowadzenie jego

jego Miłosierdzia, potrzebniejszego teraz więcej, niż kiedykolwiek; bo przeszło pięćset chorych zostaje w niebezpieczeństwie śmierci, jeżeli czułość serca jego, pełnego miłości i litości nie pośpieszy im z ratunkiem.

W 1641 P. Souÿn, wójt z Reims, dziękuje Świętemu za mianowanie intendenta i inspektora jeneralnego dzieł miłosiernych i błaga go o litośną opiekę nadal, która zachowuje życie doczesne tylu ubogim i przygotowuje im wieczność szczęśliwą.

W 1642 urzędnicy z Lunéville w rozczulających wyrazach malują strapienia swoje, a zarazem szczęście, którego doznali, widząc przybycie dzieci św. Wincentego à Paulo.

W 1651 prezydent i namiestnik generalny z Réthel opisują spustoszenie miasta i wieczną wdzięczność za tak skuteczny ratunek.

Nakoniec de La Fonds, namiestnik generalny z Saint-Quentin w liście oficjalnym zowie św. Wincentego à Paulo *Ojcem Ojczyzny*.

Oto niektóre dokumenta oficjalne, wydobyte z archiwów. Znajdą się jeszcze inne i przekonują, że miłosierdzie św. Wincentego wcale nie przeszło niepostrzeżone wśród prowincyj spustoszonych przez wojnę, jak twierdzili niektórzy historycy, lecz przeciwnie zostawiło głębokie ślady i wywierało niesłychane wrażenie, dowodem zaś tego jest i to, że po pięćdziesięciu latach, gdy się rozpoczął proces kanoniczny, żaden kraj nie przysłał liczniejszych i bardziej gorących świadków, jak właśnie te spustoszone przez wojnę prowincje. Wszyscy biskupi tych prowincyj powstałi jeden po drugim i łącząc się z biskupami Angielskimi, Szkockimi, Irlandzkimi i Polskimi błagali Papieża o wzniesienie na ołtarze tego, który był wybawicielem, protektorem i dobroczyńcą prowincyj spustoszonych i *Ojcem Ojczyzny* całej.

1) Feillet. *La Misere au temps de la Fronde*. str. 247.

ROZDZIAŁ III.

Frona.— Wzmoczenie się nędzy. — Usiłowania Św. Wincentego á Paulo, aby doprowadzić do pokoju. 1648—1652.

Wśród łez i potoków krwi rozpoczął Mazzarini urzeczywistniać wielki plan, powzięty przez Henryka IV, a prowadzony przez Richelieu, polegający na tem, aby złamać obręcz żelazną, którą dom Austriacki ścisnął Francję, i oprzeć jej granicę o Ren, co było nieodzownym warunkiem niezależności. Dnia 24 Października 1648 r. ks. Kondeusz odniósł pod Lens zwycięstwo nad Hiszpanami, wskutek czego podpisany został w Münster traktat Westfalski, którego mocą uznano panowanie Francji nad trzema biskupstwami: Metz, Toul, i Verdun, które zajmowała już przez dłuższy czas, oraz posiadanie całej, dolnej i górnej Alzacy, prócz wolnego miasta Strasburgu, lecz z Brisach i Landau, z prawem utrzymywania garnizonu w fortecy Filipsburg, wreszcie władanie Pignerolem, co otwierało, w razie potrzeby, drogę do Włoch. Cała więc północno-wschodnia granica Francji od strony Niemiec była tym sposobem zdobyta i ostatecznie zabezpieczona¹⁾.

¹⁾ Cousin. Madame de Longueville I, str. 329.

Drogo bezwątpienia kosztował ten traktat. Uznawał on zupełną niezależność polityczną państw protestanckich i nadawał herezyi te warunki istnienia, o które walczyła od tak dawna, a które złamały europejską jedność katolicką. Lecz na razie widziano tylko wzmoczenie wielkości Francji i radość stąd pochodząca była ogólną pociechą. Co otrzymano ze strony północno-wschodniej, miano nadzieję zdobyć i na północnym zachodzie; przewidywano bliską chwilę, gdy po szczęśliwej kampanii, prowadzonej przez Kondeusza lub Turenne'a, Niderlandy przejdą pod panowanie Francji i cały Ren stanowić będzie jej granicę, bez czego groziło jej niebezpieczeństwo, iż po pierwszej przegranej bitwie, nieprzyjacieli może się ukazać pod murami Paryża. Załatwiwszy się z Austrią i Hiszpanią od północy, można będzie zwrócić się ku Pirenejom, zdobyć od Hiszpanii Nawarrę, Rousillon, a może nawet Katalonię, którą posiadano już faktycznie i gdzie ustanowione było vice-królestwo francuskie, co przy posiadaniu Sabaudyi i Nizy, (nieustanny przedmiot ambitnych marzeń Henryka IV i Richelieu), stworzy dla Francji granice dla jej wielkości i potęgi odpowiednio.

Gdyby Mazzarini ten tylko plan miał na oku, prawdopodobnie urzeczywistniłby go; lecz jednocześnie z usiłowaniem poniżenia Austrii i Hiszpanii, aby na ich ruinach podnieść wielkość Francji, nie ustawał dążyć do wykonania drugiego, bardziej złożonego projektu, zostawionego mu w spadku po pełnym chwały poprzedniku, którego przymiotów nie posiadał. Planem tym było zniszczenie ostatnich śladów feudalizmu, osłabienie możnowładców, szlachty i parlamentu, zniewelowanie, o ile można, wszystkiego na korzyść wszechwładzy królewskiej.

Mazzarini nie opuszczał żadnej sposobności, aby posunąć naprzód urzeczywistnienie tego planu, nie posługiwał się wszakże środkami tak śmiałymi i gwałtownymi, jak to czynił Richelieu; nie spadały za niego głowy, jak za Richelieu'ego głowy Montmerency'ego, Bouteville'a, Cinq-Mars'a, de Thou, nie narzucał despotycznie swej woli parlamentowi Paryskiemu, działając bardziej skrycie, lecz nie z mniejszą ścisłością i wytrwałością, zasiał wkoło siebie we wszystkie warstwy społeczeństwa ziarna wielkiego rozdrażnienia. Rozpoczęło się od piosenek szyderych, wkrótce jednak występowało już z pogróż-

kami. We wszystkich oskarżeniach, skierowanych przeciw niemu, było niewątpliwie wiele przesady; naprzykład zarzucono mu, że używał wszelkich środków dla zdobycia pieniędzy do kasy skarbu jak: powiększenie podatków, sprzedaż urzędów publicznych, wytwarzanie nowych urzędów, co umniejszało znaczenie dawnych i t. p. Lecz w czasach, gdy podatki były tak źle rozłożone, gdzie tyle kategorii obywateli było zwolnionych od opłaty, nie było innego sposobu prowadzenia wojny i utrzymania armij, mających stawić czoło wobec Austrii i Hiszpanii, które ostatecznie zostały pokonane, przez co wzrosła potęga Francji. Wszystko to wymagało pieniędzy; brał więc, gdzie się brać dało i wzbudzał niechęć i narzekania, gdyż sława i wielkość państwa nie starczą za pociechę dla nędzy. To też narzekanie było powszechne, zdarzały się nawet próby buntu, gdy parlament, rozgoryczony przez te nieustanne wytwarzanie nowych urzędów, popełnił ogromny błąd zachęcania i rozjątrzenia malkontentów, na których czele stawiali, co było jeszcze większym szaleństwem, magnaci, a nawet książęta krwi, nie tyle z dbałości o prawdziwe dobro Francji, ile przez wzgląd na źle zrozumiany interes własny. Zgubna ta agitacja otrzymała nazwę Frondy, która od 1648 do 1652 sprowadziła na kraj okropności wojny domowej, wnet po spustoszeniu go przez wojska obce. Rozdzieliła ona Francję na dwa stronnictwa, na których czele stanęli Kondeusz i Turenne; sparaliżowała rozwój sił, które powstrzymywały nieprzyjaciela i pozwoliła mu najechać znowu ziemie francuskie i na wiele lat opóźniła urzeczywistnienie wielkich planów Henryka IV i Richelieu'ego.

Nie można porównywać Frondy z dawniejszą od niej Ligą. Ta ostatnia była jednym z najszlachetniejszych porywów ducha i serca Francji katolickiej; natchnionym przez chwalebna zasadę jedności katolickiej, ona przekładała wiarę po nad wszystko i stwierdzała, że zachowanie wiary zasługuje na to, by wszystko dla niej poświęcić, ona hartowała charaktery, podnosiła ducha, a zobowiązując Henryka IV do wyrzeczenia się herezyi, uratowała religijną jedność Francji.

Nic podobnego nie było we Frondzie; ani wielkich zasad, ani pomyślnych rezultatów. Była to mieszanina wy-

stępnych namiętności i interesów osobistych, obrona z bronią w ręku wiekowych nadużyć. Był to ostatni powiew znikającego feudalizmu, krwawy poryw minionej przeszłości, bez podniosłej wiary w przyszłość. Przez błędy i zaciekłość swoją Fronda doprowadziła do tego, czemu starała się zapobiedz, doprowadziła do osłabienia możnej szlachty, bo ta zwyciężona przez absolutyzm królewski, bardziej poniżona, bardziej osłabiona niż przed tą walką, przez błędy swoje, przestała być przeciwwagą zbytniego rozwoju królewskiego samowładztwa, a następnie przez uniżoność swoją przygotowała pole do despotyzmu Ludwika XIV.

A jak się zachował św. Wincenty à Paulo w tym nieszczęsnym okresie Frondy? Zainteresował on swoim dziełem cały zastęp magnatów i wielkich panów, wybitnych członków magistratury, wielkie damy; wszyscy oni przystąpili do Frondy,—czy i on w niej weźmie udział? Wiadomem było, że nie lubił Mazzarini'ego, czy więc stanie w szeregach opozycji przeciw niemu? Wszak posiadał całkowite zaufanie królowej. Co on uczyni? Zbadaliśmy gruntownie życie św. Wincentego i zdaje się nam, że rzadko kiedy był on tak bardzo podziwu godnym, jak w tych okolicznościach; pozostał bowiem zupełnie bezinteresownym, wolnym od wszelkich ludzkich rachub i względów. Na rzecz prawy publicznej; ofiarowuje by najżywotniejsze interesy własne, naraża się na gniew stronnictw walczących. Ale nie tylko swoje osobiste interesy, lecz dzieła swoje, dwie drogie mu kongregacje wystawione zostały na zachłanność Frondy. Św. Wincenty płonął tylko jedną myślą, jednym pragnieniem dominującym nad wszystkimi innymi: pragnieniem pokoju dla zmniejszenia niedoli ludu.

Fronda wybuchła w Sierpniu 1648 r. Wskutek aresztowania niektórych przywódców, tysiąc dwieście barykad w ciągu kilku godzin stanęło na ulicach Paryża z okrzykiem: „Precz z Mazzarinim!” Przerażona królowa wnet wezwała do pomocy zwycięzcę z pod Rocroy i Lens, pierwszego księcia krwi Kondeusza. Ten chociaż żywił głębokie niezadowolenie z powodu tego co nazywał „wiarołomstwem Mazzarini'ego” i „słabością królowej”, był z początku posłusznym tylko głosowi obowiązku i stanął zbrojnie na usługi Anny Austriackiej. Zabezpieczona taką pomocą, królowa wraz z synem o-

puszcza Paryż i udaje się do Saint-Germain-en-Laye i z jej rozkazu Kondusz na czele ośmiu tysięcy wojska rozpoczyna blokadę Paryża (6 Stycznia 1649) i prowadzi ją gwałtownie. Św. Wincenty á Paulo przygnębiony był wiadomością o tej blokadzie. Co pocznie to wielkie miasto Paryż, dziesiątkowane przez choroby, wygłodzone i umierające z nędzy, jeżeli blokada potrwa czas jakiś? Wiele i długo modlą się i rozważając, powziął niebezpieczne, lecz godne jego postanowienie ujść potajemnie z Paryża, przedrzeć się przez niesforne bandy żoldactwa, zajmującego okolice Paryża, dostać się do Saint-Germain i wyjednać od królowej i kardynała Mazzarini'ego zdjęcie oblężenia i przywrócenia pokoju. W konfliktach politycznych, gdy wybuchają tak gwałtownie namiętności, bardzo niebezpiecznym jest stawać pomiędzy młotem a kowadłem, św. Wincenty mógł być narażony na zgubę zarówno ze strony dworu, jak i ze strony Frondy, a może i z obu naraz. Wiedział on o tem i nie cofnął się, bo szedł za głosem obowiązku i serca, a bardziej serca niż obowiązku. Przedsięwziął wszakże możliwe ostrożności. Przed wyjściem z Paryża zostawił list zaadresowany do pierwszego prezydenta Molé „w którym prosi go o zapewnienie „Towarzystwa”, że jedynym zamiarem jego jest, udając się do dworu, pracować nad dziełem pokoju; że jeżeli nie miał zaszczytu widzieć się z nim przed wyjściem, to jedynie dlatego, by mieć możność zapewnienia królowej, że przychodzi do niej jedynie ze swego własnego popędu, nie radząc się nikogo co do tego, jak będzie przemawiał i jakie uczyni propozycje”.

Opuścił Paryż w nocy 14 Stycznia 1649, a że całe miasto było pod bronią, posterunki zaś wysunięte na wszystkie przedmieścia, więc musiał długo krążyć nim się dostał na drogę do Saint-Germain. Jechał konno w towarzystwie sekretarza swego Ducourneau, brata Misyonarza. Przed świtem jeszcze, gdy przybyli do Clichy, w ciemnościach omal nie ulegli wypadkowi. Kraj, nawiedzany i rabowany tak jeszcze niedawno przez bandy niemieckie, cały był pod bronią. Na odgłos kopyt dwóch koni wszystko wyruszyło przeciw nim z włóczniami i muszkietami. Na szczęście nie zupełnie tam jeszcze zapomniano proboszcza z Clichy, a gdy go poznano, pogróżki zmieniły się w radosne okrzyki. Nieco

dalej nowe niebezpieczeństwo, lecz już innego rodzaju. W Neuilly Sekwana wystąpiła z brzegów i woda zalała most. Zaklinano go, by się nie narażał, lecz on czując nagłość podjętej misji, powierzył się Opatrzności, ruszył naprzód i szczęśliwie dotarł do drugiego końca mostu. „Drżałem ze strachu, powiada towarzysz Świętego, lecz w tej chwili pomyślałem, że Bóg nie pozwoli, aby śmierć znalazł człowiek, który tak się poświęcił dla ubogich”.

Po przybyciu do Saint-Germain był zaraz przyjęty przez królowę, której przedstawił okropne położenie Paryża i do głębi wzruszony przemówił: „Czyż jest sprawiedliwym, Najjaśn. Pani, skazywać na śmierć głodową milion niewinnych, aby ukarać dwudziestu czy trzydziestu winowajców? Pomyśl Pani, o nieszczęściach, jakie spłyną na lud twój, o ruinach, o świętokradztwach i profanacyach, jakie wojna domowa pociągnie za sobą! I po co to wszystko? Aby utrzymać przy Was cudzoziemca, który jest przedmiotem nienawiści powszechnej. Skoro pozostanie kardynała jest źródłem zamieszek państwowych, czy nie jest W. Król. Mość obowiązana poświęcić go, na jakiś czas przynajmniej?” Królowa obiecała mu złagodzić o ile będzie mogła surowość oblężenia, pozwolić na wprowadzenie do miasta zboża, a co do reszty odeślała go do kardynała Mazzarini'ego. Bezpośrednio więc z apartamentów królowej udał się on do ministra i mówił mu długo, tonem najpokorniejszym, lecz z największą stanowczością. Doszło do tego, że powiedział mu: „Ustąp póki czas, Eminencyo, rzuć się w morze, by uciszyć burzę”. Mazzarini odpowiedział mu łagodnie: „Oto istotna reprimenda; nikt jeszcze dotąd nie śmiał tak mówić do mnie. Tem nie mniej, mój ojczu, ja ustąpię, jeżeli p. Le Tellier będzie tego samego zdania”.

Zręczny i przebiegły kardynał dobrze wiedział, że Le Tellier, który wszystko mu zawdzięczał, nie będzie miał takiej odwagi, I rzeczywiście wszystko na tem utknęło. Po raz pierwszy otworzono przed ministrem perspektywę ucieczki, lub wygnania. Był on tem mocno dotknięty i powiadają, że nigdy nie darował tego naszemu Świętemu. Ten ostatni wyszedł z pałacu królewskiego zagrożony niełaską, lecz z sercem spokojnem i z uczuciem spełnionego obowiązku. Oświadczył też towarzyszowi swemu: „Powiedziałem

królowej i ministrowi to, co chciałbym im powiedzieć w godzinę śmierci mojej”.

Wystawiając się w ten sposób na niechęć i niełaskę dworu, był jednocześnie przedmiotem nienawiści i zaciekłości frondystów. Pomimo przedsięwziętych ostrożności, podróż jego do S. Germain źle była tłumaczona. Mówiono o współnictwie jego z królową i Mazzarinim, przeciw którym zawziętość tłumu granic nie miała, Napadano na wszystko, nawet na ich obyczaje. Nie dziwiono się że królowa wszystko, samą nawet Francję, poświęcała dla Mazzariniego, ponieważ pomawiano ją, że żyła w grzesznych z nim stosunkach. Najumiarkowańsi sądili, że ją uniewinnia, dowodząc, że połączoną z nim była ślubem małżeńskim i że św. Wincenty uznawał i nawet sam pobłogosławił ten związek. W jednym z pism ówczesnych czytamy: „Jeżeli prawdą jest, że królowa i kardynał związani są ślubem małżeńskim i że ojciec Wincenty, superyor Misyonarzy, potwierdził ten związek, to mogą oni robić wszystko, co czynią i więcej nawet jeszcze niż to, co widzimy”¹⁾. A w innym współczesnym pamflecie na liście ulubieńców królowej przedstawiono Mazzariniego w chwili, gdy o. Wincenty daje mu ślub.

Nie poniżymy się do obrony Świętego przed niegodziwościami podobnych napaści. Św. Wincenty á Paulo nie był człowiekiem podobnym na takie usługi a i królowa posiadała na tyle godności i majestatu, że nie mogła by od niego tego wymagać. Jako hiszpanka z pochodzenia miała w sobie więcej galanterii, niż się to zwykle spotyka we Francji, a jej podziw dla talentów Mazzariniego mógł niekiedy skłonić ją do wyrażenia swych uczuć w słowach i listach, przechodzących zwykłą miarę. Lecz serce pozostało zawsze czyste, czego mamy bardzo cenne świadectwo w pamiętnikach jednej z jej dam honorowych, p. de Brienne, które tu przytaczamy.

Syn tej damy pisze: „Być może, iż królowa zbyt niepowściągliwie objawiała względy swoje kardynałowi, chociaż bez wątpienia było to całkiem niewinne. Świat, który zawsze jest złośliwym, nie mógł przemódz się, aby o tem

nie mówić w sposób uwłaczający, a łatwowierność posuwała się tak daleko, iż zaczęto wierzyć w to, czego wcale nie było. Nawet ci, którzy powinni byli nie wierzyć, uważali to za prawdziwe. Galanteria królowej, jeżeli i miała miejsce, to była czysto duchowej natury; płynęła ona ze zwyczajów hiszpańskich; było to uczucie czyste, dalekie od cienia brudu; tak przynajmniej sądzić mogę, opierając się na tem, co mi opowiadała matka moja. Królowa była bardzo dobrą dla niej, a moja matka szczerze ją miłując, miała śmiałość mówić z nią o tych niestosownościach. Rzecz tak się miała. Było to w epoce, gdy królowa łaskawość względem kardynała objawiała otwarciem w oczach dworu i gdy świat złośliwy, jak już powiedziałem, najwięcej robił hałasu o domniemanej ich miłości. P. de Brienne pewnego wieczoru, wedle swego zwyczaju przez pewien czas zostawała w skupieniu w oratorium królowej. Weszła tam królowa, nie spostrzegłszy jej; trzymała w ręku różaniec, uklękła z westchnieniem i zatonała w głębokim skupieniu. Poruszenie ze strony matki mojej, wyrwało ją z zamyślenia: „Czy to pani de Brienne? odezwała się królowa. Chodź pani, razem modlić się będziemy, lepiej wysłuchane zostaną nasze modły”. Po skończonej modlitwie, matka moja, jako prawdziwa przyjaciółka, lub też mówiąc z większym uszanowaniem, jako prawdziwa wierna sługa, prosiła królowę o pozwolenie wypowiedzenia jej otwarcie, co mówią o niej i o kardynale. Dobra królowa uściśnęła ją serdecznie i pozwoliła mówić. Matka moja mówiła z wielkim umiarkowaniem, lecz nie ukrywając nic przed królową z tego, co potwarzała przeciw jej cnocie. Spostrzegła przy tem, nie zdradzając się jednak, i mnie to opowiadała, zobowiązawszy do tajemnicy, że królowa kilkakrotnie „rumieniła się po białka oczu swoich”; były to własne jej słowa. Potem, gdy matka moja skończyła, królowa, mając oczy łez pełne, odpowiedziała: „Moja droga, czemuś mi tego wcześniej nie powiedziała? Wyznaję, że lubię go i mogę nawet powiedzieć, że lubię go bardzo, lecz uczucie, jakie mam dla niego, nie ma nic wspólnego z miłością, a przede wszystkim zmysły moje żadnego nie przyjmują w tem udziału, zachwycona jestem przymiotami jego umysłu. Czyżby to było zbrodniczem? Jeżeli w tem upodobaniu mojem jest choćby cień grzechu, to wy-

¹⁾ Chantelaure. Les Gondi, 310.

rzekam się go wobec Boga i Świętych Pańskich, których relikwie są w tej kaplicy. Upewniam cię, że odtąd rozmawiać z nim będę tylko o sprawach państwa i przerwę rozmowę wnet, gdyby miał mi mówić o czem innem". Matka moja, zostając na klęczkach, wzięła jej rękę, ucałowała i przybliżywszy się do relikwiarza zdjętego z ołtarza, rzekła: „Przysięgnij mi, Pani, błagam cię, przysięgnij na te święte relikwie, że zawsze dotrzymasz tego, coś przed chwilą obiecała Bogu. Przysięgam odpowiedziała królowa, kładąc rękę na relikwiarzu, i błagam Boga, aby mnie ukarał, jeżeli w stosunku moim było coś występnego. Ach! to wiele, rzekła matka moja cała we łzach. Bóg jest sprawiedliwym, a dobroć Jego, nie wątpij Pani o tem, wkrótce wykaże niewinność twoją". I znowu modlić razem się poczęły i ta od której wiem o tym fakcie, a o którym nie mam obowiązku milczeć teraz, gdy królowa otrzymała już nagrodę wiekuiłą, matka moja, po wiele razy mówiła mi, że obie nigdy nie modliły się z gorętszym sercem. Gdy skończyły modlitwy swoje, p. de Brienne zaklinała królowę o zachowanie tego w sekrecie. Królowa obiecała i istotnie nigdy nie wspomniała o tem kardynałowi, co według mego przekonania jest wielkim dowodem jej niewinności¹⁾.

Wszystko to potem stało się wiadomem. A tym czasem Paryż rozbrzmiewał głosami nienawiści do Mazzariniego, pogardy względem królowej i złorzeczeń przeciw św. Wincentemu. Pogrożki wkrótce zamieniły się w czyny. 18 Stycznia, w pięć dni po wyprawie św. Wincentego do Saint-Germain, ośmiuset żołnierzy naszło dom św. Łazarza, zrabowali spichlerze, w popiół obrócili zapasy drzewa w podwórzu i wszędzie sprawili straszne spustoszenie.

Wśród tych okoliczności św. Wincenty nie sądził, by obowiązkiem jego było wracać do Paryża. Głos jego nie byłby tam słuchany, a życie byłoby w niebezpieczeństwie. Zdecydował się więc użyć tego czasu na wizytację swoich domów misyjnych i Sióstr Miłosierdzia. Widziano więc go najpierw w Villepreux, u czcigodnego ojca de Gondi, potem w Etampes, w Orleanie, w Mans, Angers, Rennes,

Nantes, w Lucon. Wszędzie zostawiał ślady swego miłosierdzia i swojej pokory; dotarł aż do Richelieu, gdzie poważnie zachorował.

Następujące fakty, wyjęte z pośród wielu innych, pozwalają sądzić o działalności św. Wincentego w czasie tej podróży.

„Mieszkańcy (w Val-Puyseau) nie mieli czem obsiać pól swoich; on sprowadził zboże nasienne, a niektórym rozdawał pieniądze, odzież i narzędzia rolnicze. Aby dać zajęcie biedniejszym, rozpoczął kopanie rowów; chcąc oszczędzić wstydu biedakom, kupował ziemię od niektórych włościan, płacąc podwójną cenę wartości. Do pomocy w walce z nędzą powołał Siostry Miłosierdzia, utrzymując je swoim kosztem przez dziesięć prawie lat. Wszystkie te fakta stwierdzone zostały w procesie kanonicznym¹⁾.

W ten sposób wędrował św. Wincenty, wszędzie dobrze czyniąc.

Tymczasem Kondeusz oblegał Paryż. Św. Wincenty z głębi prowincji z niepokojem sledził za biegiem wypadków. Królowa obiecała mu dać pozwolenie na przywóz zboża do miasta; lecz rozkazy jej nie były wykonane. Napisał więc do królowej: „Pani, Paryż uradował się nad wyraz, gdy się dowiedział, że niezrównana dobroć króla i Waszej Król. Mości chciała by bez przeszkody przywożono do miasta zboże. Lecz radość obróciła się w smutek, gdy wojsko nie daje zbierać zboża, nie tylko na płaszczyźnie Saint-Denis, jak sam to widziałem, lecz również pomiędzy la Chapelle i la Villette. Są to dwie wioski, leżące o ćwierć mili od Paryża, gdzie wojskowi napadają na właścicieli, którzy ośmielają się przystępować do żniwa. Najpokorniej błagam Waszą Królewską Mość łaskawie przyjąć to moje zawiadomienie, z powodu, że Wasza Króлева Mość raczyła zrobić mi zaszczyt zapewnienia, że król nie zabronił, aby ci, którzy obsieli pola, zebrali z nich owoce zasiewów. Wiem też, że jeżeli podoba się Jego Królewskiej Mości i Wam, N. Pani, zaradzić stawianym przeszkodom, to wpłynie to bardzo na przekonanie ludu o większej dobroci W. Kr. Mości". Z powodu nie wykona-

¹⁾ Cousin. *Madame de Hautefort*. 90.

¹⁾ Maynard IV. 30.

nia rozkazów królowej, głód w mieście stał się straszny. „Wiecie, pisze św. Wincenty à Paulo dnia 4 Marca 1649 r., o szkodach, które ponosimy nie tylko w zbożu, które mieliśmy w Orsigny i u Św. Łazarza, lecz i w pozbawieniu nas wszystkich naszych dochodów. Zmusiło to nas liczebnie ograniczyć domy Św. Łazarza i Bons-Enfants, gdzie pozostało tylko siedmiu czy ośmiu księży, ośmnastu uczniów i kilku braciszków. Reszta odesłana została do Richelieu i winne miejsca. A i ci będą zmuszeni wyjść, gdy już tam nic nie zostanie. Z tej małej ilości zboża rozdaje się codziennie trzy lub cztery miary ubogim, co wielką jest dla nas pociechą w tych przykrych warunkach, wśród których pozostajemy, i pozwala ufać, że Bóg nas nie opuści”.

Wyczerpany głodem Paryż, otworzył bramy swoje. Warunki pokoju ustanowione zostały w Ruel 11 Marca, zarejestrowane 1 Kwietnia; 18 Sierpnia królowa i syn jej, król, uroczyście weszli do Paryża, mając po prawicy i po lewicy Kondeusza i Mazzariniego. Myślano, że dwaj ci wielcy ludzie zjednoczeni są na zawsze i w tem zjednoczeniu witano pożądany pokój. Niestety, było to złudzenie i najstraszniejsza wojna domowa była bardzo bliską. Jakby przeczuwając to, królowa wnet napisała do św. Wincentego, aby wracał do Paryża; czuła potrzebę rad jego. Na nieszczęście Święty nasz, chory w Richelieu, nie mógł wrócić, a może byłby zapobiegł nieszczęściom, które wnet nastąpiły.

Kondeusz był najznakomitszym wodzem swojego czasu; lecz przyznać musimy, że polityczny umysł jego nie był na wysokości wojennego geniuszu. Zaledwie wrócił, zawikłał się w odmet intryg i namiętności Frondy, a oplątany uludami ukochanej siostry swojej, księżny de Longueville, młodszego brata księcia de Conti i szwagra, księcia de Longueville, łączył swoje urazy z ich pretensjami, które jeszcze żywiej niż oni odczuwał. Miał więc zdwojoną nieprzyjaźń do Mazzariniego i oziębłość względem królowej, a „chociaż jeszcze niewinny”, jak powiada Bossuet, budził nadzieję wśród Frondowców, że mogą liczyć na jego szpadę. Mazzarini, który go szpiegował, od jednego genialnego, czy szalonego zamachu, aresztował go i osadził w Vincennes,—jego, zwycięzcę z pod Rocroy i Lens, pierwszego księcia krwi, wraz z bratem księciem de Conti i szwagrem księciem de Longueville (18 Sty-

nia 1650). Wkrótce, w obawie, aby ich nie uprowadzono z Vincennes, rozkazał ich przewieść do zamku w Havre. Trudno opisać osłupienie Paryża, oburzenie parlamentu, gniew wszystkich wielkich rodzin szlacheckich. Parlament na pełnem zgromadzeniu rozkazuje niezwłocznie uwolnić z więzienia książąt, piętnuje, jako zbrodnię publiczną, postępowanie Mazzariniego i uchwała niezwłoczne wygnanie go z Paryża. Królowa odmawia rozłączenia się ze swoim ministrem i ten przez trzynaście miesięcy (od 18 Stycznia 1650 do 6 Lutego 1651) stawia czoło szalejącej burzy. Czyni to z wielką zręcznością, lecz i z pogardą dla rzeczy najświętszych. Biskupstwa, opactwa, dobra kościelne, wszystko rozdaje nawet najniegodniejszym, aby wytworzyć sobie stronników. Można sobie wyobrazić wzburzenie Francji religijnej, poczynającej się odradzać, gdzie i wśród duchowieństwa a nawet wśród świeckich, mnożyli się najzarliwsi słudzy Boga. Co się stanie z tem wszystkim, co przedsięwzięto dla odrodzenia i oczyszczenia Kościoła francuskiego? Na co się zdadzą konferencje śródowe, coroczne rekolekcje, seminaria. jeżeli zjawi się nowy zastęp lichych biskupów i złych opatów?

Bardziej od innych wzruszony św. Wincenty à Paulo po wiele razy chodził do królowej i błagał ją na klęczkach by myślała o Bogu i o zbawieniu swoim¹⁾, Ojciec de Gon-

¹⁾ Oto kilka notatek zapisanych przez Mazzariniego w kajecie o św. Wincentym i innych członkach partyi, ludzi świętobliwych, a nieprzyjaznych jemu:

2-gi carnet, str. 62. „Vanno a trovar M. Vincent, e sotto pretesto di affectione alla Regina li dicono che la sua riputazione perde per la galanteria”.

Stronica 39. „Che M. Vincent vuol metter avanti il padre Gondi”.

6-ty carnet, str. 77. M. Vincent nella troppa di Menele (Maignelais). E il canale per il quale tutto passa all' orecchie di S. M”.

3-ci carnet, str. 10. „S. M. al padre Gondi che non voleva esser governata e che se mai lui avesse creduto che la fosse, lo pregava a sortir della cella per venir ad avvertirla”.

Stronica 33. „El padre Gondi avia ablado en mi prejudicio como lo avia hecho tambien el padre Lambert y M. Vincent” (Chante-lauze 295).

di ze swej strony opuszcza ustronie, gdzie się był zamknął, aby przedstawić królowej na co naraża się sama, pozwalając na pustoszenie Kościoła. Dwóch świętobliwych biskupów z Lisieux i z Beauvais, którzy byli członkami „rady sumienia” takie same podnoszą żale. Olier przyłącza się do tego, a z nimi, ze św. Wincentym á Paulo najświętobliwszej damy zgromadzenia, księżna d' Aiguillon, margrabina de Meignelais, p. de Hautefort i t. d. Lecz Mazzarini był nieugiętym. Zamknawszy się w ostatnich szatach swoich, postanowił zgnieść to, co nazwał partią dewotów; biskupa z Lisieux wyprawiono do jego dyecezyi; o. de Gondi dano rozkaz, by noga jego nie powstała u dworu. Cofnięto przez ambasadora francuskiego przy Stolicy Świętej notę, proszącą o kapelusz kardynałski dla biskupa z Beauvais i ten również musiał opuścić Paryż. „To usunięcie biskupów z Lisieux i z Beauvais zdało pod wszechwładzę Mazzarinemu radę sumienia, u której nie spotykał już żadnego oporu dla zamiarów swoich. Właściwa kardynałowi brutalność nie wystąpiła jawnie względem Świętego. Mazzarini, nie chcąc wyraźnie mieć przeciwnika w nim, usuwał trudności w inny sposób. Zawiesił na czas jakiś posiedzenia „rady sumienia”, a następnie zbierał ją bardzo rzadko¹⁾. I w ten sposób mógł dalej przeprowadzać fatalne nominacje za pomocą dekretów na beneficja, któremi ostatecznie rozporządzał samowładnie.

Ani pobożność królowej, ani uwagi najświętobliwszych osób do niczego by nie doprowadziły, gdyby grom nie uderzył z innej strony i gdyby gniew parlamentu, szlachty i ludu nie został na nowo wzbudzony przez uwięzienie książąt. Oburzenie powszechne wybuchnęło z taką mocą, że Mazzarini stracił całą pewność siebie, ratował się ucieczką z Paryża w nocy, nie mając odwagi uprowadzać ze sobą ani królowej, ani młodego króla. Niespodzianie przybył on do Havre'u, wszedł do zamku i sam oznajmił więźniom ich uwolnienie. Stary lis wyobrażał sobie, że książęta mile przyjmą ten wybieg. Lecz Kondeusz przyjął go z takim oburzeniem, że Mazzarini stracił głowę; z pośpiechem opuścił Fran-

cyę i cofnął się nad brzeg Renu do Kolonii. Tymczasem książęta wrócili do Paryża wśród entuzjastycznych okrzyków tłumu: „Niech żyje król! Niech żyją książęta! Precz z Mazzarinim!”

Trzeba czytać piękny list o. Olier, napisany do królowej, zgębionej temi wiadomościami i dotkniętej do żywego wyjazdem Mazzariniego. „Zaufanie, które okazała mi Wasza Królewska Mość w tych ostatnich dniach, wyznając, że nie korzystała jak należy z przeciwności, zesłanych na nią przez Boga, podaje mi myśl napisania listu tego. Zdobywając się na ten śmiały krok, liczę na dobroć W. Kr. Mości okazowaną mi dotąd, przyjmując z zadowoleniem to, com mówił w szczerości serca mojego, a w czem miałem na względzie dobro jej osoby, a przede wszystkim jej duszy, której zawsze zgłębi serca życzę zbawienia. Oto usposobienie, w którem utwierdzać się powinna Wasza Królewska Mość w tych czasach tak oplakanych i tak ważnych dla jej uświętobliwienia, chociaż ciężkich dla starego człowieka, i jak święty użytek należy robić z tych oplakanych przeciwności.

„Poddaj się Pani sprawiedliwości Bożej, widząc, że odchodzi od ciebie osoba, dana ci przez Boga, w której pokładałaś całkowite zaufanie. Opatrzność, dopuszczając to oddalenie, miała w tem powody i przyczyny dalekie od ludzkich zamysłów; trzeba je przyjąć z wiarą i poddaniem się wśród zmian i ponurych wypadków życia.

„Rozważ Pani słowa, któremi Pan Nasz zwraca się do jednego biskupa, jakoby do króla duchownego w królestwie swego Kościoła, chcąc mu zarzucić chłód serca i oziębienie w pierwotnej miłości jego. „Odejdę, rzecze mu, obalę królestwo twoje, jeżeli się nie upokorzysz; myśl o skrusze serca i podjęciu na nowo dzieł, jakieś czynił przystępując do rządów”. Upomnienia te tak surowe, ale w każdym razie pełne miłosierdzia, utwierdziło go w obowiązku i utrzymało go na tronie. Pani, poddaj się na nowo duchowi królestwa Pana Naszego, który powinien żyć w tobie, w królestwie twojem, we wszystkim, co od W. Kr. Mości zależeć będzie. Wróc więc Pani do dawnej gorliwości, z którą rozpoczęłaś regencyę swoją. Rozpoczęłaś ją z żarliwością i gorącym pragnieniem, aby Bóg panował w Kościele francuskim, broniłaś spraw Bożych z podziwu godną odwagą;

¹⁾ Couzin, cytowany przez Chantelauze'a 269.

przysiębrałaś należyte środki, aby rozdawnictw beneficjów, a przedewszystkiem nominacye na biskupstwa czynione były tak, by dostawały się najgodniejszym w królestwie twojem, zgodnie z obowiązkiem sumienia twego. Ujrzał Bóg, że w ostatnich czasach działo się już inaczej, bo oddałaś Pani te sprawy osobie, która nie posiadała ani tej gorliwości, ani mocy potrzebnej, by opierać się prośbom i natręctwom. Było to nadużyciem, które w królestwie Bożem taką szkodę wyrządza; szkody tej wielkość poznasz Pani dopiero w dzień sądu, gubi ona wiele dusz, z których najmniejsza większą ma wartość, niż królestwo całe, niż cały świat materialny; szkodę, której może niepodobna będzie ci, Pani, naprawić. Pani! dawanie beneficjów, dla wynagrodzenia dzieci za usługi wyświadczone królestwu przez ojców,—to przecie symonia. Bóg powołuje ludzi na te godności w tym celu, aby Go czczono i służono Mu w Jego Kościele przez ministrów wiernych, gorliwych, o chwałę Jego i o zbawienie dusz. I ty, Pani, ze swej strony, rozdając te urzędy, nie powinnaś mieć innego celu. Poznaj, Pani, miłosierdzie Boże nad sobą. Pani! obdarzałaś zaufaniem ministra swego, aby użyć sobie męczących trosk o państwo i poruczałaś mu prowadzenie spraw ważnych; lecz gdy sprawa Boża i sprawa Kościoła cierpiała na tem, a dusza twoja obciążoną była winą niegodnego rozdawnictwa opactw i biskupstw, Bóg odjął ci oporę, na której polegałaś, usunął osobę, która te szkody wyrządzała w twojem imieniu; a uczynił to, aby znowu otworzyć oczy W. Kr. Mości na ten tak zasadniczy obowiązek. Chciał On usunąć tę przeszkodę do zbawienia i dać ci znowu możność rozpoczęcia służby Jemu, szczepiąc dobro i zadowolenie w królestwie Twojem przez nominacye wedle woli Jego.

„Znoś więc Pani oddalenie ministra swojego, znoś z miłością i radością. Dziękuj Bogu, że chciał by dusza Twoja nie ściągała już na siebie odpowiedzialności, jak dotąd, za dalsze zaniedbania, któremi zostawała tak obciążoną, chociaż z cudzej winy. Znoś, Pani, tę przeciwność, najpierw aby spełnić swoją powinność, a następnie, aby o ile będzie można naprawić zło zrządzone przez nominacye, które nie były ważne na wagach przybytku Pańskiego. A od tego w każdym razie zależy cześć należna Bogu w Jego Kościele, zba-

wienia tylu dusz, a szczególnie twoje Pani szczęście lub nie-
szczęście wieczne. Nie zawieraj osobie, która na nie-
bezpieczeństwo zbawienia narażać cię może. Nie pozbywaj
się leżacego na tobie brzemienia, troski o stosowne
rozdawnictwo beneficjów. Badaj dobrze osoby (kandydatów)
otaczając się światłem prawdziwych sług Bożych; u nich za-
sięgaj wiadomości dokładnych o najgodniejszych duchownych
w królestwie; tym przeznaczaj beneficjów, a w ten sposób u-
przedzając śmierć biskupów, unikniesz natręctwa dworaków.
Nigdy nie powinnaś Pani ustępować co do tego, bo nie wol-
no ci narażać na szwank zbawienia swojego i tylu dusz, a
przedewszystkiem chwały Bożej. Bądź niezłomną w tem
i nie ustępuj przed jakimibądź względami ludzkimi, które
zawsze niczem są wobec Boga. Zresztą przy wierności two-
jej w służbie Bogu, zawsze dadzą się naprawić następstwa,
jakiemy mogła pociągnąć za sobą słuszną odmowa twoja. Je-
żeli okażesz się W. Kr. Mość żarliwą w sprawie utrzyma-
nia królestwa Bożego, którem jest Kościół, i nie dopuścisz
do upadku chwały Jego, to będzie On czuwał nad podtrzy-
maniem twego królestwa.

„Stan mój (duchowny) nie pozwala mi wdawać się w
roztrząsanie rzeczy światowych, więc mówię li tylko o znacz-
nych omyłkach, dotyczących się stanu duchownego. Smutek
i boleść jakich pod tym względem doznaję nad wyraz mnie dręczą;
i to ośmiela mnie, że pozwalam sobie mówić z całą szcze-
rością, wierząc, że Twoje serce, Pani, żąda tego. Mam u-
fność, że pozwoli mi W. Kr. Mość, słudze i poddanemu swe-
mu wylać swe żale i jęki u stóp twoich, aby wybla-
gać by Bóg był chwalonym w całym królestwie, a przede-
wszystkiem, w sercu królowej, gdyż On chce panować w niej
i przez nią nad wszystkimi poddanymi swymi”.

Należy żałować tych czasów, kiedy jeden z najpokor-
niejszych kapłanów mógł w ten sposób przemawiać do kró-
lów. Św. Wincenty brał tym sposobem udział w zabiegach;
jaki czyniły u królowej najświętobliwsze osoby, aby ją pokrze-
piać w utrapieniu jakiego doznała z powodu ustąpienia Maz-
zarinięgo. Widziała wzmagającą się z dniem każdym rewo-
lucję; nie miała żadnego zaufania do Kondeusza, podejrze-
wając go, że ją zdradza. Niepokojona intrygami p. de Longue-
ville i p. de Chevreuse, drżała o syna tak jeszcze młodego.

Nie widziała w tem położeniu innego ratunku prócz geniuszu Mazzariniego. On tylko jeden mógł ją wydzwignąć z tej przepaści. Oświadczała, że położy kres nadużyciom, które mu zarzucano, lecz niech on coprędzej powróci i podniesie chwiejącą się powagę królewską. Na wysłany potajemnie rozkaz (17 Listopada) Mazzarini pośpieszył zebrać niewielką armię i z dziesięcioma tysiącami ludzi przybył na pomoc królowi. Wieść ta wzburzyła niesłychanie Fronde, która widziała w tem szyderstwo z opinii publicznej. Parlament ogłasza Mazzariniego winnym zbrodni obrazy majestatu i burzycielem porządku publicznego, rozkazuje, aby był ścigany przez gminy, poleca sprzedać ruchomości, obrazy i bibliotekę kardynała, a z sumy uzyskanej z tej sprzedaży odkłada sto pięćdziesiąt tysięcy liwrow, jako nagrodę, temu, kto dostawi winowajcę żywego lub martwego¹⁾.

Przy tej sposobności ujawniła się genialna zręczność Mazzariniego. Jeden przeciw wszystkim, nie waha się; rozpoczyna swój pochód, łączy się z armią królewską i zdaje dowództwo Turenne'owi. Fronda ze swej strony stawia na czele wojska Kondeusza. I rozpoczyna się ów sławny w XVII wieku szereg marszów i kontrmarszów. „Co za obozy! jakie piękne marsze! jaka śmiałość! jakie ostrożności wojskowe! jakie niebezpieczeństwa! Czy widziano kiedy dwóch ludzi tej samej siły, o charakterach tak różnych, jeżeli nie przeciwnych nawet? Jeden zdaje się działać z głęboką rozwagą, drugi pod wpływem natchnienia; żywszym więc jest; lecz zapal jego nie ma cech pośpiechu; tamten na pozór zimny, lecz nigdy nie opóźnia się, śmielszy w czynie, niż w mowie, ma już wewnętrzne postanowienie, nawet wtedy, gdy zdaje się być zaambarasowanym zewnątrz. Pierwszy od czasu, gdy się ukazał w armii, daje wysokie pojęcie o swojej wartości i można się po nim spodziewać rzeczy nadzwyczajnych, lecz postępuje zawsze planowo i jakby po stopniach dźwiga się do czynów zdumiewających, którymi też zakończył bieg życia swego; drugi, jak człowiek natchniony, od pierwszej bitwy dorównywa mistrzom wielkim; pierwszy przez mężne i śmiałe kroki w podziw wprowadza ludzi, wo-

bec czego milknąć musi zawiść wszelka; drugi olśniewa odrazu takim blaskiem, że nie ma się odwagi zaczepiać go; pierwszy nakonec głębokością geniuszu swego i niewyczerpaną odwagą pokonywa wszelkie niebezpieczeństwa i umie korzystać nawet z niepowodzeń i niestałości losu; drugi, mając za sobą blask wysokiego urodzenia, obok genialnych myśli, posiadający zdumiewający instynkt, którego tajemnicy nie znają ludzie, zdaje się być zrodzony na to, by los nagiął do swoich zamiarów i przezwycięzył nawet samo przeznaczenie¹⁾.

Te strategiczne operacje wiodły dwóch genialnych przeciwników do bram przedmieścia św. Antoniego. Kondeusz oparł się o nie i znalazł się pomiędzy następującą armią Turenne'a i zamkniętymi murami Paryża. Jeszcze chwila i będzie zgnieciony. W tym momencie księżniczka de Montpensier, nazywana *la grande Mademoiselle*, zawzięta frondystka, powzięła śmiałe postanowienie. Ona, z rodziny królewskiej, wnuczka Henryka IV, synowica Ludwika XIII, kuzynka Ludwika XIV, ona kazała strzelać z dział królewskich, z dział Bastylii do wojsk królewskich i oswobodziła Kondeusza, powstrzymując Turenne'a, a otwierając przed pierwszym z nich bramy Paryża. Mówiono, że tym czynem zuchwałym zabiła męża swego, bo od tej chwili małżeństwo królewskie stało się dla niej niemożliwe. Lecz mało dbała o to, sądząc, że tem ratuje Francję; nie uratowała jej wcale, lecz pograżyła w głębszą jeszcze przepaść. Przez wpół otwarty wyłom rzuca się Kondeusz, wkracza do Paryża cały krwią obłany, w zbroi noszącej ślady ciosów, ze szpadą w rękę, z warstwą kurzu na twarzy, w stanie zupełnego zapamiętania, z myślą jedynie o ranionych przyjaciółach, szukając ich, wszędzie się o nich rozpytuje i wybuchając łkaniem na wieść o śmierci którego z nich. I wówczas ujawniły się odrazu najwyższy zapal Frondy i zupełna jej niemoc: ratusz został zawładnięty 4 Lipca, ludność rozzuchwalona, podtrzymywana przez pijane żołdactwo, odważa się na wybryki niesłychane; głośno domagano się głowy Mazzariniego i reszty jego ruchomości dla opłacenia tego, kto go dostawi żywego lub martwego.

¹⁾ Feillet, 319.

¹⁾ Bossuet, *Oraison funèbre du prince du Conde* XII, 627. Paris, Louis de Vives 1864.

Miasto, obłożone ogromnymi opłatami, ugięło się pod brzemieniem podatków, anarchia dochodziła do ostatnich granic, a wślad za nią kroczyło ubóstwo, głód i zaraza.

Paryż wówczas poznał klęski, które pustoszyły wszystkie prowincje, a o których słyszał od tak długiego czasu, nie bardzo wierząc w ich rzeczywistość. Poznał, co to jest, gdy ludność mrze z głodu, gdy ją dziesiątkuje morowe powietrze, poznał zarazem czym jest ksiądz Misyonarz i Siostra Miłosierdzia; poznał co warte jest w czasie epidemii dzieło domu podrzutków, dzieło zup ekonomicznych, dzieło kociolków miłosierdzia; poznał, przede wszystkim i ostatecznie, czym był św. Wincenty à Paulo. W liście 21 Czerwca 1652 znajdujemy wyliczenie dzieł miłosiernych, wykonanych względem ubogich Paryża: „Zupy rozdają się codziennie piętnastu lub szesnastu tysiącom ubogim tułaczom i wstydzącym się żebrać; ośm do dziewięciuset młodych dziewcząt znajduje schronienie przed nędzą lub występkiem; nakoniec przysyłają nam tu ubogich proboszczów, wikaryuszów i innych kapłanów ze wsi, którzy porzucili swoje parafie i uciekli do miasta. Przychodzą do nas codziennie, otrzymują pożywienie i ćwiczą się w sprawach, które powinni bliżej znać i praktykować. Oto jak się podobało Bogu abyśmy uczestniczyli w dobrych przedsięwzięciach. Biedne Siostry Miłosierdzia więcej od nas mają do czynienia. Przygotowują i rozdają codziennie zupy; u p. Le Gras pozostaje tysiąc trzysta ubogich, wstydzących się żebrać; na przedmieściu Saint-Denis coś do ośmiuset tułaczy; w samej tylko parafii świętego Pawła cztery czy pięć tych dziewczyn obsługuje pięciuset ubogich, oprócz sześćdziesięciu, czy ośmdziesięciu chorych na ich opiece pozostających. Inne gdzieindziej czynią to samo. Proszę was, módlcie się za nich i za nas”¹⁾).

Św. Wincenty dnie i noce spędzał na klęczkach u stóp świętych ołtarzy. Wytworzyło się położenie, w którym pomoce ludzkie nie wystarczają, trzeba, aby Bóg bezpośrednio współdziałał. Aby tę pomoc uzyskać św. Wincenty oddawał się najsurowszym pokutom; domagał się też tego od księży Misyonarzy, od Sióstr Miłosierdzia i od wszystkich świę-

tobliwych dusz, którymi kierował. Celem tych modłów, tej pokuty było otrzymanie pokoju, pogodzenie wszystkich stronnictw, powrót króla i królowej. Gdy to się stanie, łatwiej się dadzą opatrzyć inne rany, Tą też myślą powodowany, powziął zamiar napisania do Papieża; on jeden może sprowadzi pokój i pojednanie. Oto list datowany 16 Sierpnia 1652 roku.

*Ojcze, najświętszy!*²⁾

„Przypadając najpokorniej do stóp Waszej Świętobliwości, ja, najnędzniejszy z ludzi, ofiaruję się na nowo, oddaję się i poświęcam Mu i osobę moją i naszą małą Kongregację księży Misyonarzy, której, chociaż bardzo niegodny, jestem przez Stolicę Apostolską mianowany generalnym superyorem. Ufając ojcowskiej dobroci Twojej, która przyjmuje i wysłuchuje wszystkich synów swoich, nawet najmniejszych, ośmielałem się przedstawić nad wyraz nędzny i godny współczucia stan naszej Francji.

„Dom królewski rozdzielony jest niezgodą; lud rozdarty skutkiem zbrodniczych stronnictw; miasta i prowincje nekane przez wojny domowe; wioski, miasteczka i osady ruinowane, palone; lud roboczy nie zbiera tego, co posiał i nie obsiewa pól na lata przyszłe; wszystko jest łupem żołnierstwa. Mieszkańcy wystawieni są nie tylko na łupiestwa i rozboje, lecz nawet na śmierć i wszelkiego rodzaju uciski; większa ich część, gdy uniknie miecza, staje się pastwą głodu. Nawet kapłani nie uchodzą rąk złoczyńców i w sposób nieludzki i okrutny są przez nich traktowani, torturowani i zabijani. Dziewice bywają bezczeszczone, a co więcej, nawet same zakonnice wystawione na ohydny libertynizm; świątynie profanowane, grabione, rozwalane, a te które pozostały, prawie wszystkie opuszczone zostały przez pasterzy i w ten sposób lud prawie zupełnie pozbawiony Mszy świętych, sakramentów i wszystkich pomocy duchownych. Straszno pomyśleć, a jeszcze straszniej mówić o tem, że Najświętszy Sakrament ciała Pańskiego jest bluźnierczo poniewierany przez samych katolików, którzy zabierając naczynia święte, rzucają na ziemię i depczą nogami Najświętszą Eucharystię. A cóż czynią heretycy, którzy nie wierzą w tę tajemnicę? Ani śmiem, ani mogę wypowiedzieć tego; za mało jest słyszeć, lub czytać o tem, trzeba to widzieć i stwier-

¹⁾ Lettres II. 438.

dzić własnymi oczyma. Wiem, że Wasza Świętobliwość obwinić mię może o zbytnią śmiałość, że ja prosty człowiek bez imienia śmiem przedstawiać te rzeczy Zwierzchnikowi i Ojcu wszystkich chrześcian, tak dobrze i tak zupełnie powiadomionemu o sprawach wszystkich narodów, a szczególnie narodów chrześcijańskich. Lecz błagam Cię, Ojcie święty, przebac, że mówię: „Mówić będę do Pana mojego, a czem proch i popiół”. Istotnie niema innego lekarstwa na wszystko zło nasze, nad pomoc, jakiej może nam udzielić Świętobliwość Wasza przez ojcowską troskliwość, zmiłowanie i powagę swoją. Wiem, Ojcie święty, że bardzo jesteś zasmucony tem, czego doznajemy i że nie jednokrotnie usiłowalesz stłumić wojny domowe nawet w samym ich związku, że w tym zamiarze wysyłałeś listy apostolskie, że nakazywalesz najczcigodniejszemu Nuncyuszowi apostolskiemu skuteczne, w Twojem imieniu, poczynić kroki. Wiem też, że on, o ile od niego zależało, przedziwnie chociaż, jak dotąd, bezużytecznie przedsiębrał, aby służyć Bogu i Waszej Świętobliwości. Lecz, Ojcie święty, dzień ma godzin dwanaście i czego się nie dało zrobić raz, może osiągnie się przy drugim kołataniu. Nie ukróciło się ramię Pańskie i mocną mam wiarę, że Bóg staraniom i troskliwości Pasterza powszechnego Kościoła swojego zachował chwałę otrzymania nakoniec pociechy po trudach naszych, szczęścia po wycierpieniu tylu zła, pokoju po wojnie, wznowienia jedności w rodzinie królewskiej, tak bardzo zwaśnionej przez tyle niezgód, wspomnienia ludów zniszczonych tak długą wojną; zwrócenia życia ubogim, przygnębnym i prawie umierającym z głodu, przyjscia z pomocą wsiom, zupełnie spustoszonej i prowincjom zrujnowanej, podniesienia kościołów rozwalonych, przywrócenia bezpieczeństwa dziewczicom i powrotu do kościołów kapłanów i duszpasterzy, nakoniec powołania nas wszystkich na nowo do życia. Racz Wasza Świętobliwość to zdziałać! Pomnażając błagania moje, proszę o to i zaklinam najpokorniej na miłosierdzie Pana Naszego Jezusa Chrystusa, którego zastępcą na ziemi i przedstawicielem jesteś, Ojcie święty, racz mi udzielić błogosławieństwa swego”¹⁾.

¹⁾ Lettres I. 464. № 899.

Tymczasem pragnienie pokoju stało się powszechnem; nędza rozpanoszyła się strasznie; czekano tylko na sposobność do zawieszenia walki. Królowa, idąc za poradą Mazzariniego, dnia 26 Sierpnia ogłosiła powszechną amnestyę, która bez wyróżnienia i zastrzeżeń obejmowała wszystkich, w jakibądź sposób mających udział w wypadkach lat ostatnich. Był to sygnał do rozproszenia Frondy. Wszyscy rzucili się do korzystania z amnestyi. Widziano wciąż deputacyę, dążącą do Compiegne, gdzie przebywał dwór. „Młody król Ludwik XIV przyjmował wszystkie te deputacye z tym tak wczesnie objawiającym się w nim blaskiem majestatu, który nadawał powab i powagę każdemu słowu jego”¹⁾. Wszystkie deputacye wracały w zachwycie i z większą natarczywością domagały się końca nienawistnej wojny i powrotu króla.

Trudność polegała jeszcze na tem, że nie wiedziano, jak postąpić; Mazzarini chciał wejść tryumfalnie do Paryża z królem i królową. Zdawało się, że ma prawo do tego, bo bądź co bądź nie kto inny, tylko on doprowadził do tryumfu. Anna Austriacka i syn jej czuli to i bardzo pragnęli, by nie ominął go ten zaszczyt. Lecz z drugiej strony były słuszne obawy, aby obecność jego nie obudziła na nowo przytłumionych nienawiści i aby okrzyki gniewu przeciw niemu, nie przyćmiły tryumfalnego wjazdu króla. Św. Wincenty nie miał żadnych pod tym względem wątpliwości. W jego przekonaniu wejście królowej i króla w towarzystwie Mazzariniego, byłoby błędem politycznym. Prawdopodobnie mówił on o tem królowej, lecz nie tam nie wskórał. Zdecydował się więc zwrócić wprost do Mazzariniego i rachując na trzeźwość i roztropność jego umysłu, przedstawić mu stan rzeczy. List w tym przedmiocie datowany jest 11 Września 1652 r. Podajemy go prawie w całości, oświetla bowiem jedną z pięknych stron duszy Świętego.

Eminencyo!

„Ośmielam się pisać do Waszej Eminencyi i błagam ją o łaskawe przyjęcie mego listu a także jego treści. Widzę, jak Paryż wraca do dawnego stanu i usilnie domaga się

¹⁾ Cousin. Madame de Longueville. t. II. 171.

króla i królowej. Kogo tylko gdziekolwiek spotkam, wszędzie słyszę to samo. Niema nikogo, aż do dam Miłosierdzia, najpierwsze miejsce w Paryżu zajmujących, któreby mi nie mówiły, że przy zbliżeniu się Ich Królewskich Mości, wystąpią uroczyście, aby ich przyjąć w tryumfie.

„Mniemam, że Wasza Eminencya uczyni akt godny swojej dobroci, doradzając królowi i królowej objęcie w posiadanie swego miasta i serc ludzkich w Paryżu; lecz ponieważ dużo składa się na to względów, przeto przedstawiam trudności, które wydają mi się poważnemi i proszę pokornie o głębsze rozważenie ich przez Waszą Eminencyę.

„Pierwsza jest ta, że chociaż w Paryżu znajduje się znaczna ilość dobrych obywateli, którzy czują tak, jak powiedziałem, to jednak jest jeszcze i wielu takich, którzy żywią przeciwne uczucia, a jeszcze inni, którzy stoją pomiędzy temi dwoma obozami. Poza tem wątpię, aby byli ludzie przeciwnie myślący, lub zupełnie obojętni. Lecz gdyby byli, to i ci uniesieni będą zapalem i entuzjazmem olbrzymiej większości, zwłaszcza też wobec amnestyi, która odsuwa grozę kary od winnych.

„Obawiać się można chyba tylko obecności przywódców stronnictw wrogich, co mogłoby wywołać powtórzenie się dni Pałacowych i Ratuszowych. Mniemam wszakże, iż jeden z nich szczęśliwy będzie z możliwości pogodzenia się z królem, a drugi, widząc Paryż poddający się królowi, podda się też i on; jestem tego pewien, wiem to z dobrego źródła.

„Może ktoś powie Waszej Eminencyi, że trzeba ukarać Paryż, aby nauczyć go rozumu; a ja myślę, że właściwszem jest, aby Wasza Eminencya przypomniała sobie, jak zachowali się królowie, za których panowania buntował się Paryż. Wasza Eminencya znajdzie, że postępowali łagodnie i że Karol VI z powodu ukarania wielkiej liczby buntowników rozbrojonych, którzy zdali miasto, dolał tylko oliwy do ognia i sprawił, że przez szesnaście lat powtarzały się rozruchy i bunt przeciwko królowi, oraz nawiązywanie stosunków ze wszystkimi nieprzyjaciółmi państwa. Nakoniec Henryk III, Henryk IV nie dobrze też na srogości swojej wyszli.

„Jeżeli mniemają, że przed powrotem Ich Królewskich Mości do Paryża, należałoby traktować z Hiszpanią i książętami, to pozwól Eminencyo mi oświadczyć, że w takim razie Paryż

wymieniony będzie w artykułach pokoju i pożądane skutki amnestyi przypiszą nie królowi, lecz Hiszpanii i rzeczonym książętom, dla których zachowałby taką wdzięczność, że stanąłby po ich stronie przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

„Niektórzy mogą powiedzieć Waszej Eminencyi, że Jego osobistym interesem jest, aby król nie dopuścił do łaski swojej tego ludu i nie wracał do Paryża bez Waszej Eminencyi, lecz, że trzeba aby sprawy zostawały w zamieszaniu i wojna podtrzymywana była, aby uwidocznic, że to nie Wasza Eminencya wzbudza burzę, lecz złośliwość umysłów, które nie chcą poddać się woli swego króla. Na to odpowiem, że nie chodzi o to, czy powrót Waszej Eminencyi będzie przed, czy po powrocie króla, byle był. Król po powrocie do Paryża może zawezwać Waszą Eminencyę, kiedy mu się to będzie podobało, co też z pewnością uczyni. Wreszcie skoro tak jest, że Wasza Eminencya, który głównie dbasz o dobro króla, królowej i państwa i doprowadzenie do jedności domu królewskiego, a Paryż do posłuszeństwa królowi, to napewno pozyszczesz umysły w ciągu krótkiego czasu i, jak powiedziałem, zostaniesz wezwany.

„Oto co mam śmiałość przedstawić, mając ufność, że mi za złe poczytane nie będzie, szczególnie gdy zapewnię Waszą Eminencyę, że nikomu, prócz jednego wiernego sługi Waszej Eminencyi, nie mówiłem o tem, iż odważam się pisać do niego i że nie mam żadnych stosunków z dawnymi przyjaciółmi moimi, którzy są przeciwni woli króla, że nikomu zupełnie nie komunikowałem tego listu i że będę żył i umierał w posłuszeństwie, jakie winien jestem Waszej Eminencyi, którego szczególnie dał mi Pan Nasz dla spraw serca memu bliskich. Zapewniając o tem, zostaje zawsze Waszej Eminencyi najpokorniejszym, najposłuszniejszym i najwierniejszym sługą”¹⁾.

Zgodnie z pragnieniem św. Wincentego, młody król i matka jego, Anna Austriacka, weszli uroczyście do Paryża 21 Października, wśród radosnych okrzyków ludu. Mazzarini tam nie było. Usunął się on do Bouillon i cierpliwie

¹⁾ Lettres II, 475, № 966.

w ciągu przeszło trzech miesięcy czekał, aż się umysły uspokoiły. Codzień goiły się rany i nastąpiła chwila, gdy szlachta, parlament i lud rozczarowani względem Frondy, widząc, że ona w ciągu czterech lat była wielką przeszkodą w rozwoju pomyślności Francji, tłumnie zwrócili się do Mazzariniego i zgotowali mu entuzjastyczne przyjęcie. Stało się to 3 Lutego 1653 r. Fronda skończyła się, zostawało tylko opatrzyć rany przez nią sprawione. Lecz to nie było już dziełem Mazzariniego; tu zaczynało się posłannictwo świętego Wincentego à Paulo.

ROZDZIAŁ IV.

Św. Wincenty à Paulo pracuje nad naprawą klęsk, sprawionych przez wojnę i przez Frondę — Wielkość i piękno ruchu religijnego tej epoki. 1652 — 1660.

Skoro okręt, wystawiony na gwałtowną burzę, po nastąpiej ciszy wpływa do portu, oddaje się go w ręce doświadczonych marynarzy, którzy naprawiają części uszkodzone, a wzmacniają osłabione. Podobne było położenie Francji katolickiej w 1652 roku i rola, którą okoliczności, a bardziej jeszcze własne serce miłosierne nasunęły św. Wincentemu à Paulo. Miał już on lat siedemdziesiąt sześć, zdrowie osłabione, nogi pociągał z trudnością za sobą, a co więcej był prawie sam tylko; wszyscy wielcy ludzie i święci, którzy z nim pracowali nad chrześcijańskim odrodzeniem Francji na początku wieku, już poumierali. Św. Franciszek Salezy w 1622, kardynał de Bérulle w 1629, de Condren w 1641, o. Bourdoise w 1655, Olier, najmłodszy z pomiędzy nich, świeżo zgasł na ręku jego. Został więc sam do dźwigania brzemienia tego drugiego odrodzenia Francji, a pozostawało mu już tylko siedm czy ośm lat życia, której temu dziełu poświęcił. Były to jednak lata najowocniejsze w jego działalności; pełen zapału, pomimo tak późnego wieku, bogaty w doświadczenie, przeniknięty miłością Boga ludzi, promieniający świętobliwością, zabrał się do dzieła.

Widok, który św. Wincenty á Paulo miał przed oczyma po swoim powrocie do Paryża, był nad wyraz smutny, zdolny odjąć odwagę każdej mniej pobożnej niż jego duszy. Wiele dzieł jego leżało w gruzach; nędza, której usiłował zapobiedz, wzmagala się; nigdy jeszcze nie widziano tylu dzieci porzuconych, a nie było już pieniędzy na ich przygarbienie, tyle dziewcząt opuszczonych przez matki, bez wychowania, bez jakiegokolwiek nauki, bez środków do życia,—a nie było schronisk, mogących je pomieścić i od zguby uratować; wyuzdanie wojny, rozpusta Frondy pomnażały liczbę tych nieszczęśliwych, które stały się grzesznicami, a nie miały środków, aby się stać pokutującami. Nigdy nakoniec nie było tylu ubogich na ulicach Paryża i nędzarzy, skazanych na śmierć głodową. Wreszcie nieponiów, wyzyskujących domniemaną nędzę, a grożących bogatszym, liczono w Paryżu czterdzieści pięć tysięcy. W okolicach działo się jeszcze gorzej. Do walki z tymi zastępami nędzy św. Wincenty, jak wiemy, stworzył armie Miłosierdzia, lecz nieszczęśliwe czasy powiększyły pierwsze, a uszczupliły drugie. Najwięcej ucierpiało męskie stowarzyszenie Miłosierdzia; ucierpiało ono od wojny, a jeszcze więcej od Frondy. Umysły, podniecone wstrząśnieniami politycznymi, zwykle tracą czułość serca na sprawę Miłosierdzia. Przedwczesna śmierć p. de Renty w r. 1649 zadała cios stowarzyszeniu mężczyźni, a cios ten byłby śmiertelnym, gdyby św. Wincenty nie uchwycił sprawy w swoje ręce i nie odnowił jej w r. 1652. Lecz, oczekując na to zmartwychwstanie, sprawa zaledwie tlała, ku wielkiemu uszczerbkowi ubogich. Stowarzyszenie dam Miłosierdzia nieco mniej ucierpiało. Kobiety lepiej się opierają przeciwnościom. Wszakże liczba dam stowarzyszonych z dwóchset a nawet dwóchset pięćdziesięciu, jakie były w pierwszych czasach, spadła do stu pięćdziesięciu, a była chwila, gdy liczono ich tylko dziewięćdziesiąt. Na domiar złego po prezydentowej Goussault, świeżo utracono prezydentową de Lamignon, duszę nad wyraz żarliwą; szczęściem pozyskano doskonały nabytek w osobie p. de Miramion i damy stowarzyszenia postawiły na czele wspaniałomyślną i wielce wpływową księżną d' Aiguillon. W tych warunkach można się było spodziewać, że osłabienie dzieła dam Miłosierdzia nie potrwa długo.

Dwie inne armie Miłosierdzia, formowane przez św. Wincentego, ks. ks. Misyonarze i Siostry Miłosierdzia lepiej zniosły burzę, dzięki ich charakterowi poniekąd zakonnemu i regule hierarchicznej. Księża Misyonarze, rozproszeni po miejscowościach, pustoszonej przez wojnę, morowe powietrze i głód, stracili z pośród siebie wielu mężów znakomitych, lecz zapelniali braki nowi, młodszy, którzy chociaż nie mieli jeszcze tego doświadczenia, jakie posiadali starsi, to jednak trawiła ich żarliwość, a nawet pragnienie męczeństwa. Przy pomocy tych nowozdobitych pracowników, mógł św. Wincenty, wśród huczącej burzy, założyć jednaście nowych seminariów, a co jeszcze więcej znaczyło, siedm nowych seminariów. Widząc się liczniejszymi, Misyonarze zwracają oczy ku Afryce, Szkocji, Irlandji i ku Polsce, i jak zobaczymy w rozdziale następnym, przekraczają granice Francji, dojrzali do wspaniałego apostołstwa, idą wśród niewiernych lub heretyków, wskrzeszając pamięć cudów pierwszych wieków Kościoła.

Ze wszystkich dzieł św. Wincentego Siostry Miłosierdzia ucierpiały najmniej, bo dziewica, poświęcona Bogu, hartuje się i podnosi wśród prób i doświadczeń. Liczba ich wzrosła, ich miłość ku ubogim stała się rodzajem namiętności szlachetnej. Raz naprzykład, gdy pobożna księżna d'Aiguillon, obarczona różnego rodzaju pracami i obowiązkami, prosiła św. Wincentego aby dał jej do pomocy dwie Siostry Miłosierdzia, Święty, uznając słuszność prośby, przeznaczył do pomocy siostrę Barbarę-Engiboust i siostrę Maryę-Denise i posłał je do Petit-Luxemburg. Lecz wieczorem wracają one z płaczem, mówiąc, że opuściły ojca i matkę nie po to, by służyć bogaczom i przemieszkować w pięknych apartamentach i bardzo pokornie prosiły, aby ich wzięto na powrót do posługi ubogim. Św. Wincenty opowiadał ten fakt ze łzami radości. „Jak się to zdaje Pani, pisał on do p. Le Gras; czyż nie zachwycasz się Pani, widząc moc ducha Bożego w tych dwóch ubogich dziewczynach i tę pogardę świata i jego wielkości, którą Bóg je natchnął?”

Innym razem królowa Polska prosi Świętego o trzy Siostry, aby te przybyły do Warszawy w czasie morowego powietrza. Królowa wysyła dwie z nich do Krakowa, dla opiekowania się umierającymi, a jedną chce zatrzymać przy

sobie dla własnej posługi. Biedna siostra, słucha tej propozycji z sercem ściśnionem. „Więc cóż, zapytuje ją królowa, nie odpowiadasz mi? Pani, rzecz szlachetna dziewczyna, ja należę do ubogich, oddałam się Bogu, aby im służyć. Wasza Kr. Mość znajdzie dosyć osób, które może zostawić przy sobie”; odjechała do Krakowa z towarzyszkami swemi.

Musimy jeszcze przytoczyć przedziwną rozmowę ze św. Wincentym jednej umierającej Siostry Miłosierdzia. Siostra Andrée jest bliską skonu. Święty mówi do niej: „Czy nie masz siostrzo moja trudności i wyrzutów sumienia?” — „Nie, mój Ojczy, chyba to, że odczuwałam może za wiele przyjemności, posługując ubogim”. — „Jako, córko moja, nie prócz tego?” — „Nic zupełnie, tylko to, mój Ojczy, że za wielkie miałam w tem zadowolenie. Bo gdy przechodziłam przez wioskę, aby zobaczyć tych dobrych ludzi, to zdawało mi się, że nie idę, lecz że mam skrzydła u ramion i fruwam, taką radość czułam w służeniu im.” — „Umieraj w spokoju, siostrzo moja,” powiedział Święty, dając jej błogosławieństwo ze łzami w oczach. Inna znów Siostra idzie po schodach z kociołkiem, zawierającym skromny obiad chorego; tymczasem dom się wali i zabija trzydzieści pięć osób. Oślepiąona kurzem zachowuje ona zimną krew. „Zawiesiłam mój kociołek na haczyku żerdzi, którą mi podano z ulicy i następnie, zdając się na łaskę Opatrzności, rzuciłam się na rozciągnięte u dołu płaszcze i znalazłam się bezpieczną na ulicy, nie wiedząc, jak się to wszystko stało. Lecz chociaż byłam tak przerażona i drżałam cała, to jednak poszłam dalej obsługiwać pozostałych mi jeszcze chorych.”¹⁾

Inne nakoniec zmarły, jako męczennice w pośród zakazanych morowem powietrzem, jak n. p. Siostra w Etampes, która będąc już w agonii, gdy się dowiedziała, że pewna kobieta w jednym z domów sąsiednich umiera bez żadnej pomocy, podnosi się, idzie zająć się nią i nie poddaje się śmierci, aż gdy pomogła tamtej umrzeć świętobliwie. Takie straty nie ubożą Zgromadzenia, przeciwnie, podniecają one płomień zapału, który stanowi prawdziwą treść ich życia, a wzbudzając uwielbienie, pociągają ku sobie dusze bohaterskie.

Największe powołania pochodzą z tej epoki: Małgorzata Chetif, przeznaczona na następczynię p. Le Gras, jako przełożonej jeneralnej Zgromadzenia; Mathurina Guérin o sercu wielkiem i umyśle wzniosłym, która została trzecią przełożoną jeneralną; Marta d' Auteuil, nazywana sprawczynią cudów, która zostawiła po sobie w zakonie woń cnoty i inne jeszcze zaiste godne zająć miejsce u boku tamtych. Widzimy tedy, jakie jeszcze zasoby posiadał św. Wincenty po tych nieszczęśliwych czasach i jakie jeszcze zostały siły na to, by rozpocząć na nowo dzieło ratowania nieszczęśliwych. Zabrał się też do tego niezwłocznie z tą samą skromną cierpliwością co i dawniej, i z tą samą mądrością, lecz godzi się dodać w sposób bardziej wydoskonalony, z nową starannością, aby dziełom swoim dać podstawy pewniejsze i szersze, aby w przyszłości nie trzeba było obawiać się przewrotów i rewolucyj. To też rzeczywiście wszystkie dzieła z tej epoki zwycięsko przetrwały wieki.

W najkrytyczniejszym stanie zostawało dzieło podrzutków i tem należało się zająć przedewszystkiem. Nie było ono jeszcze ugruntowane, gdy wojna wybuchła; nie miało jeszcze domu własnego, a dochody nie wystarczające; rozchodowano czterdzieści tysięcy liwów rocznie, a nie można było rachować ponad siedmnaście tysięcy franków przychodu. Łatwo zrozumieć, że ku końcowi jednego roku wojny kasa świeciła pustkami. Wiele z pomiędzy dam Stowarzyszenia opuściło Paryż, inne zrujnowane były przez podatki i łupiestwo żołnierstwa. Większa część dam bardzo głośno mówiła, że należy opuścić to dzieło, gdyż po tylu nieszczęściach, które zubożyły wszystkich, nie mogą je podtrzymywać. Św. Wincenty opierał się; najbardziej zropanczonym mówił, że to dzieło najważniejsze, najpotrzebniejsze ku chwale Boga i zbawieniu dusz, że dotąd nie słyszano o żadnym podrzutku, któryby został przy życiu, a że teraz wszyscy otrzymują chrzest, że większa ich część żyje. Niema przeto ofiary, której ponieść nie należy, aby podtrzymać tak błogosławione rezultaty. Gdy poufne rozmowy nie dawały oczekiwanego powodzenia, św. Wincenty postanowił zebrać ogólne zgromadzenie Dam Miłosierdzia i poddać ich decyzji tę palącą sprawę; przytem za pośrednictwem p. d' Aiguillon, p. de Miramion, p. de Trovessay zapewnił sobie udział dam, naj-

¹⁾ Vie de M-lle Le Gras. str. 277—365.

wiekszy wpływ mających, aby będąc obecne na zgromadzeniu, podtrzymały pragnienia jego i podniosły na duchu zebranie. Zgromadzenie dość liczne odbyło się o naznaczonej godzinie, lecz było trochę oporne. Święty przewidywał to, lecz że przywiązywał też wielką wagę do tego by zwyciężyć, więc bardzo starannie przygotowywał się do dzieła. Szczęśliwym trafem niedawno odkryto dowód tego przygotowania: w Florencyi znaleziono nie wydany dotąd konspekt przemowy wypowiedzianej, której tylko wspaniałe i sławne zakończenie znane było dotąd. Podajemy ów konspekt, tak ciekawy z wielu względów.

*Dla Zgromadzenia jeneralnego w sprawie
Podrzutków.*

„Ostatnim razem w krótkości mówiłem o waszych podrzutkach, bo mieliśmy wiele innych spraw do roztrząsania i zdawało się, że funkcyonaryusze nasi będą mogli zadość uczynić potrzebom, nie odnosząc się z tem do towarzystwa. Gdy zaś doświadczenie wykazało, że tak nie jest, więc dziś będziemy mówili o tem, i powiem wam, że znajdują się oni w wielkiej potrzebie i że zaledwie na sześć jeszcze tylko tygodni starczy środków na wyżywienie dziatwy. Trzeba więc koniecznie zaradzić oplakanemu położeniu, a to z powodów następujących.

I. Ponieważ dzieci są wostatecznej potrzebie, więc obowiązane jesteście je zaopatrzyć: *Non pavisti, occidisti*; małe dziecię można zabić dwojakiem sposobem: albo zadając mu gwałtowny cios śmiertelny, albo odmawiając mu pożywienia.

II. Ponieważ Pan Nasz powołał was, abyście były ich matkami.

III. Ponieważ po gorących modlitwach i różnych zebraniach w tym przedmiocie, postanowiliście nie opuszczać ich, mając na względzie co następuje:

1^o. Że przekonano się, iż biedne te małe stworzonka były źle opatrywane, skoro jedna mamka karmić musiała czworo lub pięcioro dzieci.

2^o. Że sprzedawano je żebrakom, trzy sous za sztukę, a ci kaleczyli im ręce i nogi dla wzbudzenia litości ludzi i otrzymania jałmużny, poczem pozwalano im umrzeć z głodu.

3^o. Że kobiety bezdzietne i ubogie, które je otrzymywały, brały je niby za swoje, co zdarzyło się kilkakrotnie.

4^o. Że dawano im pigułki laudanum (opium), aby je usypiać, a to jest przecież trucizną.

5^o. Że od pięćdziesięciu lat ani jedno dziecko podrzucone nie zostało przy życiu, a tylko od niedawna, skoro zajęliśmy się tą sprawą, ocalono kilkoro.

6^o. A nakoniec, co jest najboleśniejsze, że wiele z nich umiera bez chrztu św.

Oto powody, które pobudzają was, by wziąć na barki to dzieło: Opatrzność uczyniła was przybranemi matkami tych dzieci, tak że gdybyście je opuściły, umrą one niechybnie. Kto zapobiegnie temu? Policya publiczna nie zdoła tego uczynić. A więc wy, Panie, obowiązane jesteście zabrać się do dzieła.

Jeżeli opuścicie je, co powie Bóg, który powołał was do tego?

Co powie król i rząd, ktorzy przez uwierzytelnione listy-patenty wam poruczyli staranie o te biedne dzieci?

Co powie publiczność, która błogosławi was, widząc starania przez was podjęte?

Co powiedzą te małe stworzonka? Niestety, drogie matki, opuściliście nas! Że rodzone matki nasze opuściły nas, trudno—one są złe, lecz że wy to uczyniłyście, wy, które do bre mi jesteście, to chyba Bóg nas opuścił, chyba nie jest on Bogiem!

Nakoniec co odpowiecie w godzinę śmierci, gdy Bóg was zapyta, czemu opuściliście te małe stworzenia?

Wszystko to, Panie, zdaje się wymagać, abyście się nie usuwały...

Pierwszy zarzut.

1^o. Złe czasy, które zubożyły każdego tak, że zaledwie istnieć może. Na to odpowiadam: Panie, niech to was nie niepokoi: *Qui miseretur pauperis, nunquam indigebit.*

2^o. Sto was tu się zebrało, gdy każda zdobędzie się choćby na sto liwrow, to więcej nie trzeba; jeżeli wszystkie to uczynią, a inne choć cokolwiek, to wystarczy razem z tem, co już mamy.

3^o. Nie mam wcale pieniędzy, niestety! A ileż jest w domu sprzączek, drobiazgów, które służą do niczego! O, Panie! jak dalecy jesteśmy od tej pobożności dzieci Izraela,

gdzie niewiasty oddawały klejnoty swoje, aby uczyniono cielca złotego.

4^o. A potem: to zawsze tak będzie i każdy zechce pozbywać się swoich dzieci. Na to odpowiem, że nie.

Drugi zarzut.

To ubóstwo obciąża bardzo Stowarzyszenie w przyszłości, zarówno jak obecnie.

Dwie ważne sprawy będące na dobie, uwolnią nas od tego nieszczęścia.

Środki.

- 1^o. Prosić Boga o to;
- 2^o. Komunikować raz na tę intencję.
- 3^o. Mówić o tem krewnym i przyjaciółom swoim;
- 4^o. Kaznodziejom przez ks. ks. proboszczów.
- 5^o. Nakoniec postanowić, czy należy je opuścić, czy też uczynić możliwe wysiłki, choćby na ten rok¹⁾.

Można domyślić się, jak musiał być rozwinięty ten zarzys przez człowieka z takim, jak św. Wincenty, sercem, płomieniem miłosierdzia, a zniewoloną potrzebą. Można sądzić o tem z zakończenia, które nam pozostało. W zarysie są tylko te proste słowa: „Nakoniec postanowić, czy należy je opuścić, czy też uczynić możliwe wysiłki choćby na ten rok”. Proste te słowa buchają płomieniem w żarliwych ustach św. Wincentego. „Otóż więc, Panie moje, współczucie i miłosierdzie wasze sprawiły, żeście przyjęły te małe stworzonka za dzieci wasze. Stałyście się ich matkami w porządku łaski, od czasu, gdy matki wedle natury opuściły je. Patrzcie teraz, czy i wy chcecie też je opuścić? Przestaniecie być ich matkami, aby się stać teraz sędziami ich; życie i śmierć ich w waszym jest ręku. Przystępuję do głosowania: czas już wydać wyrok i wiedzieć o tem, czy rzeczywiście nie chcecie ulitować się nad niemi. Będą żyć one, jeżeli dalej będziecie miały miłosierną troskliwość o nie, a przeciwnie umrą i będą zgubione, jeżeli je opuścicie”. Zgro-

¹⁾ Cenny ten dokument; zachowany we Florencji, przysłany był księżom Misyjonarzom w czasie, gdy kończyli druk *Konferencji Św. Wincentego à P. z Siostrami Miłosierdzia*. Wydrukowano go przy końcu tomu II, str. 657.

madzenie łzami tylko odpowiedziało i jednomyślnie postanowiło za wszelką cenę dzieło prowadzić nadal.

Lecz co warte te uchwały, powzięte w pierwszym zapale? W sześć miesięcy potem, skutkiem tych samych trudnych okoliczności, dzieło znów się znalazło w krytycznem położeniu. Rozległe doświadczenie mówiło, że takie wysiłki, jak w roku 1648, nie mogły powtarzać się nieustannie; św. Wincenty postanowił więc ze wszystkich sił pracować nad tem, by zdobyć dwie rzeczy, bez których rozumiał, że dzieło podrzutek nie może być trwałe: dom własny i dochód stały, niezależny od wypadków. Już od Ludwika XIII miano zapewnioną rentę czterech tysięcy liwrów; regentka Anna Austriacka zgodziła się na podniesienie jej do dwunastu tysięcy. Z drugiej strony parlament paryski rozkazał, aby panowie wyższego sądownictwa dodawali rocznie sumę piętnastu tysięcy liwrów. Wszystko to zapewniało już 27 tysięcy; miłosierdzie wiernych mogło dać resztę do chwili, kiedy władze publiczne, lub fundacye prywatne dopełnią sumę czterdziestu tysięcy, bez których instytucya obejść się nie mogła. Ludwik XIV dopełnił ją, stanowiąc, aby z dochodów jego wypłacano dwadzieścia tysięcy franków rocznie na korzyść podrzutek. Mając zapewnioną rentę, szukano domu. Królowa ofiarowała najpierw zamek Bicêtre, gdzie się instalowano, lecz było to pomieszczenie tak źle wpływające na zdrowie dzieci, że nie można tam było długo pozostawać. Skończyło się na odnalezieniu obszernego miejsca na przedmieściu św. Antoniego, gdzie zbudowano szpital Podrzutek (des Enfants-Trouvés). Pomieszczono tam dwanaście Sióstr Miłosierdzia; a później urządzono koło (tour) do przyjmowania dzieci, nie widząc osoby, która je podawała, „mądry wynalazek Miłosierdzia, jak powiada Lamartin, które ma ręce do przyjmowania, nie mając wcale oczu do patrzenia, ani ust do zdradzania”.

W ten sposób wykończony został po kilku latach, już co prawda po śmierci św. Wincentego, lecz według jego planów i wskazówek ten obszerny dom Podrzutek, który rozpościerał się i na prowincję, a na wzór jego stanęły filie pomocnicze w Lyonie, Marsylii, Tulonie, Dijon, po całej Francji. Okaleczyła go rewolucya, lecz nie zdołała zastąpić czemś innem. Jako śmiałość pomysłu, doskonałość wykonania, liczba wyświadczonych dobrodziejstw—sta-

nowi on jedną z najpiękniejszych instytucji św. Wincentego á Paulo.

Kończąc to dzieło swoje, św. Wincenty rozpoczął, a raczej podjął inne nie mniej ważne: dzieło Małych Szkół (*Petites-Ecoles*) dla dzieci ubogich. Nie był on wynalazcą tej instytucji, bo Kościół od piętnastu wieków nie przestawał się nią zajmować. Przez biskupów, przez Sobory, przy katedrach i klasztorach mnożył on szkoły bezpłatne dla wychowania ludności, a badania współczesne odkrywają wciąż ślady wielkich wysiłków w tym kierunku. Na nieszczęście szkoły, zakładane w wiekach średnich, znikły podczas wojen Ligi, a te które zachowały się kosztem niesłychanych wysiłków za panowania Henryka IV i Ludwika XIII, zaginęły wśród klęsk wojny i Frondy. Trzeba więc było coprędzej wypełnić ten brak i na szczęście Siostry Miłosierdzia zupełnie były do tego odpowiednie. Już w samej kolebce tej instytucji św. Wincenty przeznaczał je do wychowania małych dziewcząt z ludu, uważając to za jeden z dwóch istotnych celów ich ustanowienia. Od aspirantek domagał się nauki czytania i pisania, aby zdolne były uczyć i od r. 1641 otwierał małe szkółki, a jednocześnie zarządził ułożenie początkowego katechizmu w pytaniach i odpowiedziach, oraz i przewodnika popularnego nauczania. Pierwsza siostra Miłosierdzia Małgorzata Nazeau pałała żądzą pracy nad wychowaniem ludu. Wszystko więc było gotowe i wkrótce przez Siostry Miłosierdzia najpierw, a następnie przez pobożne damy, które pomagały pieniędzmi, osobistym udziałem, rozpoczął św. Wincenty zaludniać Francję małymi szkołami bezpłatnymi, które próżno usiłowano naśladować, a które Rewolucja pragnęła zniweczyć przez zazdrość, że owocności ich wyrównać nie może.

Lecz jeżeli te małe dziewczyny, blakając się po ulicach, pozbawione wychowania moralnego i wszelkiej nauki, wystawione na tysiączne niebezpieczeństwa, wymagały opieki, to o ileż bardziej jeszcze należało zająć się temi, których cześć i cnota były już skażone! Wśród tylu nieporządków i swawoli, liczba ich była znaczną. Św. Wincenty, który cudów dokazywał, aby je ochronić w czasie wojny, postanowił też po wojnie podjąć największe wysiłki w tym kierunku. Nie poprzestając na radach swoich, upomnieniach, nawet pieniądzech, dawanych

z własnych kieszeni w domach schronienia, które mnożyły się w Paryżu: „Magdalenki” (*La Madelaine*) założone przez panią de Meignelais; „la Pitié” i „Św. Pelagii” fundowane przez panią de Miramion; „Pokutnice” (*les Pénitentes*) panny Pollation; „Dobrych Pasterzy” (*les Bons-Pasteurs*) pani de Combé i wiele innych), powziął myśl utworzenia wielkiego szpitala dla dziewcząt upadłych i pokutnic. Wedle zwyczaju swego rozpoczął od naradzania się z osobami pobożnymi i wszystko przygotował do tego, by mieć dom i zapewnioną rentę, bo u niego śmiałość połączona była zawsze z roztropnością i rozumą. Śmierć przeszkodziła mu w dokończeniu tego śmiałego dzieła, uczyniły to po nim duchowne córki jego.

Jednocześnie z temi fundacyami domu Podrzutków, małych szkół bezpłatnych dla dzieci ubogich i licznych przytułków dla dziewcząt pokutujących, inne jeszcze dzieła zajmowały myśli jego i pobudzały jego działalność. Pewien obywatel paryski, żądający pozostać nieznanym, przyniósł mu pewnego dnia sumę stu tysięcy franków, przeznaczając ją na jakiegokolwiek bądź dzieło Miłosierdzia. Zostawiał nawet zupełną swobodę Świętemu co do użycia tej sumy na rozwój domów kongregacji Misyjaryzy. Lecz ten, z charakteryzującą go zawsze bezinteresownością, wskazał ofiarodawcy nędzę, o której nikt nie myślał; była to nędza biednych robotników, którzy po ciężkiej pracy całego życia, na starość nie mieli kawałka chleba. Czy nie dałoby się z temi pieniędzmi przygotować dla nich przytułku? Rodzina przy tem nie będzie rozbitą, przyjmować by tam można na raz męża i żonę, którzyby po pracowitem a uczciwem życiu znaleźli cichy dobrze zasłużony wypoczynek. Wzruszony taką bezinteresownością Świętego, a zachwycony pięknym pomysłem, poczciwy ofiarodawca zgodził się na proponowany projekt, dodał jeszcze trzydzieści tysięcy franków i w ten sposób powstaje szpital *Imienia Jezus* (*du Nom de Jesus*), który dziś jeszcze istnieje dla ubogich rodzin. Celem zapewnienia trwałości i dobrego utrzymania tego hospicyum, św. Wincenty pomieszcza i tam Siostry Miłosierdzia¹⁾.

¹⁾ Szpital *Imienia Jezus* połączony został z hospicyum dla nieuleczalnych, ustanowionem teraz w Ivry.

Widzimy więc, jakie dzieła wyrastały ustawicznie z serca św. Wincentego, a we wszystkich jaśniała cecha jego mądrości i wielkiego doświadczenia. Budowało się to z myślą o dalekiej przyszłości i dziś jeszcze, po upływie dwóch stuleci przeszło, stanowi wszystko najcenniejszy skarb katolickiego Miłosierdzia.

Lecz obok tych wielkich fundacyj, założonych bezpośrednio przez św. Wincentego, ileż to jeszcze powstawało wokoło niego, których on był natchnieniem i doradcą! Ile dusz otrzymywało od niego płomień tego świętego ognia współczucia dla nędzy, ognia, który go pożerał! Nie sposób było zbliżyć się do niego, bez odczucia potrzeby współpracowania z nim, by przychodzić z pomocą wszelkiej boleści, by podnosić wszystko z ruiny. Na czele tych dusz wspinałomyślnych należy postawić żarliwą, niewyczerpaną księżną d' Aiguillon, która, szafując szczerze złotem w czasie wojny, po ufundowaniu kolegium „des Bons-Enfantes” w Paryżu, kolonii de Villemarie w Kanadzie, szpitala w Quebec, domu księży Misyonarzy w Rzymie, zakłada dom Sióstr Miłosierdzia w Richelieu, z ofiar swoich utrzymuje Misyonarzy przy szpitalu w Marsylii, zakłada obszerny szpital w Algierze, kupuje konsulaty w Tunisie i w Algierze i uzyskuje, że tytuł jeneralnego jałmużnika galer zostaje na zawsze przywiązany do superyora jeneralnego księży Misyonarzy. Obok niej stoi młoda i świętobliwa przyjaciółka jej pani de Miramion, której jaśniejsza piękność pociągnęła znakomitego Bussy-Rabutin, do takiego stopnia, że usiłował ją porwać¹⁾.

Po tej tragicznej przygodzie, wśród której zachowała ta pani swą godność i cnotę, szuka uspokojenia w fundacyi dwóch znakomitych domów: la Pitié i Św. Pelagii. Do pierwszego przyjmowano dziewczęta upadłe, skazane przez państwo i usiłowano je nawrócić do Boga, do drugiego chroniły się te, które same rzucały nędzne i haniebne życie. Pani Miramion oba te domy poddaje pod kierownictwo św. Wincentego. Jednocześnie pani Pollalion, przyjaciółka p-ny Le

Gras, penitentka naszego Świętego, otwiera pod mianem „Seminarium Opatrzności”, dom, przeznaczony na zebrania dziewcząt, żałujących za grzechy swoje. Domem tym kieruje św. Wincenty oczekując na urzędowe zatwierdzenie. Stąd powstają, zawsze, z jego inicjatywy i pod jego kierunkiem „*Jedność chrześcijańska*” (l' Union chrétienne) znana pod mianem Rozkrzewienia Wiary, albo Nowych Katoliczek, bo przeznaczeniem stowarzyszonych było przyjmowanie protestantek, które chciały się nawrócić. Fénelon poparł wymownem słowem swoim rodzącą się instytucję. W też ślady idzie cały zastęp dusz szlachetnych. Panna de l' Estang otwiera ochronkę dla małych sierot, gdzie zbiera się ich odrazu wyżej dwustu; kieruje nią najpierw założycielka, a potem powierza to jednemu z pierwszych towarzyszy św. Wincentego, p. Gambard. Za radą naszego Świętego panna de Blosset funduje Siostry Św. Genowefy (Filles de Sainte Genevieve), a panna Marya Saucier ustanawia niezliczoną ilość mistrzyń szkółek bezpłatnych, dając im za przełożonego, jednego z najdroższych przyjaciół jego, Abelly'ego. W tym samym czasie powstają Siostry od Krzyża (Filles de la Croix). A gdy skutek oszczerstwa, ujrzały one podnoszącą się przeciw nim burzę, która miała je zmiażdżyć, odwołują się do św. Wincentego i znajdują w nim sędziego i podpórę, która daje im możność przetrwać czas prześladowania i dalej prowadzić rozpoczęte dzieło. W ten sposób wszyscy uciekali się do niego, a on coraz więcej stawał się natchnieniem, oporą i duszą wszystkich dzieł katolickiego Miłosierdzia.

A nie tylko w taki osobisty i bezpośredni sposób popierał on rodzące się ze wszech stron fundacje; wpływem swoim ogarniał olbrzymie kręgi i zapalał nawet takich, którzy go nigdy nie widzieli. Zaledwie ukazał się światu ów tak prosty i czysty ideał Sióstr Miłosierdzia, tak dobrze zastosowany do potrzeb czasu, wnet wytworzyły się po całej Francji kopie prawie równie piękne, jak sam oryginał. W Puy Siostry Świętego Józefa, zawdzięczając początek swój biskupowi z Tour, Henrykowi de Maupas, uczniowi św. Wincentego, rozpowszechniły się w Auvergne, Vivarais i Delfinosie. Obejmowały one wszystkie rodzaje miłosierdzia i dobroczynności: obsługę szpitali i domów schronienia, kierownictwo szkółek, odwiedzanie chorych po domach, zakłada-

¹⁾ Ob. T. I. str. 270.

nie po miastach zgromadzeń Dam Miłosierdzia. Czuć tam było bezpośrednio tchnienie św. Wincentego¹⁾.

W Nancy kongregacja Sióstr Św. Karola powstała w r. 1652 bez żadnej klauzury, oddana wszelkiego rodzaju dobrym uczynkom. Gęsto rozsiały się jej siostry w Lotaryngii i Wogezach, a domy ich przetrwały Rewolucję. W Arras siostry Świętej Agnieszki, fundowane przez pobożną Joannę Biscot, córkę bogatego kupca z Arras, która poświęciła nie tylko pieniądze, lecz i osobę swoją, więcej nauczając przykładem niż słowem, w wykonywaniu wszelkiego rodzaju dobrych uczynków, jak: starania o chorych, rozmieszczanie sierot, odciąganie dziewcząt od życia nieporządnego a gdy wojna wybuchła, zbieranie rannych z pola bitwy i czuwanie przy umierających. I tu oczywista kopia Sióstr Miłosierdzia. W tym samym rzędzie postawić musimy Siostry świętego Maurycego w Chartres, siostry de la Foi (Wiary) w Agen, siostry Świętego Aleksego w Limoges, les Filles de l'Enfance w Tuluzie, Siostry Miłosierdzia (Soeurs de la Miséricorde) w Dieppe, w Aix i w Paryżu i t. d.²⁾, tak, że to co na początku wieku najświętobliwsi biskupi uważali za niemożliwe, to co kardynał de Marquemont odradzał świętemu Franciszkowi Salezemu, teraz rozkwitało pod tchnieniem św. Wincentego à Paulo i stawało się najpopularniejszą formą Miłosierdzia katolickiego.

A do tych kongregacji bez ślubów zakonnych, bez klauzury, poświęcających się wszelkiego rodzaju dziełom współczucia bliźniemu i miłosierdzia, szkołom, przytułkom i schroniskom, staraniom o ubogich i starcach, dołączyć należy kongregacje, oddające się wyłącznej obsłudze szpitali, które podnoszą się również za wpływem św. Wincentego. We Flèche na przykład kongregacja Szpitalnic (des Hospitalières) zapoczątkowana przez panny honorowe księżny de Condé, a prowadzone dalej przez świętobliwą i pobożną pannę de Melun, która wyrwawszy się ze świetnego środowiska, wśród którego się urodziła, a szukając miejsca gdzieby była nieznana, chcąc oddać się praktykom najgłębszej pokory i najżarliw-

szego miłosierdzia, przybyła do tego małego miasta (Flèche) pod cudzem nazwiskiem i wstąpiła do tej skromnej, świeżo powstałej kongregacji, wnosząc tam ducha żarliwości, który ją ogarniał. Założyła ona szpital w Beaufort, powiększyła istniejący szpital w Beaugé i wysłała swoje towarzyszek do Laval, Nimes, Avignon'u i aż do Montréal w Kanadzie. Równie też Szpitalnice z Angoulême otwierają szpitale w południowej części Francji. Podobnie powstają w tej epoce wielkie hospicja w Angers, w Nantes, w Rouen—prawie wszystkie pod opieką Sióstr Miłosierdzia. W samej diecezyi Rouen widzimy powstanie dwudziestu czterech instytucji Miłosierdzia: szpitali, przytułków, domów sierot (Orphelinats), na które Laurent d'Ingouville, skarbnik Francji, wydaje prawie trzysta tysięcy liwrów. Mniejsza i uboższa diecezya Clermont prawie wyrównyma Roueńskiej, a Orleans ją przewyższa. W Caen założony w r. 1655 szpital jeneralny jednocześnie prawie z dwoma innymi, z których jeden dla chorób zaraźliwych, a drugi dla dzieci opuszczonych; w Dijon szpital Świętej Anny dla ubogich sierot. W Nancey, w diecezyi Bourges, wielki szpital zawdzięcza powstanie swoje hojności rodziny de La Châtre. W Lyonie, Marsylii, Grenoble, Vienne, Sens, Amiens, szpitale mnożą się, powstając jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zapał staje się powszechnym, za wszelką cenę trzeba opatrzyć wszystkie rany, ukoić wszystkie bóle.

Nie znaczy to, żeby zakony surowe i kontemplacyjne nie miały również nowych fundacji, nie mniejszych może, jak na początku tego (XVII) wieku, lecz popularnem było już co innego. Entuzjazm, który przed pięćdziesięciu laty wzbudzały przybyłe z Hiszpanii Karmelitanki, lub Franciszkaniki, wstępujące do Paryża boso, z koronami cierniowymi na czołach, przeniósł się teraz na Siostry Miłosierdzia, otwierające szpital dla Podrzutków. Tą zmianę kierunku sprawił św. Wincenty.

Miłosierdzie czynne i trwałe musi się odżywiać wiarą i pobożnością, to też w Paryżu powstają nowe kościoły i większe kaplice, do których ciśnie się tłum liczniejszy i żarliwszy. Co rok widzi się coś nowego. W r. 1646 kościół św. Sulpicyusza; w 1648 kościół Teatynów i Port-Royal; w 1653 kościół św. Rocha, przy którego zakładaniu królowa regentka

¹⁾ Picot, 421.

²⁾ Picot, 423.

pierwszy kamień kładzie; w 1655 kościół Oratoryanów, a ku końcowi roku nowy kościół św. Sulpicyusza, bowiem uprzednio zbudowany zdawał się za mały, rozpoczęto nową budowę i Anna Austriaczka znów kładzie pierwszy kamień; w 1656 kościół Saint Nicolas-du-Chardonnet i kościół des Petits-Pères, znany bardziej pod mianem Notre-Dame-de-Victoire (Najśw. Panny Zwycięskiej); w 1659 kościół św. Magdaleny i t. d., i t. d. A cóż się dzieje na prowincji? Ogólny ruch przebudowania kościołów przybiera takie rozmiary, że pomimowoli wyrzec się musimy bliższego wchodzenia w te szczegóły. Łatwo pojąć, że tak liczne i tak kosztowne prace nie mogłyby powstać, gdyby nie mnożyła się liczba dobrych biskupów i świętobliwych kapłanów. Istotnie liczba ta zwiększała się nieustannie, a w tem również była zasługa św. Wincentego á Paulo. Pomimo Mazariniego i niefortunnych nominacji, popieranych przez niego podczas Frondy, przybywało jednak bardzo wielu świętobliwych biskupów, przyjaciół lub uczniów św. Wincentego, uczestników konferencji środowych, wychowalców seminaryów, wybieranych przez „Radę sumienia” i oni właśnie rozpoczynali odrodzenie swoich dyecezyj. W Dax biskup Declaux, do którego pisał Święty „winszując mu gorliwości we wzniesieniu seminaryum”¹⁾. W Perigueux, biskup Brandon, którego być mistrzem wzbrańał się nasz Święty, z powodu jego nadzwyczajnej pobożności i niezrównanej gorliwości; „Niech go Bóg zachowa, pisał, dla Kościoła przez wiek cały”²⁾. W Lucon biskup Nivele, „najbardziej do św. Franciszka Salezego podobny”³⁾. W Mans biskup E. M. de la Ferté, „prałat tak wielkiej cnoty, że buduje swym przykładem całą okolicę”. W Sarlat biskup Sevin, „który tyle dobrego uczynił w swojej dyecezyi, a którym cieszy się całe królestwo”⁴⁾. W Beauvais biskup Polier de Gesvres, który w młodości swej tak żarliwie popierał zamiary św. Wincentego á Paulo w zakładaniu seminaryów⁵⁾. W Autun biskup Claude de la Madeleine, który towarzyszył

¹⁾ Lettres II, 58 № 571.

²⁾ 175 № 661.

³⁾ 183 № 667.

⁴⁾ 402 № 582.

⁵⁾ Picot. 447.

skazańcom na rusztowanie, a którego dobroczynność i dziś jeszcze jest wielbiona¹⁾. W Grasse Antoni Godeau, który znany był wśród wykwińskiego dworu w Rambouillet pod mianem Le Nain de Julie, tak dobrze skorzystał z konferencyj środowych, że zostawszy mianowany biskupem Grasse i Vence, cały swój czas poświęcał na najpoważniejsze studia teologiczne, a na zgromadzeniu duchowieństwa był promotorem i patronem *Gallia christiana*. W Tulonie biskup Pingré bardzo gorliwy o dyscyplinę kościelną, a bardzo dobry i nawet serdeczny względem biednych skazańców, których nawiedzał nieustannie i zajmował się nimi, jak dziećmi²⁾. W Cahors biskup Alain de Solminihac pisał, że jego kler zmienił oblicze swoje, zawdzięczając seminaryum powierzonymu księżom Misyonarzom³⁾, sławny z cnót różnego rodzaju, rozdał znaczny swój majątek na dzieła miłosierne, cierpliwy, umartwiający się, surowy tylko względem siebie samego, umarł w aureoli świętobliwości. W Comminges biskup de Donnadieu, przyrównywany przez św. Wincentego do błogosławionego biskupa Genewskiego⁴⁾ ze sposobów używanych do uświętobliwienia dusz. W Marsylii biskup Gault, chociaż bardzo krótko zajmował tę stolicę, jednak zostawił po sobie trwałą pamięć; po objęciu stolicy wizytował dyecezyę, kazał, nawiedzał skazańców, zaraził się wśród nich i w sześć miesięcy potem umarł. Duchowieństwo francuskie prosiło Papieża o przystąpienie do jego kanonizacji i dziś jeszcze jest tem zajęte. Listy św. Wincentego á Paulo pełne są uwielbienia dla cnót wielkiej liczby biskupów francuskich w ciągu tego ostatniego periodu 1650—1660.

Obok biskupów, wśród zastępu kapłanów, mnożących się w dyecezyach, widziano pewną liczbę kapłanów, znakomych świętobliwością, wychodzących z seminaryów, lub z środowych konferencyj. W Paryżu księża de Chandenier, siostrzeńcy świętobliwego kardynała de la Rochefoucauld, o których św. Wincenty mówił, że posiadają wszystkie najwyższe

¹⁾ Ibid.

²⁾ Lettres IV, 289 № 1803.

³⁾ 441 № 1917.

⁴⁾ Św. Franc. Salezy.

cnoty pożądane, w każdej godności kościelnej, a tak często zaniebawiane. W Auray świętobliwy ksiądz de Quérolet, którego nawrócenie wzbudziło tyle wrzawy, a który kierowany przez św. Wincentego, stał się wzorem żarliwości, pokuty i odwagi. W Angers ksiądz de Vaux, wikaryusz jeneralny, dusza wszystkich dzieł dobrych w mieście, który osadził tam Wizytki, zawezwał Siostry Miłosierdzia, przyjął panią Le Gras, założył zgromadzenie Sióstr pokutniczek i umarł w sławie świętobliwości. W Saumur świętobliwy ksiądz Bouvard, bogato obdarzony wielu beneficjami, syn pierwszego medyka Ludwika XIII, poświęcił się cały na posługę ubogich, odwiedzanie więźniów i skazańców, gdzie zaraził się i umarł, mając zaledwie dwadzieścia ośm lat wieku. W Dijon Benignus Joly, kanonik od świętego Stefana, fundator szpitalnic *de Notre Dame de la Charité* (Najśw. Panny Miłosiernej) o którym wystarczy powiedzieć, że Kościół świeżo zaliczył go do czcigodnych (*venerables*); od dwóch wieków znany on jest pod imieniem ojca ubogich, lub św. Wincentego á Paulo Burgundyi. Wielu jest jeszcze innych, wychwalanych przez naszego Świętego za gorliwość i pobożność, których spotyka się po całej Francyi, zajętych zakładaniem seminaryów, lub stwarzaniem dzieł Miłosierdzia.

Z tych Seminaryów, z tych odnowionych instytucyj wyszli ludzie, stanowiący chwałę i nieśmiertelny zaszczyt XVII wieku: Bossuet—z konferencyj środowych;—Fenelon od Św. Sulpicyusza,—Masillon z Oratoryum,—Bourdaloue od Jezuitów;—Flechier z kongregacyi Nauki Chrześcijańskiej. Ci ostatni byli jeszcze bardzo młodzi, a nieco starszy od nich Bossuet. Dotąd sam tylko Metz podziwiał piękność jego słów, lecz wnet i Paryż go posłysz. Św. Wincenty wzywa go na inauguracyę szpitala jeneralnego i tu właśnie, swą wielką wymową, uwieńczył on ostatnie dzieło swego starego mistrza. Ten szpital jeneralny, o którym dziś pojęcia nie mają był przedmiotem zajęcia i dworu i miasta. Było to, jak mówiono, największe dzieło Miłosierdzia o jakie się żaden jeszcze wiek nie pokusił. Paryż po brzegi zalany był ubogimi; liczono ich czterdzieści pięć tysięcy. A byli tam i prawdziwi i fałszywi biedacy, błakający się w dzień ze szpadą u boku, okryci wstrętnemi ranami, przerażali i rabowali miasto; a na noc ukrywali się w podwórzach „des Miracles”,

tej haniebnej i groźnej jaskini, do której policya nie odważała się wchodzić, a gdzie występki i zbrodnie zostawały często bezkarne. Otóż ów szpital jeneralny miał na celu zebrać w siedmiu ogromnych działach wszystkich ubogich inwalidów lub chorych, co dawało możność surowiej występować przeciw zdrowym, zdolnym zapracować na życie.

Zdaje się, że pomysł tego olbrzymiego projektu pochodził od księżny d' Aiguillon. Ona mówiła o nim pani de Lamoignon i dwóm czy trzem jej przyjaciółkom, które przyklasnęły tej idei. Ale jak ją zrealizować? Po niejakiem czasie odważają się zwierzyć przed pierwszym prezydentem p. de Pomponne-Bellièvre, który chociaż bardzo pobożny i miłosierny, uznał, że podobny projekt jest rzeczą niewykonalną. Wielu członków parlamentu, badanych przez panią de Lamoignon, radziło, aby nie myśleć nawet o tem. Księżna d' Aiguillon nie traciła odwagi; idzie do pani Le Gras i wedle jej rady decyduje się zwierzyć z tem przed św. Wincentym. Ten, starzec siedmdziesięcio-ósmio letni, na razie wznosi oczy i ręce do nieba. Co one zamyślają? To szaleństwo. Wszakże na naleganie pobożnej księżny prosi o ośm dni do namysłu, ażeby rozpoznać, jaką jest wola Boża i wobec Niego zważyć odpowiedzialność za podobne dzieło. Po ośmiu dniach oświadcza księżnie d' Aiguillon, że należy rozpocząć. Udaje się do królowej i otrzymuje od niej obszerne zabudowania *de la Salpêtrière*, a księżna d' Aiguillon kosztem pięćdziesięciu tysięcy franków zarządza pierwsze odnowienie tych zabudowań. Następnie rozpoczęła się kwesta. Mazarini na silne nalegania księżny d' Aiguillon daje sto pięćdziesiąt tysięcy franków; prezydent de Bellièvre sześćdziesiąt tysięcy; pewna nieznana dama pięćdziesiąt tysięcy liwrów; druga ofiaruje trzy tysiące liwrów rocznej renty; pani de Lamoignon, kwestując otrzymuje od p. de Boullion sumę sześćdziesięciu tysięcy liwrów, pod warunkiem, że kwestarka sama ją odniesie i zachowa to w tajemnicy. Ciężar był tak wielki, że szlachetna kwestarka, uginając się pod nim, mogła zaledwie wrócić do mieszkania swego przy pomocy pewnego szlachcica, który poznał ją na ulicy i nie pytając o sekret, ofiarował pomoc swoją. Wszystkie wielkie damy Paryża, książęta i wyżsi urzędnicy współubiegać się zaczęli w niesieniu ofiary na tak piękne dzieło i jakby pod dotknięciem różyczki czarodziejkiej, jak-

by w mgnieniu oka, ujrano „to miasto nowe”, jak je nazywał Bossuet; „to wielkie arcydzieło”, jak powiada Fléchier, „największą i najcudowniejszą robotę, jaka kiedykolwiek przedsięwziętą była przez najbardziej bohaterskie Miłosierdzie”. Ale i wesola nuta miesza się często do dzieł najpoważniejszych; ogłosem trąb ogłoszono, że ubodzy, żyjący dotąd z jalmużny, mają do wyboru pracę lub szpital, a że żebractwo odtąd nie będzie pozwolone. Otóż z czterdziestu tysięcy ubogich, przepelniających ulice Paryża, trzydzieści pięć tysięcy znika, jakby pod zaklęciem, przekładając życie niezależne, swobodne, bezładne, nad wielkie, przewietrzane, zawsze otwarte sale. Zostało jednak więcej niż pięć tysięcy słabych, kalek, chorych, których dosyć było dla zapelnienia nowych sal. Otóż wśród tych ubogich, obciążonych swojemi słabościami, Bossuet, jakby głosem trąby, wypowiada swój wspaniały panegiryk na tekst Świętego Pawła: *Cum infirmor, tum potens sum*. „Gdy jestem małym, ubogim, nędznym, wtedy czuję się wielkim, potężnym; wtedy tryumfuję nad wszystkim”. Święty Wincenty á Paulo obecnym był przy tej przemowie.

U stóp ambony, na której ukazał się ów młody kapłan, rozplomieniony blaskiem geniuszu swego, miło jest widzieć starego mistrza jego, gorejącego w płomieniach Miłosierdzia

Księga V.

Święty Wincenty á Paulo ostatecznie wykończa dwa główne dzieła swoje Księży Misyjonarzy i Siostry Miłosierdzia 1652—1660.

ROZDZIAŁ I.

Księży Misyjonarze przekraczają granice Francji i rozpowszechniają się po całym świecie. — Prace i cierpienia Misyjonarzy w Barbaryi 1652.

W czasie gdy ks. ks. Misyjonarze i Siostry Miłosierdzia rozpowszechnili się po miastach i wioskach Lotaryngii, Szampanii, Burgundyi i Orleanii i rosła ich liczba, gotowi wśród okropności wojny, powietrza i głodu nieść pomoc i pociechę wszystkim potrzebującym, jednocześnie byli inni Misyjonarze, którzy przekraczali granice Francji i na głos św. Wincentego szli na wybrzeża Barbaryi, Algieru i Tunisu, aby tam działać wśród więźniów. Przenikają oni też do Włoch, osiadając w Rzymie i Genui dla reformowania kleru i opiekowania się ubogimi, śpieszą do Anglii, Szkocyi i Irlandyi, dla podtrzymania wiary nieszczęśliwych katolików, przesładowanych przez Cromvell'a, podążają aż do Polski, idąc za głosem pobożnej królowej Maryi Gonzaga, płyną do Ma-

dagaskaru i w głąb Indyi. Wielkie serce św. Wincentego à Paulo nie znało granic i nie zaznało spokoju na wieść, że są gdzieś dusze do zbawienia, nieszczęśliwi potrzebujący pomocy, że są łzy do otarcia; wszędzie tam starał się posyłać dzieci swoje. Historia tych misyj podobną jest do historii najpiękniejszych dni Kościoła i dostraja się poniekąd do historii katakumb.

Ze wszystkich krajów, w których pragnął ustanowić misye, najwięcej pociągały serce św. Wincentego opustoszałe ziemie Algieru, Tunisu i Trypolisu, jęczące pod jarzmem tureckiem. On sam był tam więźniem w ciągu dwóch lat; kroplę po kropli pił z tego kielicha boleści i hańby, którym pojono więźniów; nie mógł więc myśleć o tem bez wzruszenia, pomnąc na jaką poniewierkę wystawiani są tam chrześcijanie, a szczególnie kobiety i dzieci. W Algierze więcej niż dwadzieścia tysięcy więźniów dźwigało kajdany¹⁾; w Tunisie liczono ich pięć do sześciu tysięcy²⁾; w Bizercie było pięć więzień, w Fezie—dwa, w Trypolisie—cztery, a w trzech tych miastach przeszło czterdzieści tysięcy więźniów. Do portów Algieru i Tunisu wciąż napływały galery tureckie, przywórzające jeńców; dziś przywieziono dwustu chrześcijan, jutro trzystu, czterystu, pięciuset pochwyconych na morzu. A była tam szlachta, rycerze, kapłani, młodzież, należąca do najlepszych rodzin. Sprzedawano ich na rynku, rozebranych do naga, nawet kapłanów i kobiety a kupujący zyskiwali nad nimi prawo życia i śmierci; uprowadzali ich w głąb kraju do ziem swoich, gdzie ci nieszczęśliwi wystawiani byli na najokrutniejsze obejście. „W Tunisie i w Bizercie trzymano ich na żelaznych łańcuchach i pilnie strzeżono w dzień i w nocy; w Algierze czynią to tylko podczas nocy. Wyobraźcie sobie wielkie stajnie na dwieście, trzysta lub czterysta koni każdą, a będziecie mieli obraz tych miejsc, przeznaczonych dla jeńców, z tą wszakże różnicą, że konie są dobrze żywione i opatrywane, a ci chrześcijanie zostawali wśród plugastwa, w nędzy i zupełnem opuszczeniu, przedewszystkiem z powodu wyznawanej religii,

¹⁾ Abelly I 359.

²⁾ Id. ibid.

którą Turcy mają w nienawiści. A prócz tego zdani na łaskę i niełaskę panów i dozorców swoich, byli bici i katowani niekiedy na śmierć, albo też zostawali kalekami na całe życie.

„Biedni ci jeńcy, tak utrzymywani, z tych wstrętnych pomieszczeń swoich wychodzą li tylko do bardzo ciężkich robót w polu, lub na galery do wiosła, albo na statki, wyprawiane najczęściej na wojnę przeciw chrześcijanom i tam znoszą umęczenie, bicie, pogardę i okropne udręczenia. Zwykle pracują i wiosłują obnażeni, wystawieni na żar słoneczny w lecie, a na ostre chłody w zimie; a gdy wracają z takiej wyprawy zupełnie wyczerpani z sił i prawie martwi, pędzą ich, jak bydło, do tych samych stajni, raczej na dalsze męki niż na wypoczynek. — Ze zdumieniem widzi się tę robotę wśród najstraszniejszego upału, przy której konie musiałyby padać, a jednak biedni chrześcijanie znoszą to na wpół żywi. Widzi się wysunięte języki, jak u psów żarem znużonych. Wczoraj, gdy biedny bardzo już stary jeńiec, czując się mocno osłabionym, prosił o odpoczynek, odpowiedziano mu: póki nie zdechniesz tu na kamieniu, to musisz pracować”¹⁾. „Takie cierpienia doprowadzają niekiedy do rozpacz, zdarzało się więc, że wielu, nie widząc ani końca, ani ulgi w cierpieniach, wołało śmierć, niż życie tak nieszczęśliwe; jeden udusił się własnymi rękami, inni wieszają się, a jeszcze inni przecinają sobie żyły, aby ze krwią uszło i życie. Są i tacy, co w uniesieniu szaleństwa rzucają się na panów swoich, chcąc ich zabić, — tych wnet oddaje się na spalenie. Nakoniec niektórzy wyrzekają się wiary Jezusa Chrystusa i, aby uwolnić się z tych mąk doczesnych, wpadają w stan wiecznego potępienia”²⁾.

Francya zuosiła to wszystko niemal u bram swoich, milcząc. Tysiące Francuzów traktowano, jak bydła, a ani Ludwik XIII, ani Richelieu, ani Mazarini, ani Ludwik XIV nie raczyli zająć się tem położeniem. Św. Wincenty à Paulo gorzko bolał nad podobnym stanem rzeczy i z największymi wysiłkami szukał sposobów do niesienia jakiegokolwiek pomocy braciom strasznie cierpiącym.

¹⁾ Abelly I 381.

²⁾ Abelly 385.

W Algierze, w Tunisie i w Tripolisie byli przecież konsulowie francuscy, lecz konsulowie ci, oddzieleni od Francji morzem, przez które prawie niemożliwym było przebyć bezkarnie, byli bezsilni, a nadto, czując się mało kontrolowanymi, jak i popieranymi, wyzyskiwali pozycję swoją jedynie na to, aby prędko zebrać majątek i jaknajprędzej wrocić do Francji. Prawda, że na mocy traktatów pomiędzy królem francuskim a sułtanem, konsulowie mogli mieć przy sobie przynajmniej jednego księdza, jako kapelana; lecz oni nie dbali o to z obawy przed Turkami tak, że na ziemiach afrykańskich bardzo mało było kapłanów. Tysiące jeńców zostawało w zupełnem prawie opuszczeniu, pozbawionych wszelkiej pomocy duchowej. Św. Wincenty nie skąpił starań, aby ten stan rzeczy zmienić. Wszedł w stosunki z konsułami w Algierze i Tunisie, przypominał im warunki traktatów, odpychał ich zarzuty, zachęcał do odwagi i osiągnął przynajmniej to, że przyjęli oni na kapłanów dwóch czy trzech najznakomitszych członków kongregacji ks. ks. Misyonarzy. Potem powiększył ich liczbę i umieścił po jednym lub dwóch w każdym prawie więzieniu. A że ci kapłani nie mieli jeszcze ani odpowiedniej urzędowej powagi, ani wolności potrzebnej, by przychodzić z pomocą jeńcom, powziął więc śmiałą myśl kupienia, za pośrednictwem pobożnej księżny d' Aiguillon, konsulatów w Algierze i Tunisie. Urzędy te, wedle istniejącego wówczas zwyczaju, sprzedawały się. Św. Wincenty powoływał na to stanowisko najprzód pobożnych świeckich ludzi, a w końcu samych nawet Misyonarzy, zdobywając dla nich wszelką władzę i przywileje do tego urzędu przywiązane. W ten sposób począł nieść pomoc więźniom i jeńcom,

Była to myśl tak śmiała, że zaniepokojono się nią nawet w Rzymie i kongregacja Propagandy przesłała św. Wincentemu upomnienie, w którym przypominała święte kano-ny, wzbraniające kapłanom, a szczególnie Misyonarzom w krajach niewiernych wszelkiego handlu i wszelkiego mieszania się do rzeczy doczesnych. Św. Wincenty odpowiedział, że tu nie chodzi ani o handel, ani o politykę, lecz jedynie o służbę Bożą i o posługi jeńcom, które o wiele lepiej będą zapewnione, gdy konsulatory prowadzone zostaną przez kapłanów, gdyż bardzo trudno jest znaleźć odpowiednich ludzi świeckich. To, co on przedsięwziął, jest dziełem Miłosierdzia,

a nie interesu materyalnego, jest ofiarą, a nie zyskiem, albowiem te konsulatory są wielkiem brzemieniem dla Zgromadzenia, gdyż rozchody ich znacznie przewyższają dochody. Konsulat Algierski winien był wówczas sumę trzydziestu tysięcy liwrow, a Tunis podobnież wołał o pomoc. To też, dodaje św. Wincenty: „Już więcej, niż sześć razy opuścilibyśmy chętnie te urzędy, gdyby nie to, że jednocześnie trzeba byłoby rzucić na pastwę wilków dwadzieścia do trzydziestu tysięcy dusz, które opierając się o te doczesne urzędy, staramy się zachować dla Kościoła i zyskać dla Boga. I nie wiem czy ostatecznie nie będziemy zmuszeni tego uczynić, jeżeli księżom naszym odmówione zostanie pozwolenie, co będzie wielkiem nieszczęściem. Podobało się Bogu wiele dobrego tym sposobem uczynić, w przeciwnym razie wszystko przepadnie”.

Propaganda nalegała. Św. Wincenty znowu pisał: „Jeżeli nie chcą upoważnić do piastowania konsulatów przez księży, niech je tolerują przynajmniej do czasu, gdyż w przeciwnym razie trzeba opuścić jeńców; niemożliwym bowiem jest obsługiwać ich bez posiadania powagi urzędowej, ani też znaleźć odpowiednich ludzi świeckich, którzyby wykonywali swoje obowiązki z tą mocą i bezinteresownością jaka tu jest potrzebna dla utrzymania dzieła Bożego, szczególnie po trudnościach, których doznajemy w ostatnich czasach. Dopóki tylko możliwe, utrzymamy się na tych posterunkach, bo potem stanie się wielkie nieszczęście”.

Widocznie wobec tych racji Propaganda ustąpiła, bo św. Wincenty, tak zawsze poddający się kierownictwu Rzymu, prowadził dalej i rozwijał swoje dzieło konsulatów.

Widząc, na jak wielkie niebezpieczeństwa wystawiani byli wysłańcy do Algieru, czy to jako misyonarze, czy nawet jako konsulowie, św. Wincenty wybierał ich ze szczególną troskliwością. Istotnie prawie wszyscy wysłani poumierali albo jako męczennicy, albo z zarazy, albo też pod batami Turków, spaleni na stosach, lub przywiązani do wylotu armaty. Wymienimy główniejszych. Pierwszym, prze-

¹⁾ List do ks. Golly, superyora Misyonarzy w Rzymie 23 Listopada 1657, cytowany przez Maynard'a I, str. 281.

znaczonym przez naszego Świętego do Tunisu, był Guerin z dodanym mu towarzyszem, godnym jego bratem Franciszkiem Francillon. Guerin, przedtem nim został księdzem, był żołnierzem; posiadał w wyjątkowym stopniu nieustraszoną odwagę i zimną krew wśród morowej zarazy w Lotaryngii i Szampanii, nie poczytując tego sobie za zasługę. Marzył on o śmierci wśród jeńców i Turków. Uradował się wielce na wieść o misyi swojej. „Otoś szczęśliwy, powiedział mu ktoś, idziesz na koniec do Barbaryi, gdzie cię powieszają. — Ja się spodziewam czegoś większego, odpowiedział z oczyma palającymi żarliwością, rachuję na to, że mię nadzieją na pał, lub uczynią coś jeszcze gorszego”.

Drugi, który wkrótce po nim odjechał, by mu pomagać, nazywał się Jan Le Vacher. Ten miał się żenić, gdy niespodziewana przeszkoda zniweczyła jego marzenia. Przyszedł on do św. Wincentego szukać odrobiny pociechy. Na widok tego młodzieńca św. Wincenty doznał jakby jakiegoś oświecenia z nieba; odgadł w nim pod kruchą cielesną powłoką duszę żelazną. „Opuść świat, rzecze mu, a pójdziesz do św. Łazarza”. A gdy ten został księdzem, posłał go do Afryki. Gdy zaś przy odjeździe do Marsylii ścisnął go na progu u św. Łazarza, przybył z wizytą nuncyusz Papieski. Św. Wincenty mówił mu: „Pobłogosław, Ojcze, tego młodego misyonarza, który jedzie do Barbaryi.—Jako! to dziecię!—rzecze zdziwiony nuncyusz.—Ojcze, on ma powołanie do tego”—odparł św. Wincenty.

Po przybyciu do Marsylii Jan Le Vacher zachorował. Przełożony domu Misyonarzy ks. Chrétien pisze do Świętego, przedstawiając niemożliwość puszczania go w tak uciążliwą podróż, do pracy przechodzącej jego siły. „Proszę o. Chrétien, odpisuje św. Wincenty, niezwłocznie wsadzić na okręt o. Le Vacher’a. Jeżeli osłabienie, spowodowane przez chorobę jest tak wielkie, że ten misyonarz nie ma siły pieszo udać się na okręt, to niech go tam odniosą i niech wsiada w jakimkolwiek bądź jest stanie. Jeżeli po przebyciu dwudziestu lub trzydziestu mil nie będzie znośił morskiego powietrza, niech go wezmą do wnętrza statku”¹⁾).

¹⁾ Maynard I. 268.

Święty Wincenty nigdy nie przemawiał w ten sposób, ani przy przyjęciu do swojej kongregacyi, bo to sprzeciwiało się jego pokorze, ani posyłając kogoś na niebezpieczeństwo, bo to nie zgadzało się z jego roztropnością, lecz w tym razie, jak się później okazało, albo posiadał on wzrok proroczy, sięgający w przyszłość, albo też natchnienie z góry. Jan Le Vacher był bohaterem Afryki. Goiliwość i miłosierdzie jego względem jeńców, a stanowczość wobec rządcy Algieru, utrapienia i obelgi, które znośił z taką odwagą, długie jego podróże z kaźni do kaźni, jego tak obfity w owoce zarząd konsulatu, długa starość, która mu pozwoliła przeżyć św. Wincentego, na koniec śmierć jego chwalebna u paszczy armatniej, czyniły go w ciągu lat pięćdziesięciu duszą i wzorem niedoścignionym afrykańskiego misyonarza.

Obok niego wymienić musimy pobożnego świeckiego człowieka, gorącego chrześcijanina, p. Husson, adwokata paryskiego parlamentu, którego św. Wincenty posłał do Jana Le Vacher’a, jako pomocnika. P. Husson miał objąć konsulat, w razie gdyby o. Le Vacher uważał go za zbyt uciążliwy dla siebie, od czasu, gdy mianowany został wikaryuszem apostolskim w Tunisie. Przytem pisze św. Wincenty: „Jest to młody człowiek najzupełniej wyrobiony i dojrzały. Poznasz sam wkrótce cnoty jego, a nie mówię o nich, ponieważ są one wyższe, niż przypuszczać można, lecz wspominam tylko, aby ciebie zniewolić do zużytkowania ich. Nie tylko jest mądrym, zrównoważonym, czujnym i pobożnym, lecz bardzo zdolnym do prowadzenia interesów, a zawsze gotowym do posługi bliźnim. Jedzie do Barbaryi jedynie po to, by służyć Bogu i biednym jeńcom. Opuszcza Paryż i rodzinę kochającą go bardzo, która starała się łzami i perswazyami i różnymi wybiegami go zatrzymać”.

Jednocześnie z tymi zabiegami o Tunis, św. Wincenty wysłał i do Algieru dwóch Misyonarzy: młodego kapłana księdza Novelli, bohaterskiej odwagi człowieka i brata Jana Barreau, który miał pełnić obowiązki konsula. Novelli zaledwie miał czas pokazać się w Algierze, gdy znalazł się wobec klęski morowej zarazy. Dnie i noce spędzał u łóża umierających, zaraził się sam i umarł (1647), mając zaledwie trzydzieści lat wieku. Wiele łez wylał z tego powodu

św. Wincenty i wspaniałą wypowiedział egzortę. Sześciuset czy siedmset jeńców szło za trumną zmarłego. Dwóch innych misjonarzy, których nasz Święty wysyła, aby go zastąpili o. Le Sage i o. Dieppe podobnież padło ofiarą zarazy (1648—1649).

Brat Barreau został sam dla dźwigania ciężaru misyi. Z nieustraszonej odwagi i męstwa był to bohater podobny do Jana Le Vacher'a, lecz przy tem dał się unosić popędowi serca. Namiętnością jego było opłacanie długów za ukochanych przez niego jeńców. Aby przyspieszyć ich uwolnienie, oddawał wszystko co miał i czego nawet nie miał. Zaangażował się więc ponad środki swoje; sam się obciążył długami, aby zmniejszyć długi biednych jeńców. Gdy nie miał możliwości uiszczenia się z należności, ciągnano go z więzienia do więzienia, jako niewypłacalnego dłużnika. Była to niewątpliwie nieroztropność, lecz ta nieroztropność właściwa świętym, którą świat potępia, lecz niebo rozgrzesza. Św. Wincenty gromił go, lecz nie bardzo, a podziwiał jego spokój, pogardę, moc ducha i niewyczerpane miłosierdzie. Zdarzyło się bankructwo pewnego kupca z Marsylii, z którym Barreau nie miał żadnych stosunków, tem nie mniej pasza napiera go, wymagając zapłaty za bankruta, że zaś nie mógł wypłacić, więc skazał go na kilkaset uderzeń w pięty. Omdlały, napół martwy podczas egzekucyi, skazany został na nowe męczarnie, jeżeli nie zapłaci onej cudzej należności. Wówczas wszyscy jeńcy znosili swoje małe oszczędności, skazując się na nieustanną niewolę, aby wykupić konsula, który się zawsze dla nich poświęcał.

Cały zastęp innych uczniów św. Wincentego kroczył tymi śladami: Filip Le Vacher, brat konsula z Tunisu, późniejszy konsul w Algierze; pełen dobroci Huguier, były prokurator z Châtelet de Paris, a potem kapłan i męczennik, przezwany bankierem niewolników i in. Wkrótce nie tylko Algier, Tunis, Tripolis, lecz i Tetuan, Tanger, Bizerta, Sale, Syon-Regeppe, najmniejsze porty, najskromniejsze stacye, posiadały kapłanów oraz pobożnych świeckich ludzi, poświęcających się polepszeniu losu niewolników. Św. Wincenty był duszą tego przedsięwzięcia; oświecał ich swojemi radami, podtrzymywał i zachęcał swemi pochwałami, pisał listy do oo. Guerin, Jana Le Vachera, Novelli'ego, Barreau; kwestował w Paryżu dla zdobycia pieniędzy, potrzebnych dla uniknięcia znie-

wag i łupiestw, grożących konsulom. Gdy Jan Le Vacher został wygnany z Tunisu, gdy brat Barreau został obity i wtrącony do więzienia, św. Wincenty udaje się do Mazariniego, do Anny Austriackiej, nawet do młodocianego Ludwika XIV, przedstawiając, jak znieważaną jest Francya przez takie traktowanie jej konsulów. Przez nalegania swoje otrzymał listy do sułtana w Konstantynopolu, do bejów Algieru i Tunisu. Lecz niestety, listy te były również bezskuteczne, jak i traktaty tak zuchwale gwałcone.

Jednocześnie zajmował się nasz Święty ulżeniem losu nieszczęśliwym niewolnikom. Mieszkanie jego u św. Łazarza stało się biurem poczty Afrykańskiej; otrzymywał listy od niewolników i dostarczał je rodzinom; krewni ich znosili do niego odpowiedzi swoje a on podejmował się wszelkich z tego powodu zabiegów i rozchodów¹⁾. A przyjmował nie tylko listy, lecz i pieniądze; był bankierem i kasyerem niewolników Afrykańskich. Zaiste rozczulającą i porywającą jest korespondencya jego w tym przedmiocie: „Otrzymaliśmy talara (écu) dla Renaud'a Le Page, a drugiego dla Lesueur'a, skazańca na galerze *Ducale*; proszę O. Huguier'a o wydanie im tego”.

„P. S. Przed chwilą otrzymałem trzydzieści liwrów dla Marcina de Lancre wzaz z listem do niego. Proszę mu go doręczyć. A oto jeszcze dwadzieścia i jeden liwrów przynoszą nam dla Wincentego Traverse'a; piszę do O. Huguier, aby mu je oddał”²⁾. A dalej: „oto list wymienny na sto liwrów, płatny wam przez pana Abeille, pošlesz ojczę, jeżeli łaska, tę sumę do Algieru Mikołajowi Renouard'owi na powrót jego do Francyi. Otrzymaliśmy list i jednego talara dla Marcina de Lancre, skazańca na galerze *Mercades*, która jest teraz w Marsylii, proszę cię, abyś mu to wydał”³⁾. „Każe sprawdzić mały wasz rachunek z naszymi notatkami, aby przekonać się, czy się zgadzają; jednak widzicie, co jeszcze dodać należy: najpierw Piotra Legros, nazywanego Lapointe, cztery talary, adresowane do Tulonu, które tu otrzymali-

¹⁾ To samo czynił i względem skazańców francuskich zostających na galerach.

²⁾ Lettres IV 36 № 1612.

³⁾ Lettres IV 46 № 1618.

śmy; powtóre siedm liwrów i pięć soldów dla P. Esbrana, kapłana, skazańca na galerze *Baillibaude*; piszę do o. Huguier, aby im obu wypłacił te sumy¹⁾.—„Piszę do o. Huguier, aby dał ośm liwrów skazańcowi Aleksemu Lego na galerze *la Reine*; przyjmiesz to na rachunek, jeżeli łaska”²⁾.—„Proszę was również przesłać przez kogokolwiek pięćset sześć liwrów dwóm braciom baskom, niewolnikom w Algierze, Janowi i Bertrandowi de la Roquette i wydać polecenie, że jeżeli ta suma wystarczy na wykup tylko jednego, to pożądane jest, aby wykupiony był starszy. Tę sumę pięćset sześć liwrów zaczerpnąć proszę z sumy, zostającej w posiadaniu waszem”³⁾. „Otrzymaliśmy dziesięć liwrów i pięć soldów dla Renaud’a Le Page’a, trzy liwry dla Jakóba Maugé i trzysta szesnaście liwrów dla P. Esbran’a, kapłana, wszyscy trzej skazańcy. Proszę o. Parisis o wydanie każdemu z nich ich należności, a was o przyjęcie jego rachunku. Przyslijcie nam rachunek o. Huguiera, z tego, co on awansował z naszego rozporządzenia skazańcom, od czasu ostatniego rachunku, opłaconego przez nas. Każę przysłać wam to, co mamy na pokrycie tego rachunku.

„P-ni de Komilly przysłała nam przed chwilą pięćdziesiąt liwrów dla syna swego, jeńca w Tunisie; proszę o przesłanie ich o. Janowi Le Vacher, aby ten mu doręczył. Zapiszemy to na wasz rachunek”⁴⁾.

— „Jutro wyślę do p. de Lafargue kwit na pieniądze przesłane wam przez niego na wykup z Marhissans de Celhay. Niech wie, że jest wykupiony i że zabiegano o śpieszne odesłanie do kraju.

„Mój Boże, kiedyż to przysłesz nam podobny kwit na wykup Dominika de Lains? Kiedy zwrócicie go biednej żonie jego i pięciorgu czy sześciorgu dzieciom? Czyż niema środka na to, aby skłonić jego pana do uwolnienia go przynajmniej za sześćset piastrow? To okup bardzo znaczny dla osoby, która niema nic i której jako jałmużnę dano te pieniądze, które otrzymali-

¹⁾ Lettres IV № 1626.

²⁾ № 1630.

³⁾ № 1648.

⁴⁾ № 1682.

ście. Proszę was, wykupcie go o ile możecie najprędzej i odesłajcie do Francji przy pierwszej okazji. Zaawansujcie wszystko co należy, a w razie konieczności zapożyczcie się, ja wam niezwłocznie zwrócę po zawiadomieniu o tem, ile wydaliście na tę sprawę¹⁾. Dowiedźcie się, co się stało z pieniędzmi, które posłałem dla tego, który byłby w największym niebezpieczeństwie odstępstwa”.

Możnaby przytoczyć więcej niż pięćdziesiąt podobnych listów. Skromna cela Świętego stała się rodzajem ministerium poczty i finansów na usługi biednych niewolników, jednocześnie zakładał on dla nich małe szpitale w Algierze, a myślał o założeniu podobnego w Tunisie.

Lecz wszystkie te zabiegi naszego Świętego, odnoszące się do materialnej pomocy niewolników, niezem są w porównaniu do zabiegów jego o dusze tych nieszczęśliwych. Wiedział on dobrze, do jakiego stopnia wystawieni byli albo na zapomnienie o Bogu, albo na rozpacz bluźnierstwa, albo też nawet na apostazję. W samym Algierze liczono w roku 1649 prawie dziesięć tysięcy apostatów; w Tunisie tysiąc ośmset, w Sale i Tripoli pięć do sześciuset. Lecz zaledwie synowie świętego Wincentego á Paulo ukazali się w kaźniach, gdy się wszystko przeistaczać poczęło. Jedni odrodzili się w wierze, drudzy poczęli żałować za grzechy. Widziano niewolników, odwołujących swoje odstępstwo z bohaterstwem i narażeniem się na niebezpieczeństwo życia. Za pomocą pieniędzy udało się osiągnąć, że w każdej kaźni była mała kapliczka z Przenajśw. Sakramentem, z płonąca przed nim w dzień i w nocy lampą. W niedzielę i święta nabożeństwo odbywało się z wielkiem ubóstwem, lecz z nadzwyczajną pobożnością, a często w wigilię noc całą poświęcano słuchaniu spowiedzi, bo gospodarze tych niewolników nie pozwalali na oderwanie podczas dnia od roboty. O. Guérin pisze: „W sam dzień Wielkiejnocy dano mi znać, że galera z Algieru przybyła do Bizerty. Wnet udałem się tam, by nawiedzić biednych chrześcijan, którzy byli w kajdanach. Znalazłem ich tam około trzechset i kapitan pozwolił mi odbyć z nimi małą dziesięciodniową misję. Wziąłem ze sobą księdza, który pomagał mi katechizować i spowiadać tych

¹⁾ Lettres IV № 1819.

²⁾ № 1648.

biednych ludzi; spełniali oni wszystkie obowiązki, z wyjątkiem kilku Greków schyzmatyków. O Boże wielki! jaką to sprawa pociechę widok pobożności tych biednych więźniów, z których większość od dawna nie miała sposobności spowiadania się, a byli tacy, co już od ośmiu i dziesięciu lat nie przystępowali do sakramentów, a nawet tacy co od lat dwudziestu nie spowiadali się! Na moje prośby przez wszystkie te dni zdejmowano z nich kajdany i pozwalano im wychodzić z galery na ląd dla przyjęcia Komunii Najświętszej w domu prywatnym, gdzie celebrowałem Mszę świętą. Po skończonej misy ucztowałem ich. Wydałem na żywność dla nich pięćdziesiąt trzy talary (écus)¹⁾.

Łatwo zrozumieć, że przy tem ożywianiu wiary w kaźni, nie zapomniano i o Francyi. „Zachwycony byłbyś, ojcze, pisze ks. Guerin do św. Wincentego, słysząc w każde święto i w każdą niedzielę w naszych kościołach i kaplicach śpiew *Exaudiat* i inne modlitwy za króla Francyi, względem którego nawet cudzoziemcy okazują uszanowanie i przywiązanie. Nie mniej zachwycił byś się ojcze, widząc, z jaką pobożnością biedni ci więźniowie wznoszą modły za dobroczyńców swoich, uznając, że po największej części są oni we Francyi, lub przybywają z Francyi. Istotnie nie mała to pociecha widzieć ludzi najrozmaitszych narodowości, obciążonych kajdanami, a modlących się za Francję²⁾”.

A nie tylko pobożność zakwitała w kaźniach, lecz rosła wiara coraz żywsza, gotowa do poświęceń nowych,—do męczeństwa. Przedziwne mamy tego przykłady. W Algierze, młodzieniec dwudziestodwuletni Piotr Bourgoing w chwili, gdy miał być wysłany na galery do Konstantynopola, skądby już nigdy nie wrócił, był w rozpacz. „Poszedł do paszy prosić, aby miał litość nad nim i nie pozwolił na wysłanie go na te galery. Pasza obiecuje mu pod warunkiem przyjęcia wiary Mahometa, a dla skuteczniejszego skłonienia go do apostazji przedstawia mu obraz wszelkich prześladowań, jakie go czekają w przeciwnym razie. Pogróżki i te katowania tak przygnębiły młodzieńca, że ten staje się renegatem. Zachował jednak w sercu uczucie szacunku i przywiązania do swej religii, a błąd swój popełnił z obawy przed okrutną niewolą i w nadziei, że ułatwi sobie odzyskanie wolności. Oświadczył nawet niektórym nie-

wolnikom chrześcijańskim, wymawiającym mu jego zbrodnię, że chociaż na pozór został turkiem, to jednak w duszy nie przestał być chrześcijaninem. Zastanawiając się coraz więcej nad wielkim grzechem zewnętrznego wyrzeczenia się swojej religii, uczuł prawdziwy żal za ten czyn, a widząc, że śmiercią okupić może swoje upodlenie, postanowił raczej umrzeć, niż żyć dłużej w tym stanie. Po odkryciu przed niektórymi zamiarów swoich, aby je wprowadzić w wykonanie, począł otwarcie mówić o wyższości religii chrześcijańskiej i o pogardzie swojej dla Mahometanizmu,—słowem, mówił to wszystko, co żywa wiara mogła mu podyktować, mówił zarówno wobec niektórych Turków, jak wogóle wobec chrześcijan. Obawiał się wszakże okrucieństwa barbarzyńców i przedstawiając sobie srogość mąk które mu zadawać będą, drżał ze strachu. „A jednak, powiadał, mam nadzieję w Panu naszym, że On mnie nie opuści; umarł On za mnie, słusznem jest, abym ja umarł za Niego”. Nakoniec naglony przez wyrzuty sumienia i pragnienie naprawienia zniewagi, wyrządzonej Jezusowi Chrystusowi, stanął przed paszą i rzekł. „Uwiodłeś mnie, skłaniając do wyrzeczenia się mojej religii, która jest dobrą i prawdziwą, a do przyjęcia religii twojej, która jest fałszywą. Otóż oświadczam, że jestem chrześcijaninem; żeby zaś pokazać, że z dobrej woli wyrzekam się wierzeń twoich, rzucam nienawistny turban, który mi dałeś”. I wymiawiając te słowa rzucił ów turban o ziemię i deptał go nogami, a potem dodał: „Wiem, że mnie zabijesz, lecz nie dbam o to, bo dla Jezusa Chrystusa mego Zbawiciela gotów jestem znosić wszelkie męczarnie”. Istotnie pasza oburzony tą śmiałością, skazał go wnet na spalenie żywcem. Obnażono go, włożono mu łańcuch na szyję, obciążono grubą belką, do której przywiązany miał być i spalony. Wychodząc w tym stanie z domu paszy, prowadzony na miejsce męki, widząc się otoczonym przez Turków, renegatów a nawet chrześcijan, głośno wypowiedział te piękne słowa: „Niech żyje Jezusa Chrystus i na zawsze tryumfuje wiara katolicka, Apostolska, Rzymska! Niema innej wiary, w której można być zbawionym.” Wypowiedziawszy to, pewnym krokiem szedł na męczeństwo ogniowe i poniósł śmierć za Jezusa Chrystusa.

„Otóż w tym pięknym czynie najbardziej wzrusza mnie to, co ten młodzian powiedział towarzyszom swoim: „Cho-

¹⁾ Abelly I 392.

²⁾ Id. 385.

ciaż lękam się śmierci, czuję jednak tam w głębi duszy, (tu podniósł rękę do czoła) coś, co mi mówi, że Bóg da mi łaskę znieść męki, przygotowane dla mnie. I Pan Nasz czuł lęk przed śmiercią, a jednak dobrowolnie znosił większe męczarnie, niż te, które mnie zadadzą. Mam nadzieję w Jego mocy i dobroci". Był więc przywiązany do belki i wkoło niego zapalono ogień, z pośród którego wkrótce dusza jego poszła przed tron. Boży; dusza czysta, jak złoto w tyglu stopione. Ks. Le Vacher, który go nie opuszczał, był obecnym przy tem męczeństwie; chociaż z pewnego oddalenia; zdjął z niego ekskomunikę, w którą był przedtem popadł i dał mu rozgrzeszenie wedle umówionego znaku, w chwili, gdy on cierpiał z taką wytrwałością."

Św. Wincenty, opowiadając o tem męczeństwie dodaje: „Oto, panowie, jakim jest chrześcijanin!”

Nie mniejszego podziwu godni są męczennicy afrykańscy. W r. 1646 ks. Guérin pisał do św. Wincentego: „Niedawno ci okrutnicy, aby zmusić młodą kobietę do wyrzeczenia się Jezusa Chrystusa wymierzili jej więcej, niż pięćset razów pałką, a nie zadawalnijac się tem, gdy ta na wpół martwa leżała na ziemi, dwóch z pomiędzy nich deptało ją nogami z taką siłą, że porozrywali na niej ciało. W ten sposób chwalebnie skończyła ona życie swoje, wyznając Jezusa-Chrystusa”.

W następnym 1647 roku tenże o. Guérin pisze: „Mamy tu małego trzynastoletniego chłopca z Marsylii, który od czasu pochwycenia go i sprzedania przez korsarzy, otrzymał więcej, niż tysiąc uderzeń pałką za wiarę w Jezusa Chrystusa, do której wyrzeczenia się przemocą go zmuszano. Z tego samego powodu rozrywano mu ciało, jak to czynią z pieczenią, aby ją położyć na ruszcie; poczem skazano go na czterysta razów pałką, dając mu do wyboru śmierć lub zostanie turkiem. Pospieszyłem do jego gospodarza, trzy czy cztery razy padałem przed nim na kolana z rękoma złożonemi, błagając o litość. Oddał mi go za dwieście piastrów; nie mając tych pieniędzy, pożyczylem na procent sto écus, a resztę dał mi jeden kupiec.” Ks. Jan Le Vacher w jednym z listów do św. Wincenty opowiada: „Barka francuska osiadła na mieliźnie u brzegu Tunisu; sześciu ludzi, uratowanych przy rozbiciu, wzięli do niewoli Maurowie, którzy, zaprowadziwszy ich do Tunisu, sprzedali jako niewolników. Po pewnym czasie bej, chcąc ich zrobić turka-

mi, zmusił dwóch zapomocą bastonady do wyrzeczenia się wiary w Jezusa Chrystusa; dwóch innych odważnie umarło w męczarniach, nie zgadzając się na taką zdradę, a gdy i z pozostałymi dwoma chciano to samo uczynić, postanowiliśmy wyrwać ich ze szponów okrutników. Złożyliśmy na wykup sześćset piastrów, przyczem ja przyjąłem odpowiedzialność za dwieście piastrów. Dziś są oni na wolności. Co do mnie; wolę cierpieć na tym świecie, niż pozwolić, aby wyrzekano się mego Boskiego Mistrza; i chętnie oddałbym krew i życie moje, nawet tysiąc żywotów, gdybym je posiadał, niżbym miał dopuścić, aby chrześcijanie tracili to, co Pan Nasz zdobył dla nich przez śmierć swoją.”¹⁾

Biedni jeńcy umierali nie tylko dla zachowania wiary swojej, lecz i dla ocalenia czystości i niewinności. W sierpniu 1646 roku ks. Guérin pisał do św. Wincentego: „Czuję się w obowiązku powiadomić was, że w dzień świętej Anny drugi Józef padł ofiarą w Tunisie, chcąc zachować niewinność swoją. Opierając się w ciągu przeszło roku gwałtownej pożądlwości nierządnej żony pana swego, z powodu fałszywego oskarżenia tej wilczycy, otrzymał przeszło pięćset uderzeń pałką, i nakoniec umarł chwalebnie, nie chcąc obrazić Boga swego. Przez trzy dni przywiązany był grubym łańcuchem, gdzie chodziłem go odwiedzać, aby go pocieszać, zachęcać i przygotować do ponoszenia raczej wszystkich mąk, niż uchybienia wierności, którą winien jest Bogu. Wypowiadał się on, komunikował, a potem powiedział mi: „Ojczy, niech mię męczą, jak chcą, ja pragnę umrzeć po chrześcijańsku.” A gdy przyszedli po niego, aby go wiaść na męki, on wypowiadał się jeszcze raz i podo- bało się Bogu, że pozwolono obu nam ku pociesze jego być obecnym przy jego śmierci, czego dotąd nigdy nie dopuszczali ci okrutnicy. Ostatniemi słowami, jakie wyrzekł, podnosząc oczy ku niebu, były: „O mój Boże, umieram w niewinności mojej”! Umierał bardzo odważnie, nie okazując żadnej słabości wśród okrutnych męczarni. Potem sprawiliśmy mu pogrzeb bardzo uroczysty. Złośliwa i bezecna hetera niedługo czekała na zasłużoną za swoją przewrotność karę: gospodarz po powrocie do domu, natychmiast kazał ją udusić, aby ulżyć gniewowi swemu. Ten święty dwudziestodwuletni młodzian był

¹⁾ Abelly I 374—376.

portugalczykiem. Wzywam wstawiennictwa jego, a że miłował nas na ziemi, ufam, że niemniej miłować nas będzie w niebie".¹⁾

Inne niemniej wzruszające męczeństwo nastąpiło wkrótce po tem. „Młody niewolnik, będąc zachęcony i prawie przymuszany przez nieszczęsnego pana swego do wstrętnego grzechu, odważnie opierał się jemu. Zdarzyło się, że broniąc się niepomahowanej natarczywości jego, zranił go w twarz. Okrutnik wpadł w gniew wściekły i wniósł do sędziego fałszywą skargę, że jego niewolnik chciał go zabić, skutkiem czego, gdy on sam niegodziwiec zasługiwał na spalenie za ohydą napastliwość swoją, skazano na śmierć ogniewą mężnego chrześcijanina, który ze stałością zniósł okrutne męczeństwo.”²⁾

Mnóstwo było podobnych wypadków: Ks. Guérin pisze: „Dwóch anglików nawróciło się do świętej wiary naszej i służy za przykład wszystkim innym katolikom. Jest jeszcze i trzeci, zaledwie jedenastoletnie dziecko, tak piękne, jak rzadko widzieć się daje, a tak żarliwy i pobożny, że buduje wszystkich; przytem ma wielkie nabożeństwo do Najśw. Panny, którą wzywa nieustannie, błagając o łaskę, aby umarł raczej, niżby miał wyrzec się lub obrazić Jezusa Chrystusa. Pan jego usiłuje go zmusić do wyrzeczenia się wiary chrześcijańskiej; różnych w tym celu używa sposobów. Gdyby można było przysłać nam dwieście piastrow, to wyrwalibyśmy go z tego niebezpieczeństwa i możnaby spodziewać się, że przy łasce Bożej, będzie z niego drugi Beda, tyle w nim rozumu, cnoty i powagi ponad wiek dziecięcy. Uczynił on wyznanie wiary katolickiej w ostatni wielki Czwartek i tegoż dnia komunikował; co obecnie często powtarza. Już dwa razy bito go pałkami, zmuszając do wyrzeczenia się Jezusa Chrystusa. Ostatnim razem, gdy go bito, powiedział panu swemu: „Utnij mi szyję, jeżeli chcesz, bo jestem chrześcijaninem i nigdy niczem innym nie będę.” Wiele razy zaręczał mi, że gotów jest odbierać razy i raczej umrzeć, niż wyrzec się Jezusa Chrystusa. Całe życie jego godne jest podziwu, aniołek to taki młody, delikatny; mogę prawdziwie powiedzieć, że to mała świątynia, w której przebywa Duch Święty”³⁾.

¹⁾ Abelly I 403.

²⁾ Abelly I 388.

³⁾ Abelly I 389.

Kończymy przedziwną historią dwóch przyjaciół, z których jeden był francuz, drugi anglik. Obaj pochwyceni przez korsarzy baryjskich i następnie sprzedani jako niewolnicy dwóm różnym panom, mieszkającym w blizkiem sąsiedztwie w tem mieście. To sąsiedztwo, wiek jednostajny, los podobny i stan wyrodziły ściśłą przyjaźń wzajemną tak, że kochali się, jak bracia.

Anglik, protestant, zyskany został dla Boga przez francuza, który był dobrym katolikiem, a oświecony przez ks. Le Vacher'a, wyrzekł się herezy i całem sercem przystał do wiary katolickiej. Przez rozmowy z drogim towarzyszem swoim tak został w wierze utwierdzony, że gdy kupcy angielscy heretycy przybyli do Tunisu dla wykupu niewolników swego kraju i swojej religii i chcieli go mieć w ich liczbie, on wyraźnie oświadczył, że z łaski Bożej jest katolikiem i woli przez całe życie zostać niewolnikiem w wyznaniu swej wiary katolickiej, niż kosztem odzyskania wolności, wyrzec się jej.

Obaj więc zostali nadal w niewoli. Widując się często, za zwykły przedmiot rozmowy brali wzajemne dodawanie sobie odwagi dla zachowania serc swoich w wierze Jezusa Chrystusa i jawnego wyznawania tej wiary ze stałością, bez obawy wszelkich udřeceń, których chcieliby użyć, celem zniewolenia ich do odstępstwa. Zdawało się, że w ten sposób przygotowywał ich Bóg do prób i udřeceń, które ich czekały. Panowie ich, poduszczeni przez ducha złości, zwiększali złe obchodzenie się z nimi, chcąc zmusić ich tym sposobem do odstępstwa od Jezusa Chrystusa. Dochodziło to do tak nie-ludzkiego pastwienia się, że wiele razy bito ich i nawpół martwych zostawiano rozciągniętych na ziemi. W takim właśnie stanie leżał pewnego dnia francuz, gdy towarzysz przyszedł go odwiedzić, bo mieszkając blisko siebie, często wymykali się na rozmowę, pociechę i zachętę wzajemną, opowiadając, co zdarzyło się im wycierpieć dla Jezusa Chrystusa. Anglik, ujrawszy przyjaciela, leżącego na ziemi bez przytomności, zawołał go po imieniu, by przekonać się, czy żyje jeszcze. „Jestem chrześcijaninem na życie całe”, były pierwsze jego słowa, wymówione po przyjsciu do przytomności. Wtedy Anglik począł całować zmartwiałe i pokrwawione nogi drogiego towarzysza swego, a gdy nadeszło kilku Turków, i widząc to z wielkiem zdziwieniem zapytali, czemu on to robi? „Cześć odpowiedział,—oddaję członkom, które przed chwilą

cierpiał za Jezusa Chrystusa Zbawiciela i Boga mego". Rozdrażnieni tem niewierni odepchnęli go ze wściekłością ku wielkiemu smutkowi francuza, dla którego obecność przyjaciela wielką była pociechą w cierpieniu. Po niejakiem czasie francuz wyleczył się z ran swoich i jak zwykle poszedł odwiedzić anglika. Znalazł go w podobnym, jak sam niedawno stanie, rozciągniętego na macie z sitowia i nawpół martwego po otrzymanych razach, a chociaż znalazł się przy tem w otoczeniu kilku Turków i samego gospodarza, który przed chwilą wywierał swą wściekłość nad leżącym biedakiem, wzruszony jednak tym smutnym widokiem, a wzmocniony szczególniejszą łaską niebieską, odważnie wszedł do izby i, zbliżywszy się do drogiego przyjaciela, zapytał go w obecności niewiernych: kogo on miłuje więcej: czy Jezusa Chrystusa, czy Mahometa? Biedny anglik wśród boleści głośno mu odpowiada: „Jezusa Chrystusa, bo jestem chrześcijaninem i chcę umrzeć po chrześcijańsku”. Posłyszawszy to Turcy, wpadli w wielki gniew przeciw francuzowi, a jeden z nich mając dwa noże u pasa, zagroził mu, że oberźnie mu uszy. Gdy zabierał się to uczynić, młody rycerz Chrystusowy, nie bez namysłu, wyrwa turkowi jeden z jego noży i sam ucina sobie ucho, aby pokazać tym barbarzyńcom, że nie dba o ich pogrożki. Trzymając w zakrwawionem ręku ucho ucięte, śmiało zapytuje Turków, czy chcą jeszcze i drugiego i istotnie uciąłby je, na świadectwo przywiązania do religii swojej i gotowości na cierpienie i śmierć raczej, niż na odstępstwo od wiary; Turcy wyrwali mu nóż z ręki.

Męstwo tych dwóch młodych chrześcijan tak zdziwiło niewiernych: że stracili wszelką nadzieję na to, aby zdołali zmusić ich do porzucenia wiary Jezusa Chrystusa. To też nie mówili już im więcej o tem, a Bóg, doświadczwszy w ten sposób wierności i wytrwałości tych bohaterów, w roku następnym powołał ich do siebie, gdyż obaj zmarli na zarazę. Dusze ich poszły otrzymać przygotowane im w niebie korony¹⁾

Każda wiadomość do głębi wzruszała Św. Wincentego; taka wiara, takie męstwo porywały go. Wyrażał radość i uznanie w przedziwnych listach swoich. Pełen niewypowiedzianej wdzięczności pisał do ks. ks. Misyonarzy. Lecz wielki Boże! ile to kosztowało pieniędzy, trudu, wysiłków, potu i krwi,

1) Abelly I str. 398—400.

aby dojść do takich rezultatów. Le Vacher pisał: „Niestety, gdybyż mała część tylu milionów, wydawanych pomiędzy chrześcijanami na zbytki i przysmaki, mogła być lepiej użyta na wspomnienie tych biednych dusz, dręczonych wśród tylu goryczy! Staralem się z łaski Bożej pomagać tym mężczyznom i kobietom, w miarę małej władzy mojej, lecz jesteśmy w kraju, gdzie za grube denary kupuje się pozwolenie ratowania od nędzy. Aby otrzymać prawo rozmawiania z biedakami, musiałem dobrze opłacać ich panów, jako też i za czasowe zdjęcie kajdan z niewolników niektórych galer, gotowych do odpłynięcia. Sprowadzano ich do więzienia, nie wszystkich odrazu, lecz po jednym dla odbycia spowiedzi, wysłuchania Mszy świętej i przyjęcia Komunii, co dzięki błogosławieństwu i miłosierdziu Bożemu, odbywało się z wielkim pożytkiem.” A w innym liście czytamy: „Wczoraj wyruszyły w drogę dwie galery, na których było więcej, niż pięciuset niewolników chrześcijan, wszyscy z łaski Bożej odpłynęli zaopatrzeni należycie. O jak bolesny był dla nich ten dzień, ile bastonad spadło na grzbiety tych biednych ludzi z rąk bezecných renegatów, sprawujących obowiązki dozorców! Wiem, że we Francyi galernicy nie lepiej są też traktowani; ale zachodzi ta różnica, że galernicy francuscy to ludzie skazani za popełnione zbrodnie, a niewolnicy w Barbaryi wszystkie trudy i cierpienia ponoszą z tego jedynie powodu, że są chrześcijanami, wiernymi Bogu. W dzień Komunii tych biednych ludzi, przed odprowadzeniem ich na galery, urządziłem dla nich małą ucztę, dzieląc pomiędzy nich mięso z dwóch wołów i pięćset bułek chleba; a oprócz tego dałem na każdą galere po cetnarze białych sucharów, aby rozdzielono je tym, którzy zachorują w podróży¹⁾).

Skąd wziąć tyle potrzebnych na to wszystko pieniędzy? Św. Wincenty zawsze umiał je znaleźć. Pobożna księżna d'Aiguillon na ten jedynie cel dała mu raz czternaście tysięcy liwrów (czterdzieści dwa tysiące franków); drugi raz przelała do rąk jego czterdzieści tysięcy liwrów (sto dwadzieścia tysięcy franków) na ten sam cel. Pewien obywatel paryski, odmawiający wymienienia swego nazwiska, przyniósł mu jednego poranku trzydzieści tysięcy liwrów. A co mówić o znacznej li-

1) Abelly I, str. 391.

czbie drobnych sum, codziennie otrzymywanych! Francya wzruszona opisami niedoli, nie umiała nic odmówić. Miał nasz Święty możność wykupienia więcej, niż tysiąc dwustu niewolników z pomiędzy najbardziej narażonych na niebezpieczeństwo; a na wspomnienie nieszczęśliwych jeńców przesłał prawie milion dwakroć sto tysięcy liwrów.

Ale nie tylko pieniędzmi opłacać wypadało to wielkie dzieło ratowania jeńców, trzeba także było i krwi. Święty Wincenty wciąż otrzymywał wiadomości o cierpieniach lub męczeństwie wielu misjonarzy. Ks. Novelli pisał: „Ogień spadnie na nas, jeżeli pochwyceni będziemy u jednego turka przy ćwiczeniach religijnych”. „Nie można wychylić się z domu w szacie duchownej, bo bandy Turków prześladowają przechodzącego, plując w twarz i policzkując.” Ks. Guerin, idąc do kaźni dla nawiedzenia więźniów, spotkał Turków, którzy okryli go razami i chcieli udusić. Pewnego dnia ks. Le Vacher wezwany został do beja; barbarzyńca bez ogródek mówi mu: „Wynijdz z miasta i niech noga twoja nigdy tu nie postanie; dowiedziałem się, że ty sztuczkami swemi przeszkadzasz chrześcijanom, którzy zamierzają zmienić religię, stać się Turkami i przyjąć zakon Mahometa.” Guerin zmuszony był ukrywać się przez cały miesiąc, oczekując chwili, że przyjdą go pochwycić i oddać na spalenie, na co był zdecydowany. Krótko mówiąc, Misjonarzom wciąż groziła albo śmierć ogniowa, albo stryczek szubienicy, albo pałki, albo inne męczarnie; i co chwila oczekiwali tego losu.¹⁾ A jeśli nie umierali z utrudzenia, lub pod razami plag, to zabierała ich morowa zaraza. Ks. Novelli, jak mówiliśmy, po jednym tylko roku apostołstwa, umarł w wieku trzydziestu lat, a śmierć jego wywołuje wiele łez u św. Wincentego²⁾. Ks. Le Sage i ks. Dieppe wysłani dla zapelnienia tej luki równie w ciągu roku jeden po drugim umierają z zarazy (1648—1649). Ks. Guerin, który z taką trudnością uniknął był stosu, padł też w końcu ofiarą zarazy. „Była to dusza najczystsza i najbardziej oddana Bogu i bliźniemu; drugiej takiej nie znałem nigdy, mówił św. Wincenty. O! jaka to strata i dla tych biedaków i dla nas!”

Lecz zaraza trwała tylko pewien czas, zdzierstwa zaś

i obelgi nieustannie; tytuł konsula nie zabezpieczał nawet osoby, lecz przeciwnie bywał powodem napaści. Bejowie algierscy i tunińcy, czując, że morze zabezpiecza ich przed Francją, nie zaniebawiali żadnej sposobności, by poić ich goryczą i zmuszać do oddalenia się. Widzieliśmy, jak ks. Le Vacher, konsul i kapłan haniebnie wypędzony był z Tunisu. Innym razem bej przywołał go do siebie; pewien kawaler Maltański zarwał go na 275 piastrow: „Ty musisz mi to oddać”, powiedział bey. Konsul oświadcza, że dług ten nie tycze się jego: „Mów, co chcesz, lecz ja potrzebuję moich 275 piastrow, i jeżeli mi nie oddasz, to zapłacisz życiem swoim.” Inny konsul Husson haniebnie wypędzony został z Tunisu bez żadnego formalnego procesu. I Le Vacher nie uniknął tego; „wtłoczono go do paszczy armatniej i z jej mężobójczego łona, jak powiada biskup Dupuch, uleciał w niebiosy.”

W ten to sposób traktowani byli konsulowie, reprezentanci króla Ludwika XIV! ludzie, dzierżący majestat Francji! Nasz Święty przejęty był oburzeniem; radzono mu porzucić to dzieło bezowocne, względem którego próżne były jego zabiegi u Mazariniego i u Ludwika XIV. „O! nie, pisze on do jednego z Misjonarzy, nie przekonały mnie powody, o których piszecie, a dla których miałbym opuścić rozpoczęte dzieło. Jeżeli zbawienie jednej duszy tak jest ważne, że należy poświęcić życie doczesne dla zdobycia jej, to jakżebyśmy mogli opuścić tak wielką ilość dusz, z obawy jakichś przykrości i kosztów?” I dodaje tę wspaniałą rację: „Gdybyśmy przez te stacye misyjne nie osiągnęli innego dobra nad pokazanie tej ziemi przekłetej piękna naszej świętej religii, posyłając tam ludzi, którzy przebywają morze, dobrowolnie opuszczają kraj i wszelkie wygody, wystawiając się na tysiące zniewag, byleby nieść pociechę nieszczęśliwym braciom swoim, to już uważalbyśmy, że ludzie i pieniądze dobrze były użyte.”

A nie tylko nie myślał o zaniechaniu dzieła pomocy niewolnikom, lecz widząc, że nie może już rachować na pomoc Francji urzędowej, powziął śmiałą myśl utworzenia własnej floty, i karcenia orężem tych, co tak igrali krwią chrześcijańską i honorem Francji. Zawiązał stosunki z pewnym nieustraszonym marynarzem, znanym pod imieniem kawalera Paul'a, który, urodzony na barce, licząc lat siedm, ukrył się na okręcie, mającym podnieść kotwicę, i popłynął bez pozwolenia

¹⁾ Abelly I 364.

²⁾ Ibid 365.

kapitana; został wkrótce chłopcem okrętowym, następnie majtkiem żołnierzem, potem kapitanem i na koniec, wskutek wielkiego doświadczenia, doskonałym naczelnikiem eskadry, namiestnikiem jeneralnym i wice-admirałem wód Lewantu. Nasz Święty spotkał go raz u kardynała Mazariniego i przy wyjściu z pałacu zwierzył mu się ze swojego projektu. Podobne przedsięwzięcie, tak śmiałe i tak piękne, nie mogło nie podobać się kawalerowi Pawłowi; z zachwytem przyjął ten projekt. Św. Wincenty niezwłocznie zajął się zebraniem potrzebnych funduszków i dla uniknięcia wszelkich przeszkód, uzyskał, za pośrednictwem księżny d'Aiguillon, od ministra-kardynała i od Ludwika XIV to, że wyprawa ta nie będzie ekspedycją prywatną, lecz uważana zostanie za oficjalną. Posiadamy pewną ilość listów św. Wincentego, pobudzających gorliwość kawalera Pawła w przygotowaniach wyprawy. Píše np. do Ks. Get. superyora w Marsylii: „Proszę was zobaczyć się z kawalerem i wyrazić mu powinszowanie moje dla jego zamiarów. Zadanie takie on tylko spełnić może; on dokonał już tylu pięknych rzeczy, że odwaga jego, dobre zachowanie się i szlachetne zamiary dają rękojmię powodzenia tego przedsięwzięcia. Poczytuję się za szczęśliwego; nosząc imię jego (Paul), jak to mu kiedyś powiedziałem u kardynała, i że ponawiam moją gotowość do posłuszeństwa... Rozmówcie się z nim o obejściu, jakiego doznał w Algierze konsul Barreau i będziecie mogli powiedzieć mu, że on wynagrodzi Francji te zniewagi, jakich się dopuszczali względem niej ci barbarzyńcy; że nie mógłby dokonać dzieła przyjemniejszego nad to Panu naszemu”¹⁾ A jeszcze: „Bardzo pocieszył mnie list wasz z wiadomością o podróży waszej do Tulonu i o układach waszych z panem komendantem Paul; zdaje mi się, że nie mogliście działać z większą umiejętnością i lepszym skutkiem. Dziękuję Bogu za te przymioty, jakie pozwolił wam Bóg odnaleźć w sercu tego dzielnego człowieka i za chęć jego do wyprawy na Barbaryę dla dokonania rzeczy, o których zawiadamiać. Rozwahałem, czy powinienem mieć zaszczyt napisać do niego, by podziękować mu; lecz myślę, że niegodny tego i nie znajduję słów odpowiednich do wyrażenia głębokości moich uczuć dla jego męstwa. Postanowiłem tylko odprawić

¹⁾ Lettres IV № 1602.

Mszę świętą na tę intencję, prosząc zarazem Boga, by go zachował dla dobra państwa naszego i aby błogosławił coraz więcej orężowi jego.”¹⁾

Wszystko więc prawie przygotowane już było, gdy św. Wincenty umarł i zamierzona ekspedycja nie doszła do skutku. Lecz myśl o niej nie zgasła wraz ze Świętym. Utrzymała ją pobożna księżna d'Aiguillon, oddając ją w ręce księcia de Beaufort, komendanta armii morskiej, a z większą jeszcze energią podjęta została przez Tourville'a, a wreszcie rozpoczął ją admirał Duquesn, który, zbombardowawszy Algier, zmusił Turków do kapitulacji i wzbudził prawdziwy zachwyt wśród chrześcijan Zachodniej Afryki, a szczególnie wśród Francuzów. Bossuet stał się tłumaczem tego wypadku w mowie pogrzebowej po śmierci królowej francuskiej Maryi-Teresy. „Przed Ludwikiem Francją była prawie bez okrętówi próżno dwa morza oplukiwały jej brzegi; dziś widzimy jak fale tych mórz prują liczne okręty nasze od wschodu do zachodu, a męstwo francuskie wszędzie sieje postrach i cześć dla imienia Ludwika. Ustąpisz lub zginiesz dumny Algierze, bogaty w szczątki chrześcijaństwa! Mówiłeś w chciwości serca swojego: Panuję nad morzem i narody są moją zdobyczą. Ufałeś w lekkość i szybkość okrętów twoich; lecz zostaniesz zaskoczony we własnych murach jak ptak drapieżny wśród skał w gnieździe swoim, gdzie rozdzielał zdobycz pomiędzy dzikie pisklęta swoje. Oddajesz już niewolniki swoje. Ludwik skruszył żelaza, które miś dręczył poddanych jego, przeznaczonych do wolności pod chwalebne panowanie jego. Dziś domy twoje są kupą gruzów. W brutalnej wściekłości sam zwracasz się przeciwko sobie i nie wiesz, jak nasycić swój gniew bezsilny. Lecz ujrzymy koniec rozbojów twoich. Zdumieni żeglarze wołają: Kto wyrówna Tyrowi? a w każdym razie cisza zalega morze i bezpieczną jest żegluga pod osłoną oręża Ludwikowego.”²⁾ Niestety, trzeba jednak było jeszcze czekać sto pięćdziesiąt lat na urzeczywistnienie patryotycznych zamiarów św. Wincentego à Paulo, przez wnuka Ludwika XIV. Ojciec Lacordaire, mówiąc o błogosławionym Piotrze Furrierze, powiedział: „Na koniec, chwała niech będzie Bogu! znalazł się proboszcz

¹⁾ Lettres № 1644.

²⁾ Bossuet. Oraisons funèbres XII, 513. Paris, Louis Vivès 1864

wiejski z duszą konsula Rzymskiego¹⁾). Z większą słuszością powiedzieć możemy: znalazł się ubogi ośmdziesięciopięcioletni starzec z duszą iście królewską!

Synowie św. Wincentego à Paulo, zawsze ożywieni duchem swego Ojca, nieśli dalej miłosierną pomoc jeńcom baryjskim aż do czasu, gdy zajęcie Algieru w roku 1830 położyło koniec napadom muzułmańskich piratów.

¹⁾ Lacardaire. Oeuvres VIII, 68.

ROZDZIAŁ II.

Księża Misyjonarze przekraczają granice Francji i rozchodzą się po całym świecie (ciąg dalszy). – Św. Wincenty à Paulo posyła Misyjonarzy do Irlandji, Szkocyi, Polski, Włoch i na Madagaskar.

Wysyłając pewną liczbę swoich księży na pomoc chrześcijanom, jęczącym pod batami Turków, św. Wincenty wysyłał jednocześnie innych w stronę Anglii, Irlandji i Szkocyi, aby śpieszyć z pomocą katolikom, uciśnionym przez protestantów. Uczynił to chętnem sercem za wskazówką Papieża Innocentego X. W ciągu długiego życia swojego widział on, że Anglia była odstraszałym przykładem niestałości religijnej. Od tysiąca pięciuset lat katolicka, nazwana „wyspą Świętych”, porzuca swoją dawną wiarę, porzuca tłumnie, bez oporu, na głos króla swego Henryka VIII, apostaty i rozpustnika (1634). Po dwudziestu latach z protestanckiej staje się znów katolicką, z równą łatwością, również bez oporu, pod rządami królowej Maryi (1554). Umiera Marya, następuje Elżbieta i Anglia znów staje się protestancką (1562). Dziś widzimy ją znowu, gotującą się do powrotu do Kościoła. Król Karol I był wprawdzie protestantem, lecz charakteru łagodnego i słabego; świeżo poślubił Henryetę francuską, siostrę pobożnego Ludwika XIII, córkę Henryka IV. Katolicy nie ukrywali swojej radości. Przez nieroztropność, którą potem musiano drogo opłacić, młoda królowa uczyniła solenny swój wjazd do Londynu w otoczeniu biskupów, kapłanów i zakonników. O. Bérulle

i dwunastu Oratoryanów nie opuszczało jej. Kontraktem słubnym zawarowano, że religia katolicka posiadać będzie wolność i swobodę publicznego nabożeństwa. Z największym pośpiechem urządzono w pałacu królewskim wspaniałą kaplicę katolicką. „Z przybyciem królowej, powiada Bossuet¹⁾, katolicy odetchnęli. Owa kaplica królewska, którą z całą wspaniałością zbudowała królowa w swoim pałacu Sommerset, nadawała Kościołowi katolickiemu pierwszą formę zewnętrzną. Henryetta, godna córka świętego Ludwika, wszystkich ożywiała w wierze przykładem swoim; wiarę tę z chwałą utrzymywała przez rekolekcyje i modlitwy, a pobożność jej ustalała dawną opinię najbardziej chrześcijańskiego domu Francyi. Księża Oratoryanie pod wodzą wielkiego o. de Bérulle, a po nich ojcowie Kapucyni pobożnością swoją nadawali ołtarzom prawdziwą ozdobę, a służbie Bożej właściwy majestat. Miejscowi kapłani i zakonnicy, gorliwi i nieustraszeni pasterze tej trzody strapionej, żyjący w ubóstwie, błakający się i ukrywający się dotąd w przebraniu, „bo nie godni byliby ziemia ich nosiła”, przychodzili teraz do kaplicy królowej radośnie z chwalebnem znamieniem swego powołania. A Kościół spustoszony, który w ukryciu dotąd jęczeć musiał i opłakiwać minioną chwałę swoją, teraz głośno śpiewał pieśni syońskie na ziemi obcej”. Bossuet mówi dalej: „Nawrócenia były niezliczone i ci, którzy byli naocznymi świadkami, opowiadają, że w ciągu trzech lat pobytu królowej na dworze syna swego, sama tylko kaplica królewska widziała więcej, niż trzechset nawróconych, nie mówiąc o innych, wyrzekających się błędów swoich, wobec jej jałmużników”. Pewien biskup publicznie w Londynie celebrował i bierzmował ośmnaście tysięcy katolików.²⁾ Wszystko rokowało najlepsze nadzieje i Bossuet był echem tego, gdy w mowie pogrzebowej królowej Henryetty mówił: „Jeżeli sąd mój mnie nie myli; jeżeli, przypominając wypadki wieków minionych, porównywan je ze stanem obecnym, to śmiem mniemać, że dni zaślepienia minęły i że teraz powraca światło.”³⁾

¹⁾ Bossuet. Oeuvres XII, 445—447. Paris, Vivés 1864.

²⁾ Michelet. Hist. de France XI. 262.

³⁾ Bossuet 446.

Do pomocy temu ruchowi Innocenty X, na prośbę królowej Henryetty, zaprasza św. Wincentego, aby w tę stronę skierował kilku swoich Misyjonarzy, o których zaczęto już cuda opowiadać. Nasz Święty pospieszył na to wezwanie; tylko zamiast posyłania swoich kapłanów do Anglii, gdzie pracowali już wówczas Oratoryanie, Kapucyni i Jezuici, wysłał dwie partye, któremi mógł rozporządzać, jedną do Irlandyi, drugą do Szkocyi.

Od czasów Henryka VIII Irlandya rozpoczęła dni męczeństwa swego; ani obietnice, ani groźby, ani utrata dóbr, ani śmierć nie mogły zniweczyć dawnej jej odrębności i przywiązania do wiary katolickiej. Po częściowych powstaniach, dążących do zrzućcenia wstrętnego jarzma, uczyniła ona największy wysiłek w roku 1641. Powstała masowo z hasłem: *Pro Deo, et rege et patria Hiberna, unanimes!* wskazując przez tę dewizę, że nie myśli oddzielić się od Anglii i jej króla, lecz że w tej unii chce zachować swoją odrębność i swoją wiarę. Wojna ogłoszona przez Zgromadzenie jeneralne w Kilkenny, uznana za słuszną i prawną przez radę narodową, była tem nie mniej nieszczęśliwą. Irlandya została złamaną przez przeważające siły; ziemię jej zabrano, biskupi i kapłani skazani na śmierć, młode jej córki wysłane do Ameryki, najgorliwsi jej obywatele zamknięci w więzieniach! A jednak co zdoła uczynić gwałt wobec wiary? Od czasu małżeństwa Henryetty Irlandya trzymała się wiary, dla której poniosła tyle ofiar. Przyjaznym więc był czas na przybycie Misyjonarzy: pocieszać ofiary prześladowania, podtrzymywać słabych, przygotowywać przyszłych męczenników, było pięknem zadaniem dla ich gorliwości. A podobnie, jak księżna d'Aiguillon zasilala św. Wincentego pieniędzmi na Afrykańskie misye, tak prezydentowe de Lamignon i de Herse łożyły na misyę irlandzką. Wysłał tedy św. Wincenty niezwłocznie ośmiu Misyjonarzy, z których pięciu było Irlandczykami i skierował ich do Limerick i Cashel, skąd biskupi wielkim głosem wołali o ich przysłanie. W Limerick powodzenie było wielkie; nie tylko mieszkańcy miasta, lecz i sąsiednich okolic śpieszyli dla słuchania ich nauk „prostych, jasnych a gorących” katechizmów „przystępnych a poważnych” i dla odbywania spowiedzi jeneralnych. Wypowiadało więcej, niż dwadzieścia tysięcy. Ludzie musieli niekiedy czekać całymi dniami i tygodniami, z powodu ogromnych

tłumów, otaczających spowiedników. To samo było w Cashel i w innych miastach, gdzie wysłuchano przeszło ośmdziesiąt tysięcy spowiedzi jeneralnych, oprócz tych niezliczonych, o których nigdy się nie dowiemy szczegółów, bo św. Wincenty rozkazywał, aby ani słowa o nich nie pisano, mówiąc, „iż dosyć, że Bóg będzie wiedział o tem, co tam dokonano” dodając, iż „krew tych męczenników nie będzie zapomnianą wobec Boga, a wcześniej, czy później posłuży do wzbudzenia nowych katolików”¹⁾. Tak się też stało; wkrótce bowiem potem, gdy głowa Karola I-go spadła na rusztowaniu a Cromwell mianowany został protektorem, straszliwe prześladowanie zalało znów krwią Kościół irlandzki. Misyjonarze musieli pójść w rozsypkę i ukrywać się, lecz owoce ich pobytu nie znikły wraz z nimi; „bo ani jeden z proboszczów i pasterzy tych miejsc, gdzie odbywały się misye, nie opuścił trzody swojej; wszyscy wytrwale zostawali na miejscu dla ich obsługi, aż póki śmierć lub wygnanie za stałe wyznawanie wiary katolickiej gwałtem ich nie oderwało.” Burmistrz i trzech znaczniejszych mieszkańców Limerick’u poszli na rusztowanie; „ubrali się odświętnie w najpiękniejsze szaty, na znak, że uważają się za szczęśliwych, oddając swe życie za Boga, a przed samą egzekucją wygłosili mowy, które wywołały łyż gorące wśród wszystkich obecnych nawet heretyków. W przemówieniach tych wobec nieba i ziemi świadczyli, że umierają za wyznawanie i obronę religii katolickiej. Umacniało to bardzo innych katolików w zachowaniu wiary i w postanowieniu raczej ponieść wszelkie ofiary, niż sprzeniewierzyć się Bogu”²⁾. Takie przykłady nie poszły na marne. Promieniając takimi przykładami, Irlandya przetrwała trzysta lat cierpień i łupiestwa i została wierną Bogu i sobie.

Przybycie Misyjonarzy do Szkocyi nastąpiło w r. 1651 i było połączone z niemałymi trudnościami. Szkocya nie broniła tak mężnie wiary swojej, jak Irlandya; osłabła od początku a reformacya przybrała tam od razu zaciekły charakter. Fanatyk Knox i jeszcze niebezpieczniejszy następca jego Melvil palili kościoły i klasztory, wyganiali i mordowali biskupów i kapłanów, ofiarując ogromne sumy pieniędzy każdemu, kto wyda ukrywających się. Wstępowali więc tam Mi-

syjonarze z największymi ostrożnościami, przebrani za kupców; a na okręta wsiadali nie w Calais, lecz w Holandyi, przez co przybycie ich mniej zwracało uwagi. Młody szkot, katolik, Mac-Donnel służył im za tłumacza i przewodnika; lecz ledwie stanęli w Szkocyi, gdy poznani przez księdza apostatę, który doniósł o nich, musieli się ukrywać. W tem ukryciu dwóch przewodników Misyi: Duiguin i Le Blanc rozmyślali, czy nie lepiej by było rozłączyć się? Le Blanc pozostałby w Szkocyi, mniej uwagi na siebie zwracając, a Duiguin przed powrotem do Francyi postara się dostać na Hebridy, małe wyspy u zachodnich brzegów Szkocyi, nie mające między sobą wzajemnych stosunków, a pogrążone w ostatecznej nędzy. Po wygnaniu księży katolickich, protestanci posłali tam kilku apostatów, lecz ubóstwo na wyspach było tak wielkie, że ci wysłannicy cofnęli się prędko. Od pięćdziesięciu lat ludność żyła bez kapłanów, bez religii, bez nabożeństwa, nie znając nawet imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa.” Spotykano tam starców osiemdziesięcio i nawet stuletnich, którzy nie byli ochrzczeni.”¹⁾ Deguin rozpoczął więc podróż z wyspy na wyspę, w towarzystwie dwóch ludzi, „jeden do pomocy w wiosłowaniu przy przepływaniu z jednej wyspy na drugą, lub do przenoszenia aparatów kapłańskich i małego bagażu, przy przejściu piechotą po cztery i pięć mil po najokropniejszych drogach, które przebywać należało często przed Mszą świętą; drugi był katechetą i służącym.” Ciężkiem było to życie: „Pożywienie, raz na dzień, składało się z chleba jęczmiennego lub owsianego z odrobiną sera lub masła solonego; niekiedy post absolutny, gdy trzeba było przejść przez góry puste i niezaludnione; mięsa nigdy, lub prawie nigdy, bo takowe widywano tylko u szlachty, lecz złe i brudno przyrządzone i podane na słomie, która służyła zarazem za stół i za siedzenie, za obrus i serwetę, za półmisek i talerz, co wszystko wzbudzało obrzydzenie. Kupować mięso samemu i przyrządzać je na sposób francuski, nie mógł, bo tam nie ma ani rzeźników, ani detalicznej sprzedaży; trzeba by więc kupować całego wołu lub barana a cóż z tem robić przy ciągłych podróżach z miejsca na miejsce, dla udzielenia chrztu i innych sakramentów? Na wybrzeżach było sporo ryb, lecz mało przemysłni i leniwi

¹⁾ Abeilly 1. 413.

²⁾ Ibid 417.

¹⁾ Abelly I 464.

wyspiarze czy nie umieli, czy nie chcieli ich łowić.”¹⁾ Na szczęście wśród ubóstwa, wielkie pociechy podtrzymywały zapał Misyonarza. W Vista nawrócił największego pana wyspy, de Clauranald, jego żonę, syna i całą zależną od niego szlachtę i poddanych z rodzinami. W Egga i Cauna zjednał Kościołowi przeszło ośmset osób. „W Moodvit, Arasog, Moro, Condii i Cleangary, wszyscy się nawrócili lub pragnęli poznać naukę katolicką, skoro zdołamy przyjść do każdej wioski, a jest sześć czy siedm tysięcy ludzi w tych miejscowościach, dość oddalonych jedna od drugiej, które pieszo z wielkim trudem zaledwie odwiedzić można, o podróży zaś konno nie było mowy.” W Barra ludność tak z natury była religijną, że Misyonarze byli tem zachwyceni. „Wystarcza nauczyć jedno dziecko z każdej wsi, *Pater, Ave i Credo*, a po dwóch, trzech dniach wszyscy, starzy i młodzi, już to umieli. Przyjąłem do kościoła wszystkich znakomitszych w tych miejscach a pomiędzy innymi młodego pana z braćmi i siostrami. Wpółśród nawróconych jest syn pastora; pobożność jego wielkiem jest zbudowaniem dla wszystkich go znających. Zwykle po odbyciu jeneralnej spowiedzi odkładałem na jakiś czas Komunię, aby się lepiej nauczyli i przygotowali do niej przez powtórna spowiedź i aby wzbudzić w nich żywsze pożądanie tego sakramentu”²⁾. Deguin przygotowywał się w dalszą jeszcze drogę aż do Pabba, gdzie i trudy i niebezpieczeństwa, były jeszcze większe,; lecz Bóg zadowolnił się dobrymi chęciami jego. Jak Mojżesz u wejścia do Ziemi Obiecanej, jak św. Ksawery u progów Chin, tak i Duiguin umarł przed wstąpieniem do Pabba 17 maja 1657 r. Pochowany został na wyspie Ouist, gdzie dotąd istnieje kaplica jego imię nosząca.

Święty Wincenty à Paulo, dowiedziawszy się o tej śmierci z boleścią zawiadomił o niej swoją Kongregacyę: „O. Duiguin zmarł na misyi w Hebrydach, gdzie, można powiedzieć, cudów dokazał. Biedni wyspiarze wielcy i mali oplakiwali go, jak ojca. Nie zawiadamiają mnie o szczegółach owocnej jego pracy, a raczej tego, co Bogu się podobalo zdziałać przez niego. Wiadomo, że stamtąd o sprawach religijnych nie odważają się pisać inaczej, jak tylko ogólnikami i w przenośniach

¹⁾ Maynard III, 45.

²⁾ Abelly I 466.

³⁾ Abelly I 468.

z powodu Anglików, okrutnie prześladujących katolików w ogóle, a w szczególności kapłanów, gdy gdzie odkryją ich obecność.”

W tym samym czasie dobry ks. La Blanc żył w ukryciu w Szkocyi, chodząc nocami z domu do domu, podtrzymując katolików w wierze słowem swoim i sakramentami. „Przedsięwziąłem nawet podróż na wyspy Orkadzkie i przeszedłem strony Morawii, Rosi, Suther Candii i Cathanezyi, gdzie od wielu lat nie było żadnego kapłana i nie zostało prawie żadnego katolika. Lecz zaledwie zacząłem pracować, musiałem z pośpiechem wracać wskutek nowego i gwałtownego prześladowania katolików, przez poduszczanie pastorów. Uzyskali on rozkaz protektora Cromwell’a, rozesłany do wszystkich sądów i urzędów królestwa Szkockiego, który powiada: że wedle tego, co mu przedstawiono, w wielu, szczególnie prowincjach północnych, przechodzi na papizm. Aby to powstrzymać i zapobiedz dalszym odstępstwom, poleca pilnie śledzić, szczególnie wszystkich księży i nakazuje wtrącać ich do więzienia, a następnie karać wedle praw królestwa.” Pomimo wszystkich ostrożności ks. Blanc został aresztowany i wtrącony do więzienia. Św. Wincenty pisze z tego powodu: „Polecać będziemy Bogu naszego dobrego o. Le Blanc, który pracował w górach Szkockich i przez Anglików heretyków został wzięty do więzienia wraz z jednym ojcem Jezuitą. Odprowadzono go do miasta Aberdeen, skąd jest o. Lunsden, który nie omieszka zobaczyć go i dopomódz mu. Wielu jest katolików w tym kraju, którzy nawiedzają i pomagają cierpiącym kapłanom. Tyle tylko wiadomo, że dobry ten misyonarz jest na drodze do męczeństwa. Nie wiem, czy cieszyć się, czy smucić powinniśmy z tego powodu, bo z jednej strony płynie stąd cześć dla P. Boga, gdyż nasz brat czyni to z miłości ku Niemu, a i Zgromadzenie nasze bardzo szczęśliwem będzie, jeżeli Bóg uzna je za godne posiadania męczennika. Wreszcie on sam będzie szczęśliwy, mogąc cierpieć dla imienia Bożego i poświęcić siebie, na wszystko, co podoba się Bogu zawyrokować o dalszych jego losach. Oto jak rozporządza Bóg tymi, którzy już oddali Mu znaczne usługi: obciąża ich krzyżem, strapieniem i pohańbieniem O! ojcowie i bracia moi w krzyżu i cierpieniach musi być coś bardzo wielkiego, co przechodzi pojęcie nasze, gdyż Bóg zwykle tak zrząda, iż po usługach Jemu oddanych

zsyła utrapienia, prześladowania, więzienie i męczeństwo, aby podnieść na wysoki stopień cnoty i chwały tych, którzy doskonale Mu służą."

Prawo miejsowe orzekało, iż kapłan katolicki wtedy tylko skazany zostanie na śmierć, jeżeli pochwycony będzie przy odprawianiu Mszy świętej. Więc Le Blanc został uwolnionym z tem, że jeżeli by w przyszłości miał kazania lub udzielał chrztu, zostanie powieszony bez żadnego procesu. Pogrożka ta nie przstraszyła go i ruszył znowu w góry Szkockie. Święty Wincenty pisze wnet: „Dziękujemy Bogu, że w ten sposób wyzwolił niewinnego i że znalazł się pomiędzy nami brat, który wycierpiał to wszystko z miłości Zbawiciela swego. Dobry ten kapłan nie cofnął się z obawy śmierci przed powrotem w góry Szkockie, aby pracować tam tak, jak przedtem. O, jak powinniśmy dziękować Panu, że Zgromadzeniu naszemu dał ducha męczeństwa, to światło powiadam i tę łaskę, że ogląda ono rzecz tak wielką, tak promienną, tak boską, jak śmierć za bliźniego, na wzór Pana Naszego. Będziemy wciąż dziękowali Bogu i prosili Go, aby każdemu z nas dał tę samą łaskę cierpienia i oddania życia swego za zbawienie dusz."

W czasie, gdy św. Wincenty, jak wódz armii, posyła najlepsze wojska swoje na utrapienia, w Algierze i Tunisie na niebezpieczeństwa w Irlandyi, Szkocyi i wyspach Hebrydskich, księżna Ludwika Marya Gonzaga świeżo powołana na tron Polski, żądała od niego przysłania kilku księży do nowego jej królestwa. Księżna Marya Gonzaga przez długi czas była uczestniczką Zgromadzenia Pań Miłosierdzia i zostawała pod duchowem kierownictwem św. Wincentego. To też jednocześnie ze staraniami o utworzenie wkoło siebie dworu zupełnie francuskiego, do którego wprowadzała sztuki, literaturę, mody i smak francuski, jako prawdziwie pobożna niewiasta prosiła św. Wincentego o księży Misyonarzy, Siostry Miłosierdzia i o Siostry Wizytki. Nasz Święty, żywiąc ojcowskie przywiązanie ku młodej królowej, wybrał ks. Lambert'a, pierwszego z uczniów swoich, swego asystenta, człowieka wypróbowanej cnoty, a przede wszystkim wielkiej pokory, roztropności i mądrości, a gotowego do heroicznego poświęcenia i postawił go na czele tej misyi. Chociaż dużo go kosztowała rozłąka z takim człowiekiem, na którym polegał i którym wyręczał

się wobec brzemienia siedmdziesięcioletniego wieku swojego, to jednak nie zawahał się ustąpić go królowej Polskiej. Dodał też mu kilku księży wielkiej cnoty i niezwłocznie wyprawił ich razem w r. 1651. Po trudnościach podróży, których nie będziemy tu opisywali, przybyli oni do Polski w chwili panowania morowej zarazy. Królowa chciała zatrzymać ich zdala od niebezpieczeństw tej klęski, lecz ks. Lambert był zdania, że pierwszym posterunkiem ich powinno być znalezienie się wśród zadżumionych i bezpośrednio udał się do Warszawy, gdzie zaraza grasowała najsilniej. Królowa niebawem pisała o tem do św. Wincentego à Paulo: „Dobry ksiądz Lambert, widząc obawę Polaków wobec morowego powietrza, spieszył do Warszawy, aby zaprowadzić lepszy, niż tam był porządek w pomocy ubogim. Wydałam rozkaz, aby umieszczono go w zamku, we własnym pokoju króla. Codzień otrzymuję wiadomości i codzień zalecam mu, aby nie wystawiał się na niebezpieczeństwo. Ma on tam przy sobie wszystko potrzebne, by mógł wrócić do mnie niezwłocznie po zaprowadzeniu należytego porządku w dzielach przez niego przedsięwziętych. Upominam go, aby spieszył się i jak najprędzej przybywał do mnie. Gdyby nie ta choroba, która popyła wszystkie zamiary nasze, już byśmy skończyli osiedlenie się w Warszawie. Przed dwoma dniami przybyły Siostry Miłosierdzia, z których bardzo jestem zadowolona". Dobre te siostry rozpoczęły działalność swoją od aktu cnoty, który mógł urazić królową Polską, a w rzeczywistości ją zachwyił. Po kilku dniach odpoczynku królowa powiedziała im: „Pójdźmy, siostry moje, czas rozpocząć już pracę. Jest was trzy; chcę jedną zatrzymać przy sobie, ciebie, siostrze Małgorzato; dwie inne pojedą do Krakowa służyć ubogim. Ach! Najjaśniejsza Pani, odpowiada siostra, czego żadasz? Trzy nas tylko jest do służenia ubogim, a w królestwie tyle innych jest osób zdolniejszych służyć Waszej królewskiej mości! Pozwól nam, Pani, czynić to, czego Bóg od nas wymaga i co czyniliśmy gdzieindziej." Królowa obstała przy swoim; siostra nic już nie odpowiadała, lecz załapała się łzami, co widząc królowa, rzecze: „Jakto, siostrze moja, odmawiasz mi służyć? Wybacz, Najjaśn. Pani, lecz my oddaliśmy się Bogu dla służenia ubogim." Do łez wzruszona królowa, odprawiła wszystkie trzy, aby jechały na pomoc zadżumionym.

Lecz owo morowe powietrze nie było jeszcze największem niebezpieczeństwem, wybuchła wojna. A jaka przytem wojna! Z jednej strony Moskwa i ogromne zastępy Kozaków; z drugiej protestancka Szwecya ze staremi, wywiczonemi przez Gustawa Adolfa, wojskami; z jednej strony schyzma grecka, z drugiej herezya; podwójne ramiona żelazne, pod którymi Polska miała być zdławioną. Królowa odjeżdża wraz z królem, do wojsk, lecz chce, aby ksiądz Lambert, do którego miała bezwzględne zaufanie, im towarzyszył. Zgodził się on, chociaż był wyczerpany przez trudy wśród zarażonych morowem powietrzem i wkrótce pomimo troskliwości, którą otaczała go królowa, 31 Stycznia 1653 r. zmarł, jak święty w strasznych boleściach, po bohatersku znoszonych. Święty Wincenty przegnębiony był tą wiadomością. Zaraz napisał do wszystkich swoich domów misyjnych. „Dobry ks. Lambert odszedł do Boga, ostatniego stycznia, po trzydniowej zaledwie, lecz tak bolesnej chorobie, że sam mówił, iż nie mógłby już dłużej tak cierpieć, a nie umrzeć; to też po przyjęciu wszystkich sakramentów z rąk ks. Desdames, oddał ducha Bogu.¹⁾ Spowiednik królowej Polskiej zawiadamia mię, że powszechny panuje za nim żal i że wedle ludzkiego mniemania, trudno znaleźć kapłana bardziej odpowiedniego do prowadzenia dzieł Bożych. Dodaje też, że można go nazwać *Dilectus Deo et hominibus, cujus memoria in benedictione est*. (Miły Bogu i ludziom, którego pamięć błogosławiona). Szukał jedynie tylko Boga i nigdy nikt w tak krótkim czasie nie zdołał zyskać tyle poważania i łaski u króla i królowej i u wszystkich, bo wszędzie, gdzie się ukazał, roztaczał woń wielkich cnót. Królowa, która napisała mi długi list własnoręczny, po wyrażeniu zadowolenia z działalności zmarłego i żalu po jego stracie, kończy list

¹⁾ Wobec najścia Szwedów król Jan Kazimierz stanął na czele wojsk i ruszył ku Litwie. Królowa Ludwika Marya towarzyszyła mu i udała się do Grodna. Ks. Lambert towarzyszył dworowi. Poznał się z biskupem Wileńskim Kietowiczem, który chciał polecić mu urządzenie seminarium Kongregacji, co zostało uskutecznione zaledwie po trzydziestu latach. Tym czasem ks. Lambert zaniemógł i udał się do braci swoich w Sokółce, oddanej przez króla, jako kollatora. Misyjonarzom. Tam pomimo troskliwości, którą go otaczano zmarł 31 Stycznia 1653 r., mając lat 47. Pochowany został pod wielkim ołtarzem kościoła Sokólskiego. Lecz w roku 1686 zwłoki jego przewieziono do Warszawy i pochowane w podziemiach kościoła św. Krzyża, gdzie dotąd spoczywają. (Patrz Mémoires de la congrégation de la Mission. Tome premier, p. 12—13). (Przypisek tłumacza).

temi słowami: „Nakoniec, powiada, jeśli mi nie przysłecie drugiego ks. Lambert'a, nie będę wiedziała, co począć". Jest to świadectwo bezwzględnego zaufania, którem go obdarzała."

Dla zastąpienia zmarłego ks. Lambert'a, św. Wincenty zwrócił oczy na misyonarza wysokiej cnoty O. Ozenne i chciał, by ten niezwłocznie jechał do Polski. Przybył on tam wśród coraz bardziej powikłanych stosunków. Protestantyzm, panujący już w Anglii, Danii, Szwecyi i Holandyi, popierany przez smutną politykę Mazariniego, jak przedtem przez Richelieu'ego, był teraz w przededniu opanowania Polski, a po złamaniu tego przedmurza katolicyzmu, miał zapanować w Europie. Wśród tych nieszczęść rozbrzmiewa głos żalu ś. Wincentego. Woła on, „czy nie zdaje się wam, że Bóg chce Kościół swój przenieść w inne kraje ziemi? Tak, jeżeli się nie zmienimy, trzeba się obawiać, że Bóg odbierze go nam zupełnie, widzimy bowiem potężnych nieprzyjaciół Kościoła, wkraczających zbrojnie do jego wnętrza. Okrutny król szwedzki, w przeciągu niespełna czterech miesięcy zajął znaczną część Polski. Musimy się lękać, czy nie wzbudził go Bóg na to, aby ukarać nas za nieprawości nasze. Są to nieprzyjaciele tacy, jakimi niegdyś posługiwał się Bóg w tymże samem celu. Przed tysiącem dwiestu laty Gotowie, Wizygoci i Wandalowie wyszli z tych samych stron i zagrażali Kościołowi Bożemu. To powinno nas zniewolić do baczości. Tak wielkie królestwo zajęte w przeciągu krótkiego czasu czterech miesięcy! O Boże! kto może wiedzieć, czy ten straszny zdobywca nie pozostanie tam? Kto to wiedzieć może?" Święty nasz wciąż otrzymywał listy, w których przedstawiano mu synów jego, dzieci jego: Ozenne'a, Desdames'a, Duperroy'a, jednych obrabowanych, okradzionych przez wojska nieprzyjacielskie, ratujących się ucieczką prawie bez odzieży, innych, zostających wśród zadżumionych, chorych, wyczerpanych, zaledwie na nogach utrzymać się mogących. Przykładami tymi posługiwał się Święty, aby zachęcać do cnoty, do bohaterstwa tych, którzy zostawali w Paryżu. „Widzicie ojcowie, mówił on, jak tamci obojętni są na śmierć i życie, a pokornie zdają się na wolę Boga. Żadnej niecierpliwości, żadnego pomruku narzekania, przeciwnie, wydają się gotowymi do większych jeszcze cierpień. A cóż wy ojcowie i bracia moi? Czy jesteśmy gotowi znieść utrapienia, które Bóg nam ześle, a stłumić głos natury, aby

żyć jedynie życiem Jezusa Chrystusa? Czy gotowiśmy iść do Barbaryi, do Indyi, a choćby już tylko do nieszczęśliwej Polski i tym dalekim krajom poświęcić życie nasze? Jeżeli tak jest, to błogosławmy Bogu; lecz jeżeli przeciwnie, ktokolwiek obawia się wyrzec wygod swoich, jeżeli jest do tylu wrażliwym, że gotów narzekać na najmniejszy niedostatek, tak delikatnym, że chciałby zmienić swój dom i swój urząd z powodu, że powietrze nie tak dobre, że pokarm tam ubogi i że niema takiej, jakby chciał swobody ruchów, — słowem, jeżeli kto z pośród nas jest niewolnikiem natury, poddanym zmysłowości, tak, jak ten nędzny grzesznik, który do was przemawia, który, mając siedmdziesiąt lat jeszcze jest tak mało rozumiejącym rzeczy święte, ten niech się uważa za niegodnego tej służby apostołskiej, do której Bóg go powołał.

„Lecz ojcowie, pomyślmy tylko, co oni cierpią w tym kraju? Głód? ten jest tam. Zaraza? obaj ją wycierpieli, a jeden z nich nawet dwa razy. Wojna? są oni wśród armii i przeszli przez ręce żołnierzy nieprzyjacielskich. Nakoniec doświadczał ich Bóg różnemi plagami, a my mamy być piecuchami bez serca i bez gorliwości! Mamy patrzeć na innych, wystawionych na niebezpieczeństwa dla służenia Bogu, a sami będziemy lękliwi, jak kury zmkle. O nędzo! o lichoto! Uczynmy więc postanowienie wyniszczyć się dla Boga. Czy nie pragniecie tego, bracia moi seminarzyści? Czy nie pragniecie tego, bracia moi, studenci? Nie pytam kapłanów, bo bez wątpienia oni wszyscy gotowi są na to. Tak, mój Boże! my wszyscy pragniemy odpowiedzieć zamiarom, jakie Ty masz względem nas.

„Nie wiem, moi ojcowie, jakim sposobem powiedziałem wam to wszystko, nie namyślając się nad tem; lecz tak byłem wzruszony tem, co mi mówiono, a z drugiej strony tak pocieszony łaskami, które Bóg zsyła na księży naszych w Polsce, że puściłem wodze uczuciom moim, chcąc je przelać w wasze serca.” A innego znów dnia mówił: „Szczęśliwi współbracia nasi w Polsce, którzy tyle wycierpieli podczas wojen ostatnich i podczas morowego powietrza, a którzy teraz cierpią też nie mało, niosąc pomoc ubogim. Szczęśliwi Misyjonarze, których ani armaty, ani ogień, ani miecz, ani morowe powietrze nie mogły zmusić do opuszczenia Warszawy, gdzie

wyciągała do nich ręce nędza bliźnich, którzy przetrwali i mężnie trwają dotąd jeszcze wśród tylu niebezpieczeństw tylu cierpień, znoszonych dla służby miłosierdzia! O jak szczęśliwi są oni, tak dobrze używając tej krótkiej chwili, jaką jest życie nasze! Tak, tej chwili, bo całe życie nasze krótką tylko jest chwilą, która ulata i wnet niknie. Niestety blisko ośmdziesiąt lat przeżytych dziś wydają mi się snem krótkim, krótką chwilą i zostaje tylko żal, że tak źle tego czasu użyłem”.

Wypadki te nasuwały św. Wincentemu à Paulo głębokie i smutne rozmyślenia, którym się nieustannie oddawali wszyscy ludzie tej epoki, rozmyślenia nad obawą, aby pochodnia wiary nie została zgaszona w Europie. „Bez wątpienia, mówił św. Wincenty do ojców, Syn Boży zapowiedział, że pozostanie w Kościele swoim aż do skończenia wieków, lecz nie obiecywał, żeby ten Kościół miał trwać we Francyi lub w Hiszpanii i t. d. Powiedział, że nieopuści Kościoła swojego, i że Kościół ten trwać będzie do skończenia świata, w jakimkolwiek bądź miejscu, ale niekoniecznie tu lub owdzie. A jeżeliby miał być kraj, w którym zdawałoby się powinien go zostawić, to chyba że niema kraju, mającego do tego większe prawo, jak Ziemia Święta, gdzie się urodził, gdzie zapoczątkował ten Kościół, gdzie tyle cudów uczynił. A jednak właśnie od tej ziemi, dla której uczynił, którą tak sobie upodobał, od niej najpierwej odebrał swój Kościół i oddał go poganom”. „O! bracia moi, jaką radość będzie miał Bóg, jeżeli w tych napaściach na Kościół, w tych przewrotach sprawionych przez herezye, w tym ze wszech stron płynącym zalewie pożądliwości; jeżeli wśród tych ruin znajdzie się kilka osób, które poświęcą się Jemu na to, by te, że tak powiem, szczątki Kościoła przenieść gdzieindziej; jeżeli znajdą się obok tamtych inni, by bronić i strzedz na miejscu tego, co jeszcze pozostało! O Zbawicielu! jaką radość mieć będziesz, widząc takie sługi i taką ich żarliwość w utrzymaniu dobra i obronie tego, co Twoje! O! ojcowie, to przedmiot wielkiej radości! Wiecie, że zwycięzcy zwykle część wojsk swoich zostawiają na miejscach zdobytych, dla zachowania tego co posiadli, a drugą część posyłają dalej na nowe podboje i rozszerzenie swych posiadłości. Otóż i my tak czynić powinniśmy; tu na miejscu odważnie bronić Kościoła i spraw Jezusa Chrystusa, a przytem nieustannie pracować nad nowemi zdobyczami

i starać się, by Chrystus i Kościół poznani byli przez najbardziej oddalone ludy”.

Księża Misjonarzy, podtrzymywanych przez takiego człowieka i takiego Świętego nie nie zdołało oderwać od rozszarpywanej Polski. Wytworzyło się tam wiele instytucyj pod ich przewodem: seminaria, misye, parafie, szpitale, przez które nieśli oni pomoc temu nieszczęśliwemu narodowi w czasach najstraszniejszych które musiał przebywać, zachowując wiarę swoją.¹⁾

¹⁾ Dokładne i bardzo szczegółowe wiadomości o ks. ks. Misjonarzach w Polsce zawiera w sobie tom pierwszy *Mémoires de la Congregation de la Mission (Paris a la maison principales de la congr: de la Mission rue de Sévres 35. 1863)*. Cały ten tom poświęcony jest Misjonarzom w Polsce, na Litwie i Rusi. W 11-u rozdziałach na 738 str., tom ten składających, mnóstwo znajduje się dokładnych szczegółów o instytucjach, miejscach i osobach Misjonarzy od ich założenia do ostatnich czasów. Uważamy za pożyteczne podać tu spis rzeczy tego tomu.

Spis rzeczy dzieła: *Mémoires de la Congregation de la Mission, Paris 1863*.

Rozdział I. Warszawa 1651—1685.

- § 1. Lambert aux Couteaux.
- 2. Karol Ozenne.
- 3. Wilhelm Desdames.
- 4. Mikołaj Duperroy.
- 5. Franciszek Dupuich.
- 6. Paweł Godquin.
- 7. Augustyn de Monteils.
- 8. Brat Loetus Delorme.

Rozdział II. Warszawa 1685—1739.

- § 1. Biskup Bartłomiej Tarło.
- 2. Michał Kownacki.
- 3. Antoni Fabri.
- 4. Szymon Steffen—Michał Walter—Jan Aumont.
- 5. Notatki o niektórych Misjonarzach domu Warszawskiego (1685—1739).

Rozdział III. Domy, fundowane w Polsce od 1739—1751.

- § 1. Chełmno. § 2. Kraków. § 3. Przemyśl i Sambor. § 4. Łowicz. § 5. Gdańsk. § 6. Mława. § 7. Płock. § 8. Lublin. § 9. Gniezno. § 10. Włocławek.

Rozdział IV. Warszawa (1739—1774).

- § 1. Piotr Hyacynt Śliwicki. § 2. Notatki o wielu Misjonarzach domu św. Krzyża w Warszawie (1739—1774).

Rozdział V. Domy, fundowane w Polsce od 1739—1774.

- § 1. Krasnystaw. § 2. Horodenka. § 3. Brzozów. § 4. Lwów. § 5. Tykocin. § 6. Szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie. § 7. Wiedeń, Warcz, Tyrnawa. § 8. Głowów.

Wstęp księży Misjonarzy do Włoch nie spotkał tych wielkich trudności. Tam znaleźli się w kraju czysto katolickim, gdzie każdy przychodzący pracować nad rozszerzeniem królestwa Bożego, witany był z radością. W ten sposób bez żadnych trudności powstały instytucje Misjonarzy w Rzymie, Turynie, Genui, w Viterbo, Palestynie. Wszędzie odbywali oni misye z nadzwyczajnem powodzeniem, zgromadzali duchowieństwo na konferencye środowowe, na rekolekcyje duchowne. Papież zobowiązał ich do kierowania rekolekcyami przygotowawczemi do święceń, które zachwycały świętobliwych biskupów. Oczekiwali oni od nich odnowienia się kleru, szczepienia wśród duchowieństwa ducha świętobliwości. Papież po wiele razy wyrażał radość swoją z tego powodu. W historii tych misyi włoskich należy zaznaczyć choćby tylko jeden fakt, ujawniający dobroć i delikatność serca św. Wincentego, który, jak to często się zdarza, sprowadził na niego tysiące nieprzyjemności. Święty Wincenty zawsze miał słabość do swego dawnego ucznia Jana Franciszka-Pawła de Gondi, kardynała de Retz, pomimo postępów jego często lekkomyślnych i nierozważnych. Z rozkazu Mazariniego prałat ten był zamknięty w Vincennes. Kierując się zrzecznością, którą w tak wysokim posiadał stopniu, de Gondi, wobec możliwej śmierci stryja swego arcybiskupa

Rozdział VI. Warszawu (1774—1797).

- § 1. Mikołaj Siemiński. § 2. Sebastyan Wołyński. § 3. Notatki o niektórych Misjonarzach w Warszawie.

Rozdział VII. Domy, fundowane od 1774—1797.

- § 1. Mikulińce. § 2. Poznań.

Rozdział VIII. Warszawa (Św. Krzyż) 1797—1850

- § 1. Józef Jakubowski. § 2. Jakób Basiński. § 3. Michał Szymonowicz. § 4. Paweł Rzymiski. § 5. Adam Nadolski. § 6. Notatka o niektórych Misjonarzach domu świętego Krzyża w Warszawie.

Rozdział IX. Litwa.

- § 1. Wilno od 1693 do 1795. § 2. Wilno 1795—1820. 1. Brat Józef Pleskaczewski. Brat koadyutor. 2. Ks. Tomasz Husarzewski.

Rozdział X. Domy, fundowane w prowincji Litewskiej.

- § 1. Siennatycze. § 2. Śmiłowice. § 3. Zasław. § 4. Łysków. § 5. Krasław. § 6. Orsza czyli Selekt. § 7. Wornie czyli Miedniki na Żmudzi. § 8. Żytomierz. § 9. Mohylów. § 10. Oswiej. § 11. Ilukszta. § 12. Astrachan. § 13. Pawłowski. § 14. Białystok. § 15. Mińsk. § 16. Saratów. § 17. Kamieniec i różne rezydencje Misjonarzy.

Rozdział XI. Litwa 1820—1843.

Pierwsze opowiadanie i Drugie opowiadanie. (Przypisek tłumacza).

Paryskiego, którego był koadytorem, wydał dwum kanonikom z Nôtre-Dame upoważnienie bez daty, aby objęli w jego imieniu dyecezyę. Dobry nasz Święty widział w tem przezorne dzieło Opatr ności. Píše on do księdza Ozenne do Polski. „W ostatnią sobotę zasnął w Bogu ks. arcybiskup Paryski; a jednocześnie ks. kardynał de Retz objął w posiadanie dyecezyę przez prokuratora swego i został przyjęty przez kapitułę, chociaż sam zostaje wciąż w Vincennes. Opatrzność natchnęła go do ustanowienia prokuratury i mianowania dwóch generalnych wikaryuszów na kilka dni przed tem, niż został aresztowany, a to z powodu zamiaru udania się do Rzymu, na przypadek, gdyby śmierć stryja nastąpiła w czasie podróży jego. W ten sposób dwaj jego wikaryusze generalni, którymi są dwaj kanonicy z Notre-Dames, spełniają obecnie obowiązek jego i z ich rozporządzenia mamy oddanych pod opiekę kandydatów do święceń. Wszyscy podziwiają tę przezorność, która okazała się w istocie tak na miejscu, a raczej to z r z ą d z e n i e B o ż e, że dyecezya ani jednego dnia nie zostawała bez pasterza; chciało narzucić jej obcego”. Tymczasem kardynał de Retz przewieziony z fortecy Vincennes do zamku w Nantes spuściwszy się tam z baszty po linie, uciekł do Rzymu, udając się pod opiekę Papieża. Mazarini wybuchnął gniewem. Dobra kardynała wzięto pod sekwestr, stary ojciec jego, czcigodny o. de Gondi, został wygnany, przyjaciele zagrożeni a wszystkim kapłanom paryskim zabroniono mieć z nim jakikolwiek stosunek. Za wielką była dusza św. Wincentego, aby miał być posłusznym podobnym rozkazom. Sam ubogi, pożyczył pieniędzy, aby je wysłać kardynałowi, który jednak szlachetnie odmówił przyjęcia tej pomocy. Św. Wincenty napisał do superyora domu Misyonarzy w Rzymie, aby przyjęto kardynała ze wszelkimi honorami, należnymi arcybiskupowi Paryża. Tym razem gniew Mazariniego nie miał już granic. Na rozkaz Ludwika XIV wszyscy księża Missyonarze Francuzi musieli opuścić Rzym, a Św. Wincenty napisał im, aby niezwłocznie wracali do Francji. Do Zgromadzenia zaś przemówił w te słowa: „Mamy powód błogosławić Boga za to, co się stało z powodu J. E. kardynała de Retz, który przyjęty został przez dom Misyonarzy w Rzymie: 1-o że spełniliśmy przez to akt wdzięczności, dając rozkaz superyorowi Misyonarzy w Rzymie, aby przyjął w dom rzeczonoego księcia Kościoła, i 2-o, że dokonaliśmy przytem

pięknego aktu posłuszeństwa względem króla, który będąc, niezadowolonym z postępowania rzeczonoego księcia kardynała de Retz za złe uważał, iż przyjęto go w domu naszym w Rzymie, co dało mu powód do nakazu superyorowi rzeczonoego domu misyjnego w Rzymie, aby wszyscy Francuzi, księża Misyonarze, którzy tam byli, opuścili Rzym i wrócili do Francji, i oto superyor już wrócił tu”. Lecz ta sprawa domu Rzymskiego była tylko przechodnią chmurą, która wnet przeminęła. Dom został wkrótce znów otwarty i zaszczycony bardziej niż kiedykolwiek łaskawością Papieża i sympatją kleru rzymskiego. Św. Wincenty pisze pod datą 11 Stycznia 1660: „Podobało się Bogu i naszemu Ojcu Świętemu Papieżowi do nas biednych prostaków Misyonarzy domu Rzymskiego przysłać kandydatów do święceń w czasie ostatnich Suchych Dni kwartalnych. Księża z Chandenier znaleźli się tam dzięki szczególnemu rozporządzeniu Opatrzności Boga, który chciał zbudować obecnych ich skromnością, pobożnością, skupieniem się i innymi cnotami przez nich praktykowanymi”. Rzadki to przykład pokory, przyznający innym zasługi, które należały do jego własnych synów. Papież na pełnym konsystorzu winał księżom Misyonarzom osiągniętych rezultatów.

Lecz misye te chociaż były tak rozległe i obejmowały całą Europę i część Afryki, jednak nie zaspakajały jeszcze serca św. Wincentego à Paulo. On pragnął nieść słowo Boże całemu światu. Niepokój którym go napędliał Zachód, tracący wiarę, pobudzał w nim chęć oświecania Wschodu. Pisał on do pana d' Horgny do Rzymu: „Przyznam się wam, że mam wiele czci i podziwu dla rozszerzania Kościoła w krajach niewiernych z powodu, jak mi się zdaje, obawy, jaką odczuwam, aby Bóg nie umniejszył go (Kościoła) stopniowo pośród nas. Kto wie, może w ciągu stu lat nie zostanie z niego nic u nas, z powodu znieważonych obyczajów, i tych ścierających się ze sobą wierzeń i z poglądów. Podkopują go od stu lat, coraz to nowe herezye w znaczniejszej części Cesarstwa i w królestwach Szwecyi, Danii, Norwegii, Szkocyi, Anglii, Irlandyi, Czechach i Węgrzech. Zostaje jeszcze we Włoszech, we Francji, w Hiszpanii i w Polsce, dokąd, jak i do Francji dużo przenika błędów z innych krajów. Otóż te straty Kościoła w ciągu

stu lat ostatnich, wobec nędz obecnych, są powodem obawy, abyśmy w ciągu następnych stu lat nie stracili zupełnie Kościoła w Europie. A przy takich obawach uważam za błogosławionych tych, którzy będą mogli współdziałać w dziele rozszerzenia Kościoła gdzieindziej¹⁾. A na innym miejscu pisze: „Czyż nie mamy powodu obawiać się, aby Bóg nie opuścił Europy i nie wydał jej na łup herezji, burzących Kościół od stu lat, które sprawiły tyle spustoszenia. Na domiar nieszczęścia, to co jeszcze pozostało, jest skłonne do rozłamu, przez nowe opinie, które wciąż się mnożą. Kto wie, czy nie chce Bóg przenieść samego Kościoła do niewiernych, którzy zachowują bodaj większą niewinność obyczajów, niż większa część chrześcijan, w których sercu najmniej jest świętych tajemnic naszej religii? Co do mnie, to wiem, że te obawy nurtują mnie już od dłuższego czasu¹⁾”.

I wszędzie szukał apostołów. Chciał ich znaleźć dla Persyi, dla Babilonu, rozpytywał o nich dla Indyi, utyskiwał, że Zgromadzenie jego jest jeszcze zbyt nieliczne, aby mogło zapęłnić Wschód misyonarzami i apostołami. A tymczasem na jedno słowo Papieża śpieszy z wysłaniem misji do Madagaskaru, jednej z największych wysp oceanu Indyjskiego, leżącej u wschodnich brzegów Afryki, mającej 400 mil (francuskich) długości i 60 szerokości, a zamieszkałej wówczas przez pół miliona dzikich, zaledwie odzianych, ludzi, żyjących w głębokim zepsuciu! Przytem wyspa ta miała tak niezdrowy klimat, że przez długi czas nazywano ją cmentarzem Europejczyków. Na tę misję św. Wincenty wybiera wielu najznakomitszych kapłanów: najpierw ks. Nacquart'a „trawionego pożądaniem misyj zagranicznych”, któremu dodaje ks. Gondrée, jednego z najlepszych synów Zgromadzenia; pokornego, miłosiernego, serdecznego, „dokładnego i gorliwego, o którym nie umiem wypowiedzieć wszystkiego, ile w nim dobrego upatruję”. Następnie ks. ks. Bourdaise, Dufour, Prevost i de Belleville; wszystko ludzie wypróbowanej cnoty, wielkiego doświadczenia w wykonywaniu czynności swego powołania, którzy chwalebnie strawili życie swoje, pracując nad pomnożeniem królestwa Chrystusowego na tej ziemi niewiernej.

¹⁾ Lettres I № 482.

²⁾ Lettres II № 534.

Prześliczny jest list, wystosowany do zwierzchnika tej misji ks. Nacquart'a. „Od dłuższego już czasu Pan Nasz dał sercu waszemu pożądanie spełnienia ważniejszej służby Jego. A gdy w Richelieu zrobiono propozycję otwarcia misji dla pogan i bałwochwalców, zdaje mi się, że Pan Nasz dał uczuć duszy waszej, iż powołuje was do tego, jak pisałoście mi o tem, wraz z niektórymi innymi członkami rodziny naszej w Richelieu. Czas już, by to ziarno nasienne boskiego powołania wydało owoce. Oto J. E. ks. nuncyusz na mocy powagi św. Kongregacji Propagandy, której zwierzchnikiem jest Ojciec św. Papież, wybrał nasze Zgromadzenie, aby szło służyć Bogu na wyspę św. Wawrzyńca, inaczej nazywaną Madagaskar. Zwróciliśmy zaś oczy swoje na was, jako na najlepszą, jaką posiadam ofiarę, aby złożyć hołd naszemu Najwyższemu Stwórcy i spełnić tę służbę wraz z innymi dobrymi kapłanami naszego Zgromadzenia. O, mój najdroższy ojcie! Co mówi serce wasze na tę nowinę? Czy nie odczuwa zdziwienia i zawstydenia, otrzymując taką łaskę niebieską? Jest to powołanie tak wielkie i takiej czci godne jak powołanie największych Apostołów i największych Świętych Kościoła Bożego! Przez was się spełniają zamiary Boże w czasie! Tylko pokora wasza udźwignąć zdola taką łaskę; zupełne zaparcie się siebie we wszystkim, czem jesteście i być możecie z najdoskonalszą ufnością w Najwyższym Stwórcy naszym, powinny być wyrazem tej łaski. Potrzebne wam są: szlachetność i wiele odwagi; trzeba wam wiary tak mocnej, jak wiara Abrahama. Niezmienną potrzebą waszą jest miłość taka, jaką posiadał święty Paweł. Przystają też wam, jak wielkiemu świętemu Franciszkowi Ksaweremu gorliwość, cierpliwość, względność, ubóstwo, samotność, przezorność, nieskazitelność obyczajów i wielkie pożądanie zupełnego oddania się Bogu”.

Następnie wchodzi św. Wincenty w szczegóły cnót, które mu będą potrzebne: „wiele czystości, ponieważ te ludy tak bardzo zepsute szczególnie ułomne są w tych rzeczach”; dalej jedność z Kościołem Rzymskim i uszanowanie wszystkich jego postanowień. Kończy zaś list temi słowami: „Będziecie mieli obedyencję od nas, pełnomocnictwo J. E. Nuncjusza któremu bardzo leży na sercu ta sprawa. Oddaję się całkiem na wasze usługi, nie żebym miał rzeczywiście iść za wami, tem bardziej, żem nie godzien tego, ale przynajmniej błagać

będę Boga codziennie, póki podoba się Mu zatrzymać mię dla was na tej ziemi; a jeżeli zechce uczynić nademną miłosierdzie, abym ujrzał was w wieczności i uczył tam, gdzie z powodu dostojęstwa powołania swego pomieszczeni będziecie wśród mężów apostołskich. Kończę, w duchu padając do nóg waszych, prosząc, abyście raczyli polecać mię wspólnemu Panu naszemu, abym zawsze był Mu wiernym i abym w miłości Jego doszedł do kresu tej drogi, która prowadzi do wieczności". A w dopisku dodaje: „Cóż więcej powiem wam, ojcze, po nadto, że błagam Pana Naszego, który dał wam uczestnictwo w miłości, aby dał wam też uczestnictwo w cierpliwości swojej i że niema niczego, czegobym bardziej życzył sobie na ziemi, jak żeby mi wolno było pójść z wami i służyć wam za towarzysza na miejsce o. Gondrée".¹⁾

Podróż była długa i niebezpieczna; dwie burze omal nie zgruchotały okrętu. Lecz nawet te niebezpieczeństwa niczem były w porównaniu do strasznych trudów i umęczenia, które czekały ich na wyspie. Ks. Gondrée padł pierwszy; z wielkim spokojem i cichością ochrzcił już sześciuset murzynów i zostawił po sobie wspomnienie pobożności, miłości i słodyczy, które jak balsam rozlewały się w koło niego. Ks. Nacquart pisze o nim do św. Wincentego: „W czasie dni krzyżowych p. Flacourt, gubernator nasz żądał, aby jeden z nas towarzyszył mu w małej podróży po wyspie. Ks. Gondrée pojechał z nim i wiele wycierpiał w tej drodze, z powodu wielkich upałów i złego odżywiania się; w dni postne jadał tylko trochę ryżu ugotowanego w wodzie. To wszystko bardzo go osłabiło; wrócił w gorączce z wielkim bólem we wszystkich stawach, lecz okazywał przy tem spokój i cierpliwość prawdziwie chrześcijańską. Choroba jednak coraz bardziej wzmagała się, udzieliłem więc mu Wiatyk i Ostatnie namaszczenie, które przyjął z wielką pobożnością. Mówił, że największą przykrością dla niego było opuszczać tych biednych niewiernych. Francuzom zalecał bojaźń Bożą i nabożeństwo do Najświętszej Panny, do której sam modlił się gorąco. Prosił mię, abym napisał do was, ojcze, i abym podziękował wam najpokorniej w jego imieniu za łaskę przyjęcia go do grona synów waszych, a przede wszystkim za wybranie go z pośród tylu innych godniejszych do głoszenia Ewangelii

Jezusa Chrystusa na tej wyspie. Prosił też, aby Zgromadzenie nasze dziękowało Bogu w jego imieniu. Mówił mi, że powinienem przygotować się do cierpienia dla Pana Naszego w tym kraju, co powtórzył dwa razy. Potem spędziwszy część nocy w nieustannem wzdychaniu, umarł z wielkim spokojem i cichością. Oddał duszę w ręce swego Stwórcy, czternastego dnia choroby swojej. Nazajutrz pochowaliśmy go z płaczem wszystkich Fancuzów i wielkiej liczby tych biednych niewiernych, którzy mówili, że do przybycia naszego nie widzieli nigdy ludzi bez złości i gniewu i nauczających ich o rzeczach niebieskich z takim uczuciem i słodyczą, jak to czynił nieboszczyk".

„Możecie sobie wyobrazić, jakimi uczuciami wezbrało biedne serce moje po stracie tego, którego miłowałem, jak siebie samego, a który w tym kraju był po Bogu jedyną pociechą moją. Prosiłem Pana Naszego Jezusa Chrystusa, aby raczył udzielić mi cząstkę tych łask, które posiadał nieboszczyk, abym mógł podolać dziełu, któreśmy we dwóch prowadzili i istotnie po jego śmierci odczułem skutek modłów jego i podwójną siłę ciała i ducha do pracy nad nawróceniem tych biednych niewiernych, i w tem wszystkim, co posłużyć może ku powiększeniu chwały Bożej w tym kraju".

Na wieść o tej śmierci św. Wincenty pośpieszył z wysłaniem nowych Misyonarzy na pomoc ks. Nacquart'owi, który sam pozostał i ugiął się pod brzemieniem trudów i pracy. Lecz, niestety, gdy ci przybyli na miejsce, szczęśliwi, że będą mieli za zwierzchnika tego świętobliwego misyonarza, znaleźli już tylko jego mogiłę. „O! ojcze! pisał Bourdaise, zupełnie brak mi słów, by wyrazić gorycz biednej duszy mojej. Bóg widzi żal nasz i lzy nasze, gdy po przybyciu na tę wyspę znaleźliśmy już tylko popioły ks. Nacquart'a. On miał zająć miejsce Józefa, aby przyjąć nas jak braci swoich, i jak Mojżesz prowadzić przez straszliwe pustynie tego kraju: „Strata, dodaje, której wkrótce potem doznałem w osobie ks. Mousnier, którego gorliwość wyczerpała się w przeciągu niespełna sześciu miesięcy, była dla mnie tem dotkliwszą, że znalazłem się sam tylko do dźwigania tego brzemienia. Rana ta wciąż krwią ocieka w sercu mojem. Ta ziemia niewdzięczna pożera apostołów swoich: ks. de Belleville umarł w drodze; ks. Prevost, doznawszy umęczenia w podróży, zmarł też. Ks. Dufeur, którego ujrzałem tu po to jedynie, bym poznał, co stracę przez śmierć jego. Nakoniec wszyscy ci z synów wa-

¹⁾ Lettres II № 588.

szych, których wysłaliście do Madagaskaru, zmarli; a ja nędzny sługa zostałem sam, by przesłać wam te wiadomości". Ks. Bourgoise tem nie mniej zaklina św. Wincentego, by nie tracił odwagi. „Gdyby jedynie dwóch czy trzech kapłanów było, to miałbym nadzieję, że w przeciągu roku cały kraj, choć bardzo wielki, byłby ochrzczony". Św. Wincenty à Paulo nie potrzebował zachęty. Abelly powiada: „ten Boży mąż, oświecony przez Ducha świętego, rozumiał, że wszystkie przeciwności i przeszkody były raczej znamię, że Bóg pochwała jego przedsięwzięcie, niż żeby Opatrzność miała chęć stawiać mu przeszkody, dlatego też, podnosząc się jak palma z pod brzemienia, które ją przytłacza, powziął mocne postanowienie dalej prowadzić to, co tak dobrze rozpoczął, przy pomocy łaski Bożej, w której jedynie szukał podpory. Powiadał on „Kościół powszechny ustanowiony był przez śmierć Syna Bożego, umocniony przez śmierć Apostołów, papieży i biskupów umęczonych, pomnażał się w prześladowaniach, a krew męczenników była nasieniem, z którego powstawali chrześcijanie. Bóg zwykle próbuje i doświadcza tych, względem których ma wielkie zamiary. Dobroć Boska daje poznać, że obecnie chce bardziej, niż kiedykolwiek, aby święte Imię Boże znane było, a królestwo Syna Jego rozprzestrzeniło się wśród wszystkich narodów. Oczywiście jest, że ci wyspiarze usposobieni są do przyjęcia światła Ewangelii, a sześciuset z pomiędzy nich przyjęło już chrzest przez pracę jednego Misyonarza, którego Bóg tam zachował. Byłoby więc przeciwnem i rozumowi i uczuciu miłości chrześcijańskiej opuścić tego sługę Bożego wzywającego, pomocy. Opuścić ten lud, który potrzebuje oświecenia.

„Wszystkie te względy wpłynęły na postanowienie wysłania znowu w końcu 1659 r. pięciu innych Misyonarzy: czterech kapłanów i jednego brata, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwo śmierci ofiarowali się Świętemu i bardzo prosili o wysłanie ich na tę niebezpieczną pracę misyjną".

Pięciu tedy Misyonarzy opuściło Francję i siedli na okręt w końcu 1659 r., a Opatrzność Boska tak zrzędziła, że musieli wrócić do Paryża po ośmnastu miesiącach, gdyż okręt, na którym płynęli, podległ rozbiciu się u przylądka Dobrej Nadziei, podróżni zaś za łaską Boga zostali ocaleni. Dobrzy ci Misyona-

¹⁾ Abelly I 447.

rze musieli pozostać na miejscu aż do czasu gdy, po upływie dziesięciu miesięcy, przepływająca tam flota Holenderska, odwozła ich do Francji.

Abelly pisze dalej: „Św. Wincenty już nie żył, gdy doszła wiadomość o tym ostatnim wypadku. Niewątpliwie bardzo by go ona zmartwiła. Tym sposobem z dziewiętnastu czy dwudziestu jego synów, wysłanych w różnym czasie na pracę nawracania niewiernych i umocnienia wśród nich królestwa Jezusa Chrystusa, siedmiu umarło przy tej chwalebnej pracy, zaliczając do nich ks. Bourdais, który pozostał jako ostatni, a inni musieli wrócić wobec tajemniczego i niepojętego rozkazu Opatrzności Bożej, która nie dała im pracować nad dalszym rozwojem tego biednego, rodzącego się Kościoła".¹⁾

Przez objęcie misji na Madagaskarze, św. Wincenty wprowadził swoją kongregację do obu Ameryk, Indyi, Chin i Japonii. Obciążony ośmdziesięciupięciu latami wieku, nie opuszczając już fotelu, jasnym umysłem i wielkim sercem obejmował nieustannie te ogromne przestrzenie świata, do których pragnął wysyłać uczniów swoich. Widzimy go nagle zajętego przygotowywaniem misyj do Azji, Persyi, Babilonu, Brazylii; myślał i o Chinach. W cztery lata po śmierci św. Wincentego à Paulo, pewien Misyonarz usilnie prosił o pozwolenie udania się aż tam. „Jeżeli otrzymacie dla nas tę łaskę, to przebiegłszy wszystkie ustronia wyspy św. Wawrzyńca, pójdę aż do Chin, Japonii i innych krajów niewiernych torować drogę naszej Kongregacji, na taką służbę Bogu i duszom w tych krajach, jaką pełniemy w Europie. Zamiarem bowiem było błogosławionego ojca naszego, abym szedł aż do Chin".

Prawie wszystkie te misye później urzeczywistniono; lecz św. Wincenty widział je już z wyżyn niebieskich.

KONIEC TOMU DRUGIEGO



Książka

WYDAJENIE WIEROBY

95580/2

¹⁾ Abelly I 451.

95 5 80

12

KSIEGARNIA SW. WOJCIECHA

poleca następujące wydawnictwa

BIBLIOTEKI DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH:

- Antoine K. Kurs Ekonomji Społecznej, przekład Walerego Gostomskiego, 3 tomy. Cena 12,— mk.
- Batiffol Piotr. Badania z zakresu Historji i Teologii państwa wewnętrznego, przełożył Ks. Jan Piotrowski. Cena 4,— mk.
- Foerster W. Fr. Chrześcijaństwo i walka klas. Przekład I. I. R. Cena 5,— mk.
- Ks. Dr. Gabryl Fr. Polska Filozofja Religijna w wieku XIX. Dwa tomy. Cena 16,— mk.
- O. Guthbert Z. S. O. Fr. Ideały katolicko-społeczne. Cena 5,— mk.
- Hello Ernest. Filozofja i ateizm, przekład I. I. R. Cena 5,— mk.
- — Oblicza Świętych, przekład z franc. Cena 4,— mk.
- Jeske-Choiński T. Pozytywizm w literaturze i sztuce. Cena 4,— mk.
- Ks. Kneller Karol Alojzy S. J. Chrześcijaństwo a przedstawiciele nowoczesnej wiedzy przyrodniczej, przełożył z drugiego wydania niem. S. Barszczewski. Cena 4,— mk.
- Paciorkiewicz Maurycy. Bossuet i Fénelon, studjum. Cena 3,60 mk.
- Ks. Dr. Pawlicki Stefan, C. R. prof. Uniw. Jagiel. Żywot i dzieła Ernesta Renana, z przedmową autora, wydanie trzecie poprawione i uzupełnione, 2 tomy. Cena 8,— mk.
- Ks. Dr. Sykora J. L., prof. Teol. Uniw. w Pradze. Wstęp do Pisma świętego, przetł. i uzup. Ks. Zygmunt Chelmiński, t. I. Żydziz czasów Jezusa Chrystusa i Apostołów, przyczynek do historii św. przez Ks. E. Beurlier dra teol., przekład z franc. Cena 5,— mk.
- — Historia święta, przetłumaczył i uzupełnił Ks. Zygmunt Chelmiński, t. II. Stary Zakon, t. III. Nowy Zakon. Cena 10,— mk.
- Ks. Szandlerowski Antoni. Rzym. Mozaika, jako chrześcijańska sztuka bazylikowa, studjum archeologiczne. Cena 3,60 mk.